

NIEWYGODNY POLSKI DZIENNIKARZ

Dlaczego niemieckie media tak
ostro atakują Cezarego Gmyza



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 34/236 21-27 SIERPNIA 2017

Pięć rad Piotra Semki
dla prezydenta Dudy

**KSIĄŻĘ FILIP
NA KRÓLEWSKIEJ
EMERYTURZE**



„Wiadomości” TVP.
Co się dzieje za kulisami?

Polityczna przepowiednia Łukasza Warzechy

ROK 2027

JAK TOTALNA OPOZYCJA BĘDZIE
SIĘ MŚCIĆ PO PRZEJĘCIU WŁADZY
Z RĄK PIS



Joachim
Brudziński



Adrian
Zandberg



Jarosław Kaczyński



Donald Tusk



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

34 >

9 772299 850000

Nakład: 105 tys. egzemplarzy



JEJ WYGODNOŚĆ MINI RATKA

POŻYCZKA GOTÓWKOWA

Wejdź do królestwa Mini Ratki PKO Banku Polskiego, gdzie panuje szybkość i wygoda.

Pożyczka do 24 000 zł (wraz z kredytowanymi kosztami):

- bez zaświadczeń o zatrudnieniu i zarobkach
- wystarczy dowód osobisty i wyciąg z konta z ostatnich 3 miesięcy
- wypłata pożyczki nawet w dniu złożenia wniosku kredytowego...

... a wniosek złożysz przez telefon, internet albo w placówkach Banku.

Udzielenie pożyczki jest uzależnione od pozytywnej oceny zdolności kredytowej.



Bank Polski
dzień dobry



PKO Bank Polski bankiem numer jeden w Polsce w prestiżowym konkursie „Bank of the Year 2016”

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora

+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o pożyczce gotówkowej, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w placówkach Banku i na www.pkobp.pl.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polacy mieli rację

Całkiem niedawno trafiłem w Internecie na filmik pokazujący interwencję wojska na jednej z ulic Neapolu. Chociaż właściwie trudno to nazwać interwencją. Raczej była to nieudana próba aresztowania, zatrzymania jednego z imigrantów. Ledwo pochwycili go żołnierze, zaraz otoczył ich tłum podnieconych, agresywnych młodzieńców, którzy swojego ziomka wyrwali z rąk wojska. Obraz ten, dwuminutowa sekwencja zdarzeń przekazana przez ukrytą amatorską kamerę, to – pomyślałem – właściwie symbol.

Po pierwsze, do zdarzenia doszło w Neapolu, czyli na ulicach jednego z największych włoskich miast. Tak, to samo centrum Unii Europejskiej – gdyby ktoś pytał. To nie są zaułki jednego z upadających państw środkowej lub północnej Afryki. W samym centrum Europy widać, że coraz częściej państwo traci kontrolę nad własnym terytorium.

Po drugie, najwyraźniej mieszkający tam przybysze mają poczucie bezkarności. Wiedzą, że żołnierze, reprezentujący przecież siłę państwa, są niczym papierowy tygrys. Sroży się i nadyma, ale w środku słabiutki ci on i bezradny. Ani mundury, ani karabiny nic nie znaczą. Są jak eksponaty w muzeum.

Funkcjonariusze państwa zostali bowiem, i to jest kolejna nauka, skutecznie sparaliżowani strachem przed polityczną poprawnością. Dlatego wiadomo, że broni nie użyją. Skąd to wiadomo? Czują to dobrze otaczające ich wyrostki i sam zatrzymany. Czują to gapie i sami żołnierze – nawet nie próbują udawać, że noszona przez nich broń może wypalić. Wszyscy razem wiedzą, że gdyby tak się stało i karabin by wypalił, i jeszcze kogoś zranił, to następnego dnia, ba, może już po kilku godzinach w Internecie i na różnych stronach oraz podstronach w mediach społecznościowych rzuciłaby się na nich wściekła lewicowa sfora, wrzeszcząca, że faszyzm, siła,

wojsko, prześladowania. Rozwścieczona i ideologicznie pobudzona tłuszcza wymachiwałaby zdjęciem rannego, a przerażony minister, a może i premier biliby się w piersi oraz tłumaczyli. A więc ten filmik to jest symbol. Upadku państwa, klęski poczucia własnej godności, tchórzliwej rezygnacji z tożsamości, wreszcie uległości wobec lewicowej ideologii multikulturalizmu.

Zdarzenie w Neapolu to taki sam symbol bezradności jak kolejne zamachy, ostatnio w Barcelonie.

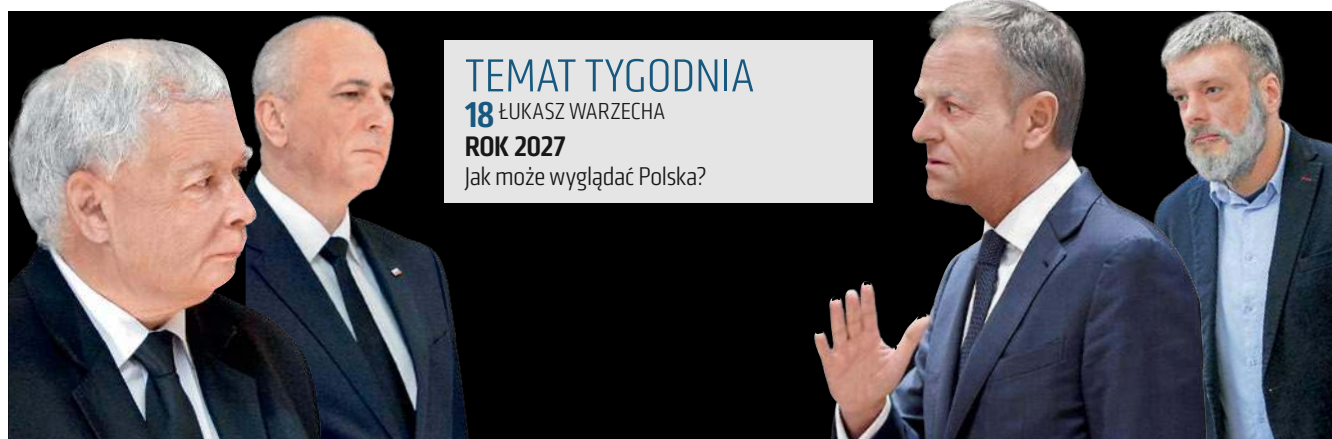
Morał dla Polaków jest też prosty: w żadnym razie nie wolno ulegać szantażowi Unii i nie wolno zgadzać się na przyjmowanie muzułmańskich imigrantów. Jeśli nie chcemy, żeby polskie miasta przypominały zachodnie, to trzeba – tak samo jak to robi polski rząd – mówić Komisji Europejskiej „nie”. Jeśli nie chcemy, żeby polskie katedry i zabytki otoczone były barierkami oraz wozami pancernymi, żeby po ulicach i w centrach handlowych krążyli uzbrojeni po zęby żołnierze, to nie wolno ulec absurdałnej presji.

Wszystkie te opowieści o niewielkiej rzekomo liczbie uchodźców, o tym, że to będą tylko kobiety i dzieci itp., itd., można między bajki włożyć. Do kobiet i dzieci dołączą mężczyźni, do nich przyjadą następni i następne. Jedno ustępstwo pociągnie za sobą kolejne i nim się zorientujemy, sprawa będzie przegrana. Obawy polskiego społeczeństwa wynikają nie z fobii i urazów, ale są przejawem roztropności oraz umiejętności uczenia się na cudzych błędach. Tak, tym razem przysłowie „Mądry Polak po szkodzi” się nie sprawdzi. Raczej z każdym dniem widać, że powinniśmy odczuwać dumę z tego, iż nie ulegliśmy namowom ani szaleństwu. Tym razem jesteśmy mądrzy przed szkodą. ©

RYSUNEK TYGODNIA

Z Unii Europejskiej dostatem
stała się posada w kontrmanifestacjach!





KRAJ

24 PIOTR SEMKA
PIĘĆ WYZWAŃ PREZYDENTA
Co zrobi Andrzej Duda?

28 PIOTR GOCIEK
W OBRONIE RADYKAŁÓW

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KONFLIKT WOJSKOWYCH „KUCHAREK”

34 KAMILA BARANOWSKA
KOMISJAMI W PLATFORMĘ

36 MARCIN MAKOWSKI
PIRUET NA EKRANIE

38 MACIEJ PIECZYŃSKI
GMYZ POD OSTRZAŁEM

41 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SPISKUJĄCY Z KOTAMI

44 ROZMOWA Z MUSĄ CZACHOROWSKIM
POLACY NIE SĄ ISLAMOFOBAMI

KULTURA



46 GRZEGORZ BRZÓZOWICZ
CZARNA KONTRREWOLUCJA
Winyłowa płyta ma duszę

48 PAWEŁ ROJEK
POLSKIE KŁĄCZE



52 ANDRZEJ HORUBAŁA
SIOSTRZYZCZKI

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 ANDRZEJ NOWAK
KONFRONTACJA PRZED RUBIKONEM
Weto wobec reimperializacji Europy

66 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK
WYTRYCH REGIONALIZMU

HISTORIA

68 PIOTR ZYCHOWICZ
OPERACJA POLSKA – WIELKI PRZEŁOM?
80. rocznica bolszewickiego ludobójstwa

70 PIOTR ZYCHOWICZ
ZOOLOGICZNA POLONOFobia STALINA

ŚWIAT

74 OLIVIER BAULT
PUDROWANIE SOCJALIZMU
Wenezuela pod rządami Maduro

78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
TRUMP PRZYWRACA NORMALNOŚĆ

80 TERESA STYLIŃSKA
KSIĄŻĘ FILIP I DUCH CZASÓW

82 PIOTR WŁOCZYK
MAŁA POLSKA NAD BOSFOREM

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z ZYGMUNTEM BERDYCHOWSKIM
BIZNES NIE JEST OD POLITYKI
Władze i przedsiębiorcy spotkają się na Forum Ekonomicznym w Krynicy-Zdroju

86 WOJCIECH WYBRANOWSKI
LEPSZE, BO POLSKIE



88 JACEK PRZYBYLSKI
SPOSÓB NA KORKI

WAKACJE Z „DO RZECZY”

92 PIOTR SEMKA
FINLANDIA. ŚLADAMI MARSZAŁKA MANNERHEIMA
W kraju tysiąca jezior

ROAMER

OF SWITZERLAND

Adam Szolner



SUPERIOR SAPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu komentarze do publikowanych przez nas tekstów: od energetyki atomowej do spraw religii.

„Atomowo opóźnieni”

[...] Brałem udział w projektowaniu Żarnowca. Inwestycyjnie to był worek bez dna; dla projektantów złoty interes, ale i ci pisali do rządu, żeby przerwać tę paranoję. Nawet miliard dolarów straty to przyszczyt w porównaniu z tym, co by Polskę czekało dalej.

[...] Przez ostatnie osiem lat biorę pewien udział w projekcie (no może za dużo powiedziane – aktywnie obserwuję, wpływając jednak także na kontrakt dotyczący warunków pracy) budowy czterech bloków jądrowych 1400 MW w Emiratach. Projekt koreański z licznymi zmianami – inna częstotliwość prądu, inne warunki otoczenia. Pieniądze niesamowite, na każdym szczeblu. Nie zmieścili się w czasie i w budżecie nawet najlepsi – Koreańczycy (również u siebie, przy kilkunastu własnych elektrowniach atomowych) i Amerykanie z dwoma nowymi projektami (już 50 proc. ponad budżetem). Toshiba i Westinghouse (główni światowi gracze) – w postępowaniu upadłościowym. W Belgii na sześć reaktorów pracuje chyba jeden, podobnie w Wielkiej Brytanii. Projekty europejskie – Finlandia i Francja – to gorzej niż tragedia. Niemcy – zamykają elektrownie, gdyż generu-

ją zbyt wysokie koszty. I jak ja dzisiaj czytam, będąc na wakacjach w Polsce, że minister jest za energetyką jądrową (ktoś mu doradza), a „Do Rzeczy” (33/2017) pisze, że bez elektrowni jądrowych Polska sobie nie poradzi, dodając mapę elektrowni w Europie (a co z tymi, co są, ale nie pracują albo mają zostać wkrótce zamknięte z powodu awarii czy olbrzymich kosztów), to zastanawiam się, czy ktoś myśli o odpowiedzialności wobec narodu za próbę wydręgowania grubyh miliardów z biednego kraju. Czy te obiecane przywileje zasłaniają wszystko? Spółki PGE EJ 1 i następne tylko kradły publiczne pieniądze. Nie przyłączajcie się do tego.

Jerzy Roszkowski

„The King is not dead”

Na Waszych łamach piszą według mnie najlepsi z najlepszych. Przede wszystkim mój ulubiony znawca historii, wielki kpiarz i prześladowca głupoty – Walde-
mar Łysiak, i oczywiście Rafał Ziemkiewicz (uwielbiam, gdy sobie dogryzają).

Muszę jednak zwrócić uwagę na pewien błąd. W ostatnim numerze, tzn. 33/2017, na okładce, na samej górze, jest napisane, że Elvis Presley był królem popu. Z tego, co pamiętam, był i jest królem rock and rolla. Królem popu był nazywany Michael Jackson.

Aneta Skitał

Od redakcji:

Przepraszamy za błąd.

Uproszczony obraz

Od pewnego czasu na łamach „Do Rzeczy” ukazują się artykuły na temat protestantyzmu. Nie są one jemu przychylnie. Protestantyzm utożsamia się z takimi zjawiskami, jak np. rozwody, aborcja czy homoseksualizm. Nie wolno przypisywać ich całemu protestantyzmowi. Protestantyzm jest terminem upraszczającym zagadnienie. Oznacza tysiące Kościołów, które wywodzą się z szesnastowiecznej reformacji [...]. Dlaczego więc Redakcja nie opublikowała żadnego artykułu na temat zróżnicowania protestantyzmu, z którego w naszym kraju mało kto zdaje sobie sprawę? [...]

Marcin Iwanowski

Z żalem zawiadamiamy,
że 15 sierpnia 2017 roku zmarła



**Magdalena
Sadowska-
Czaputowicz**

działaczka opozycji przedsierniowej
i pierwszego NZS-u.
Mężowi – prof. Jackowi Czaputowiczowi
oraz całej Rodzinie
składamy wyrazy współczucia
przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jack Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarska, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski,

Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torąński, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szezech Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Mikołaj A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jack Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Łukasz Szelemej/East News, EMMANUEL DUNAND/AFP/East News, JAN BIELECKI/East News, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Anna Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 105 tys. egzemplarzy



DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



FOT. QUODIE CARCTA/PAP



FOT. NICOLAS CARVALHO/OLYMPIA/GETTY IMAGES



FOT. DAVID ARMENCO/IFORUM

ISLAMSCY TERRORYŚCI UDERZYLI W HISZPANIĘ

Co najmniej 14 osób zginęło, a ponad 100 zostało rannych w zamachu, do którego doszło w czwartek w Barcelonie. Muzułmańscy terroryści rozpędzoną furgonetką wjechali w tłum osób spacerujących po popularnym wśród turystów deptaku La Rambla, z zimną krwią zabijając zaskoczonych ludzi, w tym wiele kobiet i małych dzieci. Ofiary i ranni pochodzą z 34 państw.

Do tchórzliwego ataku przyznało się już tzw. Państwo Islamskie. W nocy z czwartku na piątek muzułmańscy terroryści próbowali urządzić kolejną krwawą masakrę w nadmorskim kurorcie Cambrils. Zanim policjanci zlikwidowali pięciu terrorystów, islamisci zdołali zranić siedem osób, w tym funkcjonariusza policji. Jedna osoba zginęła, a kilkanaście zostało rannych w miejscowości

Alcanar – w domu jednego z terrorystów doszło tam do eksplozji ładunku wybuchowego.

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” w rękach hiszpańskiej policji było czterech podejrzanych o dokonanie zamachu w Barcelonie. Zamach potępił m.in. papież Franciszek, który nazwał atak „niehumanicznym czynem” i „ślepą przemocą”. (jap) ©



Piekielna nawałnica

- To była największa klęska w historii Lasów Państwowych. Nawałnice, które przeszły nad Polską, zniszczyły 45 tys. ha lasów i ponad 8 mln m sześć. drewna. Uprzątnięcie połamanych drzew zajmie co najmniej dwa lata.
- Największe szkody odnotowano w Nadleśnictwie Lipusz w Pomorskiem. Wichura zniszczyła tam 2 mln m sześć. drewna. Gdyby załadować je do pociągu, miałby on długość od Gdańska do Zakopanego.
- W wyniku nawałnic zginęło sześć osób, a ponad 50 zostało rannych. Wiatr uszkodził ok. 4 tys. domów. Dostęp do prądu straciło pół miliona osób.



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER



FOT. MIROSLAW PIETLIK/FORUM



FOT. PAVEŁ WYSZOMIRSKI/FORUM

FOT. PAVEŁ WYSZOMIRSKI/FORUM



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Europa czarnego Forda

Merkel für alle” (Merkel dla wszystkich) – to hasło z wyborczego plakatu niemieckiej CDU dobrze oddaje leniwą atmosferę tegorocznego kampanii do Bundestagu. Miesiąc przed wyborami chadecja ma w sondażach od 38 do 40 proc. głosów. Druga na liście SPD oscyluje między 20 a 24 proc. Nikt już nie zwraca uwagi na Martina Schulza, który jako „Spitzenkandidat” socjaldemokratów okazał się kiepskim aktorem w kampanijnej sztuce. Żadnych dramatycznych zwrotów akcji, żadnych nowych haseł. Pani kanclerz jak leniwy kot czeka na wybory i kolejne cztery lata rządów. Już wiadomo, że to ona wybierze koalicyjnego partnera. Najprawdopodobniej będzie to partia wolnych demokratów – czyli FDP – z ich liderem Christianem Lindnerem, którego partia ma 8–9 proc. A reszta? Reszta się nie liczy. Merkel ich nie potrzebuje.

Angela Merkel dokonała cudu – uniknęła politycznej odpowiedzialności za decyzję z 2015 r. o wpuszczeniu do RFN ponad miliona imigrantów. Przez ostatnie dwa lata sprawnie uspokajała wyborców informacjami o tym, jak

blokuje kanały napływu uchodźców. Za grube pieniądze skłoniła Turków do zablokowania swoich granic, a władze Libii zachęciła kredytami do zawracania pontonów z uciekinierami jeszcze na libijskich wodach terytorialnych. I wreszcie pakiet pomocy finansowej dla szefów państw Sahelu, aby i oni uszczelnili granice. W ten sposób brutalni i mało okrzesani policjanci z Libii, Nigru czy Mali wykonają czarną robotę blokowania fali migracyjnej z południa na północ. Zadanie, za które Zachód woli suto zapłacić i nie wiedzieć zbyt wiele o jego szczegółach.

Spadek emocji wokół problemu imigrantów najmocniej uderzył w AfD, która tę sprawę wyniosła na swoje sztandary. Dzisiaj Alternatywa dla Niemiec jest wewnętrznie skłócona i w niszy 8 proc. przeżywa frustrację. A polityczna poprawność wytworzyła wokół AfD pustkę.

Merkel znów triumfuje, bo stworzyła synkretyczny miszmasz haseł wszystkich rywali. Raz robi ukłon w stronę konserwatystów i przypomina o konieczności nauki kołód w szkołach oraz przedszkolach, by potem bez mrugnienia okiem, nie-

mał z dnia na dzień, przeforsować w Bundestagu ustawę „Ehe für alle”, czyli legalizację małżeństw dla osób tej samej płci z prawem do adopcji dzieci. Jest jak jednoosobowa partia podchwytyjąca wszystko, co aktualnie może spodobać się wyborcom.

I hasło: „Merkel dla wszystkich” idealnie to oddaje. Nie jest sama. Sto dni temu we Francji w podobny sposób wybory prezydenckie, a potem parlamentarne, wygrał Emmanuel Macron ze swoją partią, w której jest miejsce dla prawicowców i lewicowców. A że wszystko to wolno, ale systematycznie przesuwają się w lewo? Przecież ta nowa polityka polega na dawaniu wyborcom tego, czego sami chcą. A o tym, czego chcą, mówią im media i popkultura zdobyte przez pokolenie roku 1968.

Wstarym sloganie z początku XX w. koncern Forda obiecywał nabywcom samochodów w dowolnym kolorze, pod warunkiem że będzie to kolor czarny. W dzisiejszej polityce europejskiej rządzą politycy, którzy swymi osobami zastąpili programy partyjne. A pytanie o idee nie ma sensu. Są przecież takie, jakie ty masz. Po co wnikać w szczegóły? ©

KARA ZA OPRAWĘ, OPRAWA ZA KARĘ

Po tym, jak kibice Legii Warszawa uczcili pamięć o powstaniu warszawskim oprawą na meczu z drużyną FK Astana w postaci transparentu z niemieckim żołnierzem przystawiającym łufę do skroni dziecka, UEFA wymierzyła warszawskiemu klubowi karę w wysokości 35 tys. euro (grzywna została nałożona również za „nieodrożne przejścia”). Kibice Legii przed spotkaniem z Szeriffem Tyraspol wyrazili zdanie na ten temat kolejną oprawą – pokazali wielkie logo UEFA z wizerunkiem świni. (luz) ©



FOT. KAMIL PIKIEWICZ/FORUM



FOT. TOMASZ ASTRZEWSKI/FOTO OLBIMK/REPORTER

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY



RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
eprasa.pl f3e29086ca





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Święty ogień

Lato to niestety sezon pożarów lasów. Wiadomo, suchy podszyt – wystarczająco niedogaszony ognisko, pet, butelka. Kiedyś nie był to taki problem, bo pożary gaszono. Wszystko jednak wskazuje na to, że te czasy należą już do przeszłości. Nawet jeśli organizacje „ekologiczne” i organa unijne jeszcze się o to nie upomniały, to – tak jak z wiekiem emerytalnym – co się odwlecze, to nie uciecze.

Tak naprawdę ekolog to naukowiec, ale przyjęło się tak nazywać działaczy

Gaszenie pożaru lasu jest bowiem czynnością głęboko wsteczną i prawicową, po prostu gwałtem na naturze – takim samym jak np. ochrona drzewostanu przed leśnymi szkodnikami. Las, jak wiemy od wybitnych naukowców pokroju

pana Wajraka, ze szkodników potrafi się oczyścić sam, w końcu szkodniki istniały miliony lat przed człowiekiem i jakoś lasów nie zniszczyły.

No dobrze, może las się sam nie ugasi, ale dzięki popiołom spalonych drzew odrośnie jeszcze bujniej. Oglądałem taki film na Discovery. W pierwotnych puszczech cykliczne pożary były wręcz warunkiem tego, by las nie wyginał, bo wielkie drzewa nie pozwalały wyrosnąć nowym i dopiero po przejściu żywiołu puszcza mogła się pięknie odrodzić.

Myślę państwo, że żartuję, ale ja nie jestem tego pewien. Przed kilku laty trzeba było w Puszczy Białowieskiej wyciąć 29 (słownie: dwadzieścia dziewięć) drzew zaatakowanych przez korniki. Niestety, wtedy właśnie uaktywnili się „ekolodzy” (tak naprawdę ekolog to naukowiec, ale przyjęło się tak nazywać działaczy – choć

to tak, jakby zadymiarzy rozwalających Hamburg i inne miasta podczas szczytów G-ileś tam nazywać „ekonomistami”). Posłuchano ich, więc dziś zarażonych jest już kilkanaście tysięcy drzew i cała puszcza wygląda na lotniczych zdjęciach burobrązowo. Jednak mimo to „ekolodzy” są słuchani nadal i wspierani przez Brukselę – przyroda sama się oczyści, a przynajmniej sama odrośnie. A leśnictwo to zło.

Wszystkie argumenty „eko” w sprawie kornika można równie dobrze odnieść do pożarów. Nie zdziwny się więc, jeśli niebawem wariaci z jakiejś kolejnej „pracowni na rzecz istot” zaczną rzucać się na wozy strażackie, przywiązywać do drabin i dziurawić węże z wodą. Bliższy już sukces, jakim będzie zamiana Puszczy Białowieskiej w Pustynię Białowieską im. Komisji Europejskiej, na pewno doda im skrzydeł i zachęci do dalszych akcji. ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 ministerstwie prawdy

We Francji ministerstwo prawdy nazywa się Conseil supérieur de l'audiovisuel. Jest organem regulującym media elektroniczne. Rada właśnie przedstawiła parlamentowi 375-stronicowy raport pt. „Różnorodność społeczeństwa francuskiego w telewizji i radiu” wraz z wnioskami oraz zaleceniami, których treść i język poświadczają nieśmiertelność dzieł Orwella.

Autorzy dokumentu wyrokują, że „osoby postrzegane jako niebiałe” (cóż za wykwinna fraza nowomowy – przyp. P.K.) występują w filmach fabularnych francuskich telewizji zbyt rzadko. Chociaż,

jak ogłaszają uradowani autorzy, sytuacja się poprawia. Na przykład TF1, najliczniej oglądana francuska stacja telewizyjna, w 60 proc. swoich produkcji fabularnych pokazuje przynajmniej jedną osobę „niebiałą”, a w innych telewizjach ten odsetek sięga nawet 96 proc.!

Niestety jednak, ubolewają autorzy raportu, „niebiały” zbyt często odgrywają rolę bohaterów negatywnych albo te mniej ważne, a to jest niedopuszczalne, bo wzmacnia dyskryminację, rasizm i islamofobię pośród białych widzów. W związku z tym – zaleca dokument – trzeba zwrócić szczególną uwagę na to, jakie role powierza się „niebiałym”,

i uczulić odpowiedzialnych za casting.

Należy więc w imię walki z rasizmem i islamofobią przedstawiać we francuskich stacjach filmy słusznie ideologicznie treściwą oraz obsadą, choć niekoniecznie do końca zgodną z rzeczywistością. Czyli Francuz ma co innego oglądać w tv, a co innego za oknem.

Nie jestem pewien sukcesu tej nachalnej pedagogiki. Pamiętam czasy, gdy rozsierdzeni ludzie rzucali pantoflami w telewizor, a z sygnałów docierających do mnie z kraju wynika, że kapcie znów poszły w ruch.

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ryzyko to część życia

Nigdy i nigdzie nie da się nikomu zapewnić pełnego bezpieczeństwa. Jeśli ktoś twierdzi, że można, to kłamie. A jeśli dążą do tego politycy, to można być pewnym, że ich celem jest jedynie zwiększenie zakresu kontroli nad obywatelami, a bezpieczeństwo jest tylko wygodnym pretekstem.

Śmierć dwóch harcerzek na obozie w Suszku jest ogromną tragedią. Sprawą zajmuje się prokuratura i to ona zdecyduje, czy komukolwiek można postawić zarzuty. Jednak rządowa akcja

przy każdym komunikacie o zbliżającej się burzy. Albo musiałoby go w ogóle nie być. Bo po co jakieś obozy w lasach?

Trzeba odróżnić ewidentne zaniedbania i lekkomyślność – tak jak w przypadku pamiętnej wycieczki licealistów na Rysy w 2003 r. – od naturalnych niebezpieczeństw, które czyhają na nas i naszych bliskich na każdym kroku. I są wpisane w wiele ludzkich działań. W jedne bardziej, w inne mniej – to naturalne.

Harcerstwo ma uczyć radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Poza miastem, w głuszy, w ciężkich warunkach, bez ciepłego łóżka i dachu nad głową. Taki jest sens skautingu. Bez zbędnego ryzyka, ale też bez trzęsienia się o dzieci na każdym kroku. Jeżeli ktoś chce ewakuacji przy pierwszych ostrzeżeniach o złej pogodzie, rezygnacji z obozów w lasach, specjalnych zabezpieczeń, to znaczy, że chce w istocie rezygnacji z elementu zagrożenia, który jest zasadnym i niezbędnym składnikiem harcerskiego szkolenia. Zresztą przeciętna podróż samochodem niesie ze sobą większe ryzyko niż obóz harcerski w środku lasu.

„Skauti są dziećmi wolnych przestrzeni” – powiedział Robert Baden-Powell, twórca współczesnego skautingu. Pamiętajmy o tym. ©

kontroli obozów dla dzieci to czysty populizm, w dodatku uderzający w ideę skautingu jako takiego. Kontrola ma sens wówczas, gdy pozwala uniknąć nieszczęścia w przyszłości. Ta sprawdzała podstawowe parametry, uprawnienia i normy, co jest zwykłym placebo, a w dodatku powinno być rutyną, a nie skutkiem specjalnych działań.

Obóz w Suszku, żeby uniknąć tego, co się stało, musiałyby mieć na miejscu dopplerowski radar meteorologiczny. Albo musiałyby być ewakuowane

**Obóz w Suszku,
żeby uniknąć tego,
co się stało,
musiałyby mieć
na miejscu
dopplerowski radar
meteorologiczny**



FOT. JERZY OUDKFORUM

Polska elektrownia jądrowa za 13 lat?

Do 2040 r. Polska powinna zbudować bloki jądrowe, które wytwarzałyby moc ok. 4,5 GW. A już 10 lat wcześniej reaktory w Polsce powinny wytwarzać moc przynajmniej 1,5 GW – szacował na ubiegłotygodniowej konferencji minister energii Krzysztof Tchórzewski (na zdjęciu). Jego zdaniem, by spełniać coraz bardziej obniżane limity emisji CO₂, Polska powinna zainwestować właśnie w elektrownię atomową. Zdaniem ministra

kraj ma potencjał, by samodzielnie sfinansować takie przedsięwzięcie. Minister nie podał jednak terminu, w którym zapaść może ostateczna decyzja o starcie takiej inwestycji.

W poprzednim numerze „Do Rzeczy” opisaliśmy historię budowy elektrowni atomowych w Polsce. Dziesiątki lat przygotowań pochłonęły już miliardy złotych, wliczając zatrzymaną inwestycję w Żarnowcu. ©

Łukasz Zboralski

PIS NADAL LIDEREM SONDAŻY

Chociaż w polskiej polityce trwa nieustanny, gorący spór, to poparcie dla partii politycznych prawie się nie zmienia. Dowodzi tego sondaż Kantar Public z ubiegłego tygodnia. Według tego badania niekwestionowanym liderem pozostaje Prawo i Sprawiedliwość, na które głosowałoby 36 proc. pytanym. Na drugim miejscu jest Platforma Obywatelska (18 proc.). Gdyby wybory odbyły się w ubiegłym tygodniu, to poza tymi partiami w Sejmie znalazłyby się jeszcze: Kukiz'15 (8 proc.),

Nowoczesna (8 proc.) oraz Sojusz Lewicy Demokratycznej (6 proc.). Poniżej progu wyborczego znalazłyby się: Polskie Stronnictwo Ludowe (4 proc.), Partia Razem (2 proc.) i Partia Wolność (1 proc.). Z kolei 17 proc. badanych nie było zdecydowanych, na kogo oddać głos. W porównaniu z poprzednim, lipcowym badaniem Kantar Public poparcie dla PiS spadło o 2 punkty procentowe. Spadło też poparcie dla Platformy, Partii Wolność oraz ugrupowania Kukiz'15 (wszystkim o 1 punkt procentowy). (luz) ©

O PIETRUSZCE I BROKULE



FOT. FORUMWAZD.COM.PL

Joanna Moro, aktorka znana głównie z jednej roli, próbuje o sobie przypomnieć. Serialowa Anna German opowie-
działa więc o tym, jak ciężko jest być aktorką. – Mam ślady po każdym ważnym projekcie. Na planie serialu „Lifting” makijaże były trudne, dobieranie peruk, chodzenie w tych dziwnych

rzeczach przez 12 godzin jest strasznie trudne. Jak to ciągnie, kłuje, ścisła. Ten zawód nie jest jednym z najłatwiejszych zawodów. Często płaczę z powodu tego, że jest ciężko na planie – mówi Moro. Na szczęście ostatnio miała niewiele powodów do płaczu, bo i propozycji było nie za wiele, choć Joanna ciągle marzy o nowej, ważnej roli, ale takiej nie dla siebie, lecz dla świata.

– Marzę o roli nie dla siebie, a która pomoże zmienić świat na lepsze. Tak jak Anna German, to rola, która pomaga. Anna była aniołem. Ludzie lubią to oglądać – mówi. Skoro takiej roli na horyzoncie brak, to Joanna skupia się na innych sprawach. Mówi, że interesuje się zdrowym odżywianiem i jest w tym temacie ekspertem. – Staram się myśleć i robić wszystko z głową. Wszystko z umiarem. Interesuję się zdrowym odżywianiem, czytam książki. Mogę mówić o działaniu pietruszki i brokuła – opowiada. Żałujemy, że jej rozmówca nie pociągnął tego tematu. A była szansa na pierwszy ciekawy wywiad Joanny Moro!

KROPELKI HONORATY

Honorata Skarbek, blogerka modowa i piosenkarka, znana też jako „Honey”, jakby na chwilę zniknęła z show-biznesu. Niestety nie na długo, bo właśnie powróciła z kolejną dawką mrozących krew w żyłach opowieści o swoich problemach z zatokami. Raczyla już nas nimi wielokrotnie, ale widać jej zdaniem to wciąż atrakcyjny temat. Tym razem opowiedziała „Faktowi” o swoim uzależnieniu od kropli do nosa. – Uzależniłam się od wszelkiego rodzaju kropelek do nosa, które nawilżały mi błonę śluzową. Pierwsze kupiłam sześć lat temu, żeby udrożnić zatoki. Kiedyś całe



FOT. DAWID GRONOWA

noce oddychałam przez buzię, bo inaczej nie umiałam – wyznaje. Kiedy jednak zorientowała się, że bez kropli nie jest już w stanie oddychać, sama zrobiła sobie odwyk. Nie było lekko.

– Żeby skończyć z tymi kropelkami, postawiłam sobie w mieszkaniu nawilżacz powietrza, a lek zastąpiłam bezpieczną wodą morską. Minęło kilka dni, a ja już czuję się lepiej i mam nadzieję, że uda mi się na stałe odstawić kropelki – kończy swoją opowieść. Przez chwilę ludziliśmy się, że cała ta jej opowieść w „Fakcie” to może jakiś efekt uboczny nadużywania tych nieszczęsnych kropelek. Potem jednak doczytaliśmy, że kropelki właśnie odstawiła. I nadzieja prysła. Jak kropelka.

KTO ŚWIECI KLATĄ

Piosenkarz Rafał Brzozowski przyznał, że jest strasznie słaby, jeśli chodzi o obsługę mediów społecznościowych, i ma świadomość, że na tym traci. Nie potrafi jednak i nie chce nic z tym zrobić. – Jestem słaby, jeśli chodzi o social media. Zachowuję zdrowy rozsądek, mimo że wiem, że mógłbym zarobić więcej pieniędzy przez reklamodawców, którzy widzieliby więcej hashtagów czy polubień – dodaje. – Potrafię grać na instrumentach, znaleźć sobie pracę i się w tym wszystkim obronię. Na pewno mógłbym to podkreślić, rozebrałbym się, świecił klatą, ale do czego jest mi to potrzebne? – zastanawia się. Cóż, sam fakt, że powiedział, że mógłby poświęcić klatą, sprawił, że trafił na wszystkie portale plotkarskie. I cieszymy się bardzo, że są jeszcze tacy, dla których nie jest to wystarczający powód.

DINOZAUREM BYĆ

Kinga Rusin pochwaliła się, że poprowadzi jubileuszową galę TVN z okazji 20-lecia stacji.

Podobno Edward Miszczak oprócz niej rozważał jeszcze dwie kandydatury prowadzących: Agnieszkę Szulim (teraz Woźniak-Starak) oraz Małgorzatę Rozenek (teraz Majdan). Padło jednak na Kingę, która ze stacją jest związana od 2005 r. – Dyrektor Miszczak zastanawiał się, której ze swoich ulubienic powierzyć tę fuchę. Dla wielu było oczywiste, kto jest jego prawdziwą ulubienicą, i pracę dostała Kinga – powiedział w rozmowie z tabloidem „Fakt” anonimowy pracownik TVN. Sama Rusin nie kryje radości.

– Faktycznie, zadzwonił do mnie mój producent i mówi: „Kinga, musisz poprowadzić 20-lecie TVN!”. Odpowiadam mu: „Ja?!”. Ale bardzo się ucieszyłam. Wiem już, jaki był klucz podczas wyboru. Ja tu po prostu najdłużej pracuję! Jestem dinozaurem i dlatego mnie wybraли! – opowiedziała „Faktowi”. Albo dlatego, że jej kontrkandydatki zażądały większych honorariów. Może jednak lepiej nie mówić tego Kindze, po co ma być jej przykro. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jak wiecie, nie interesujemy się sportem, iż to fashysm i niezdrowa rywalizacja, ale musimy odnieść się do tego, iż klub Paris Saint Germain kupił Brazylijskiego piłkarza Neymara za 220 mln euro. Neymar, jesteście z Tobom!

Otóż przede wszystkim musimy zadać pytanie: Jak to możliwe, iż wciąż w sercu Europy dopuszczalny jest jawny handel ludźmi? Jak się czuje sam Neymar, który stał się przedmiotem obrzydliwego, niewolniczego handlu pomiędzy dwoma klubami? Chyba musimy przygotować w tej sprawie mema i zorganizować jakąś akcję afirmacyjną, iż piłkarze pokroju Neymara nie mogą być współczesnymi niewolnikami!!!!

Druga sprawa: Czy Neymar miał jakiś wpływ na to, na ile go wyceniono? Może on sam się czuje wart mniej albo więcej? Dlatego więc żądamy, iżby osobopiłkarze byli zapraszani do negocjowania cen za siebie samych, co pozwoliłoby na ich upodmiotowienie w czasie tych obrzydliwych handlowych negocjacji.

Widzieliśmy niedawno sondaż, według którego mieszkańcy tego kraju, ci bardziej postępowi i europejscy, nie chcą już jako liderów opozycji Richiego Petru i Scheta. To do prawdy daleko idąca niesprawiedliwość i niewdzięczność ocierająca się nawet lekko o fashysm.



Na szczęście według tego samego sondażu mile widziane jako liderczyni opozycji byłyby Ewa Kopacz, Katarzyna Lubnauer oraz Kamila Gasiuk-Pihowicz. Z niemałym zainteresowaniem śledzilibyśmy wówczas, w jaki sposób prowadzona przez nie opozycja próbowałaby odsunąć pis od władzy.

Zresztą pewnie to i tak tylko takie dywagacje, bo Richie i Schet zostaną. A jako iż to przenikliwie i dalekowzroczne osoby stanu, będą pewnie robić to samo, tylko bardziej i częściej – aż w końcu niewierny lud uzna, że „No OK, niech będzie xD”.

Strasznie nam wstyd za pomysł, iż Niemcy mieliby wypłacić temu krajowi reparacje wojenne. Otóż Macierewicz i reszta pisowskich oszołomów chyba nie zdają sobie sprawy z tego, pod jak absurdalnym adresem kieruje swoje roszczenia.

Przecież wszyscy wiedzą, iż wojnę rozpętali naziści, a nazizm nie ma narodowości. Co oznacza, iż naziści mogli być także mieszkańca-

mi tego kraju. To oznacza, iż nazizm jest uniwersalny. Obarczanie odpowiedzialnością za niego współczesnych Niemców jest daleko idącym uproszczeniem i historyczną niesprawiedliwością.

Czujemy się więc w obowiązku stanąć w obronie Niemiec. Skoro więc fashysci chcą robić składkę na karę, którą dostanie Legia za oprawę podczas meczu z Astaną o Powstaniu Warszawskim, to my też zorganizujemy składkę na wypadek, gdyby jednak komuś przyszło do głowy, iż Niemcy powinny temu krajowi zapłacić te reparacje. Niemcy mają przecież swoje wydatki i nie warto im zaprzętać głowy takimi zaszłościąmi xD

Profesora Środa napisała felieton, w którym poddała miażdżącej feministycznej krytyce dotychczasową formułę obchodzenia Dnia Wojska Polskiego – wiecie, te wszystkie parady, falliczne lufy czołgów, sztywni żołnierze... Okropność, zwłaszcza z feministycznego punktu widzenia.

Warto byłoby jednak zaproponować jakąś twórczą dekonstrukcję powszechnie przyjętego paradygmatu, zwłaszcza że przecież każdy wie, iż tak naprawdę wojsko polskie ruszało z szablami na nazistowskie czołgi, a polscy lotnicy musieli latać na drzwiach od stodoły, iż nie mieli własnych samolotów i w końcu pożyczali angielskie. To podstawowa wiedza. To są fakty.

Dlatego, czy nie byłoby lepiej, aby zamiast wizualizacji mocarstwowych wizji jednego małego zakompleksionego człowieka i urządzania parad (które za PO nie były tak falliczne!!!) zorganizować jakiś panel dyskusyjny o zbędnej roli wojska we współczesnej Europie? W ogóle wyobraźcie sobie: państwo ma pozwolenie na broń i się nią jeszcze chwali. Przecież natychmiast trzeba to w jakiś sposób ukrócić! ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

Dziwny jest ten świat. Nawałnice wywałyły w kosmos jedną piątą Parku Narodowego Bory Tucholskie, ale to ekoterrorystom nie przeszkadza. Vis maior – siła wyższa. Zbrodnia jest tylko wtedy, kiedy nadszyszkownik Szyszko chce wyciąć parę hektarów Białowieskiej z kornikiem. Podobno dlatego, że walka z kornikiem grozi siedliskom rysia. Dementujemy. Siedliskiem Rysia jest Bruksela i nic temu siedlisku nie grozi.

Nawałnice ominęły defiladę z okazji 15 sierpnia, więc naczelne władze partyjne i państwowe mogły okazać się narodowi w słońcu i w całej okazałości. Najważniejsze rzeczy mówił prezydent Andrzej Sebastian, ale wielki hetman koronny Antoni musiał mieć ostatnie słowo. Kiedy już wszystko miało się zakończyć, znienacka ogłoszono, że teraz kwiaty składał będzie hetman Antoni.

Wcześniej też było zabawnie. Kiedy prezydent Andrzej Sebastian rozpoczął swą ważną mowę, nad placem zaczął krążyć wojskowy śmigłowiec robiący okrutnie dużo hałasu. KOD zwykł zagłuszać Andrzeja Sebastiana gwizdkami. Jak widać, hetman Antoni preferuje konkretniejsze środki.

Przy okazji – bardzo kibicujemy Wojskom Obrony Terytorialnej, ale mamy pewne wątpliwości. Czy wojska, których przedstawiciele spóźnili się o półtorej godziny na uroczystości u prezydenta, będą w stanie stawić się na czas, kiedy przyjdzie co do czego?

Apropos „bitwy warszawskiej” – najbliższa odbędzie się jesienią 2018 r. I całkiem możliwe, że znów stanie się cud. Tym razem byłoby nim wystawienie w wyborach samorządowych przez PiS kandydata, który ma szansę zdobyć stolicę. Czyli obecnego marszałka Senatu – Stanisława Karczewskiego. Wiewiórki mówią, że to całkiem prawdopodobny scenariusz.

Skoro już o zmianach personalnych mowa. Nasza zielona siostra Andżelika Możdżanowska – dawniej PSL, dziś czyściec, wkrótce PiS – wybiera się podobno do kancelarii premier Bełaty, by zająć tam eksponowane stanowisko. Nas bardziej od tego, czy zajmie się sprawami równego traktowania, interesuje to, czy zapisze się do najpotężniejszej frakcji w kancelarii. Do fanklubu Rafała Bochenka.

Zapytaliśmy mądrych ludzi z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana, dlaczego puknięto prezydenckiego fotografa – Hrechorowicza Andrzeja. Odpowiedź była intrygująca: „Przegrał z głupimi babami”.

Zainteresowaniem zgłębiamy więc meandry wojny płci w obozie prezydenckim.

Wiewiórki twierdzą, że Hrechorowicz szczególnie miał na pieńku z niejaką Grażyną Ignaczak-Bandych, dyrektorem generalną. Tak, pamiętacie ją z naszej rubryki. To ta od niekończących się szkoleń typu „mapa problemów” oraz „mapa możliwości intelektualnych”. Przy niej zakup gumki myszki jest trudniejszy od wysłania człowieka w Obłok Magellana, a co dopiero inwestycja w nowy komputer albo aparat dla fotografa.

Jest i inna interpretacja kłopotów Hrechorowicza. Otóż był on jednym z ostatnich Apaczów czy innych Mohikanów, którzy jeździli z prezydentem Andrzejem Dudą dudabusem w czasach kampanii. I wiedzą wszystko, widzieli wszystko, pamiętają wszystko. Na przykład kto harował i wierzył, a kto nie. Takich ludzi w czasach pokoju nigdzie nie trzeba, szczególnie na salonach opianowanych przez ekipę z nowego zaciągu. Smutny jest los weterana.

Tymczasem na froncie walki o odpowiednią zawartość radykalizmu w radykalizmie. Tygodnik partyzantów wolnego słowa nie poprzestał na ustaleniu, że prezydent Andrzej Sebastian jest marionetką Berlina i agentem Putina otoczonym przez mafię z WSi. Teraz zaczęto go określać mianem „pana doktora”, czyli w sposób zarezerwowany dotąd dla Jana Kulczyka. Czekamy z zainteresowaniem na dalszy rozwój wypadków, chyba termin „zapłuty karzeł reakcji” czai się tuż za rogiem.

Bój o zwiększenie zawartości radykalizmu w radykalizmie wkroczył też do TVP, gdzie robotę straciła szefowa „Wiadomości” Marzena Paczuska, oskarżana o miękiszkoństwo oraz odchylenie proprezydenckie. Biorąc pod uwagę, jak do tej pory wyglądały „Wiadomości”, ta kolejna dobra zmiana może sprawić, że teraz będą przypominały te z Korei Północnej. Żli ludzie z wyżyn PiS opowiadają, że zwolnienie Paczuskiej odbyło się za wiedzą i aprobatą Nowogrodzkiej.

Apropos nawałnic – mamy dzięki nim dowód, że minister Błaszczak jest dobrym człowiekiem. Kiedy wizytował spustoszone tereny, psy mieszkańców na niego szczekały. A przecież gdyby się go bały, wybrałyby warczenie. Wszystko mamy na taśmie.

dwaj
panowie

g

FOT. ROBERT CAROŃSKI

Ciąg dalszy paniki w MSZ wywołanej żądaniem od Niemiec reparacji wojennych. Odcinek drugi pt. „Wyparcie”. Nastrój depresji departamentu prawnego udzielił się pozostałym, do szczybla wice-ministra włącznie, wywołując epidemię o nazwie „my nic oficjalnie nie wiemy”. Kto czyta „Wyborczą”, ten zauważył, że najpiękniej oficjalnie nic nie wie były rzecznik Andrzeja Sebastiana – Marek Magierowski.



inni zareagowali z sympatią. W resorcie Srebrnego Lisa Dyplomacji w ogóle są sami sympatyczni i uprzejmi ludzie. Na przykład Krzysztof Augustin, pełnomocnik ministra spraw zagranicznych ds. estetyki wnętrz budynków. Ostatnio napisał do Wojciecha Korkucia, znanego autora plakatów: „Czy to ty jesteś tym damskim ch...em od plakatu »reparationen machen frei«?”. Dzięki temu poznaliśmy także estetykę wnętrza Krzysztofa Augustina.

Widmo krąży po Europie, widmo Ryśka Petru i Joaški Schmidt. Ledwie widziano ich w Chorwacji, gdzie spożywali owoce morza i pili białe wino, a już przenieśli się do Paryża, by spożywać to samo. Polski Macron musi

się jednak wiele nauczyć. Na przykład zamiast konserwatywnie być starszym od swojej partnerki o sześć lat, powinien być postępowo młodszy od niej o lat 24. W chwili obecnej oznaczałoby to, że Rysiek powinien mieć lat 15. Choć w sumie podejrzewamy, że mentalnie to właśnie tyle ma.

Podobno lud platformerski chce, żeby nowym Tuskiem został Borysław Budka, a nie Grzegorz Schetyna. Nas to nie dziwi. Borysław się tak nie garbi. A lud nowoczesny pragnie, by nowym Ryszardem Petru została Kaśka Lubnauer albo Mysza Agresorka. I to już nas akurat dziwi. Przyznacie, że Ryśka nikt nie jest w stanie zastąpić.

Z zaciekawieniem czekamy na pojedynek bokserski Paweł Rabiej-Tomasz Sakiewicz. Choć Rabiej to niby Nowoczesna Kropka, będzie to wewnętrzna sprawa dziennikarzy i autorów niepokornych. W końcu Rabiej, zanim poszedł w politykę, napisał książkę „Kim pan jest, panie Wachowski”. Razem z Ingą Rosińską. A Sakiewicz książkę „Układ”. Razem z Elizą Michalik. Tak, tą Elizą Michalik. Proponujemy, by równolegle z pojedynkiem Rabiej-Sakiewicz zorganizować zapasy Rosińska-Michalik.

Jeszcze o dziennikarzach. Jest lato, więc kaczki dziennikarskie latają po gazetach i portalach niby ogórki w sezonie. Zapewne zauważyli państwo, że tegoroczna chupacabra nazywa się „partia prezydencka”. Podpowiadamy kolegom inne dyżurne tematy wakacyjne: czy powstanie partia o. Rydyzka, trzeszczy w koalicji oraz przedterminowe wybory parlamentarne.

Z ostatniej chwili: sąd w Bartoszycach orzekł, że kot sołtysa z Dzikowa Hławeckiego może biegać swobodnie po okolicy. Pomyślcie sami, co w takim razie może kot Prezesa! © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

BLACK CARBON – PRAWDZIWY TWARDZIEL WŚRÓD ZEGARKÓW

KAŻDY WIE, ŻE ŻYCIE NIERAZ NAS ZASKAKUJE, NIEBEZPIECZEŃSTWA NIE DA SIĘ PRZEWIDZIEĆ. JEDNAK ZEGARKI BLACK CARBON OD SWISS MILITARY HANOWA PORADZĄ SOBIE NAWET W PODBRAMKOWYCH SYTUACJACH.

Szwajcarscy projektanci inspirację czerpali z surowego, ergonomicznego designu wojskowych czasomierzy. Dlatego tarcze zegarków Black Carbon są przejrzyste, czytelne, z dużymi arabskimi cyframi. 44-milimetrowe koperty choć są masywne, nie będą ciążyły na nadgarstku. Wykonano je z niezwykle wytrzymałego, a zarazem ultralekkiego materiału karbonowego i pokryto odpornym na stłuczenia mineralnym szkłem. Dzięki wodoszczelności na poziomie 10 ATM wytrzymają zanurzenie w wodzie, a zainstalowane precyzyjne szwajcarskie mechanizmy kwarcowe gwarantują niezawodność i precyzję działania. Ciekawym rozwiązaniem jest dwuwarstwowy pasek – od spodu silikonowy, a z wierzchu materiałowy. Obie warstwy są dyskretnie przeszycie, a brzegi wykończone kolorem pasującym do detali na tarczy. Jeżeli jesteś mężczyzną kierującym się swoimi własnymi zasadami, ważny jest dla Ciebie unikalny wygląd oraz wygoda i funkcjonalność – zegarki Black Carbon od SWISS MILITARY HANOWA są stworzone dla Ciebie!

SWISS.COM.PL CENA: 890 zł
243 565, 243 566





Łukasz Warzecha

Po 12 latach władzy PiS, w 2027 r., przyszło nowe – wygrała koalicja Nowej Platformy z partią Lewą Marsz Adriana Zandberga. Co może zrobić, biorąc w ręce narzędzia ręcznego sterowania państwem?

Rok

Politycy rządzącego od trzech kadencji PiS (w ostatniej z koalicjantem w postaci PSL) do ostatniej chwili robili dobrą minę do złej gry. Jednak wyniki wyborów, ogłoszone w niedzielny jesienny wieczór 2027 r., nie pozostawiały wątpliwości: partia niemal już 80-letniego Jarosława Kaczyńskiego, wciąż pełniącego funkcję jej prezesa, poniosła klęskę, zdobywając zaledwie 11 proc. głosów przy wysokiej, 58-procentowej frekwencji. To znacznie mniej, niż osiągała w poprzednich wyborach.

Niektórzy niezależni komentatorzy od dawna przewidywali taki rozwój wypadków, wieszcząc zwycięstwo koalicji złożonej z niedawno utworzonej partii Lewą Marsz, z Adrianem Zandbergiem na czele, odświeżonych Zielonych i Nowej Platformy. Do renesansu PO doprowadził w 2022 r. Igor Ostachowicz, niegdyś główny PR-owiec Tuska. Przewrót wewnętrzny, inspirowany z zewnątrz przez Ostachowicza właśnie, a pośrednio Tuska (wówczas, jak się zdawało, na obfitej emeryturze) obalił nieudolnego Schetynę, a liderem partii został właśnie Ostachowicz. Szybko zabrał się za trening wizerunkowy młodszych po-

lityków PO, a gdy ten się zakończył, partię przemianowano na Nową Platformę, która stała się krajowym zapleczem Tuska, wciąż mającego swoje ambicje.

I tak się faktycznie stało. Ostrzegali, że poza zwykłym zmęczeniem rządzącymi – w PiS trwały wciąż te same twarze, tyle że nieco postarzałe – da o sobie znać irytacja kolejnymi przyjmowanymi na chybcika rozwiązaniami, przedstawianymi jako służące wspieraniu narodowej dumy i „zwykłych Polaków”, a w istocie nieprzemyślanymi i mnożącymi problemy.

Na przykład w 2021 r. powołano Narodową Korporację Taksówkową – coś w rodzaju obowiązkowego zjednoczenia wszystkich korporacji taksówkarskich. Wprowadzone wtedy przepisy oznaczały całkowity koniec Ubera w Polsce oraz niedawno wprowadzonej przez polską firmę SelfDrive usługi wypożyczania na minuty półautonomicznych pojazdów. Zmiany wymusili taksówkarze domagający się podniesienia biurokratycznych barier dostępu do zawodu, ścisłych limitów liczby taksówek w każdej miejscowości oraz centralnie ustalonego jednolitego cennika. Pod naciskiem związków zawodowych taksówkarzy ich zawód zyskał status funkcjonariusza publicznego.

„Polska może na tym tylko skorzystać – grzmiał wtedy w Sejmie premier Joachim Brudziński. – Taksówkarze wreszcie będą mieć zapewniony godziwy byt, a pasażerowie będą korzystać na tym, że rynek zostanie poddany rzetelnemu i uczciwemu państwowemu nadzorowi, bez dotychczasowego bezhołowia. A zagraniczne firmy, które żałują, że nie będą mogły żerować na Polakach, niech idą gdzie indziej. Pasożytów nam nie potrzeba!”. Pierwszym dyrektorem NKT został Marek Suski. Ceny szybko poszybowały w górę, liczba taksówek się zmniejszyła.

Wprowadzona w 2017 r. ustawa „apteka dla aptekarza” już dawno sprawiła, że



POLITYCZNA FIKCJA CZY RZECZYWISTOŚĆ? 2027

◀ JAK MOŻE WYGLĄDAĆ POLSKA? ▶

lekarstwa były dużo droższe niż kiedyś, a do najbliższej apteki trzeba było iść kilka kilometrów.

Ludziom dawały się we znaki Narodowy Monopol Mleczarski oraz Krajowy Monopol Używkowy. Wskutek działań ministra Konstantego Radziwiłła (wróżyono mu krótką karierę, on tymczasem pozostał szefem resortu zdrowia nawet po wyborach 2019 r.) ta ostatnia instytucja, powołana w 2022 r., otrzymała wyłączność na sprzedaż alkoholu i wyrobów tytoniowych w specjalnych sklepach, otwartych tylko cztery dni w tygodniu w godz. 11–15. Dodatkowo wszystkie używki obłożono specjalną akcją w wysokości 20 proc. Brygady celne dzielnie walczyły z rosnącym przemysłem. „Socjalizm bohatersko zwalcza problemy nieznane w żadnym innym systemie” – przypominał słynne słowa Kisiela Rafał A. Ziemkiewicz, publicysta „Do Rzeczy”. Odpowiadał mu w „Sieciach Jedynej Prawdy” Jacek Karnowski: „Dość podtruwania narodu polskiego! Mądra decyzja rządu, dbającego o zdrowie i dobrobyt zwykłych Polaków, oznacza także ogromne oszczędności w ochronie zdrowia. Wypada trzymać kciuki za sygnalizowany przez ministra Radziwiłła zamiar wprowadzenia całkowitego zakazu palenia, także w prywatnych mieszkaniach”.

W kampanii przed wyborami w 2027 r. lewicowa koalicja obiecywała poluzowanie barier i zakazów, choć nie wspominała o likwidacji różnego rodzaju monopolu, nadrzędnych instytucji, czap organizacyjnych. Te miały pozostać – w końcu utworzono w nich kilkadziesiąt tysięcy nowych miejsc pracy dla urzędników.

Jako przyczynę zwrotu w lewo zamiast w prawo, ku konserwatywno-liberalnemu blokowi Wolność i Odpowiedzialność Pawła Kukiza i Stanisława Tyszki, analitycy wskazywali trudne do zniesienia natężenie hurrapatriotycznej narracji aparatu władzy. W 2020 r. powołano Mini-

sterstwo Dumi Narodowej. Na jego czele stanął Antoni Macierewicz, łącząc tę funkcję z dalszym szefowaniem MON. W 2023 r. w „Do Rzeczy” ukazał się tekst prof. Stanisława Żerki, który porównywał natężenie hurrapatriotycznej poetyki z okresem rządów pułkowników w drugiej połowie lat 30. i konkludował: „Przebiliśmy już poziom stetryczenia patriotycznej narracji II RP, gdy eksponowanie portretów Marszałka w witrynach sklepowych było obowiązkowe, a diatwa szkolna na ocenę uczyła się wesołych przysłów o bohaterskim Śmigłym-Rydzem. Rozporządzenie ministra edukacji o obowiązkowych cotygodniowych apelach patriotycznych w szkołach sprawi, że młodzi ludzie się zbuntują. Nazwanie obficie sponsorowanego przez państwo pierwszego polskiego auta elektrycznego (kosztującego zresztą krocie, a przy tym wybitnie niepraktycznego) imieniem Łupaszki mogło



■ przyjść na myśl tylko komuś kompletnie pozbawionemu instynktu samozachowawczego". W wyborach roku 2027 na lewicę zagłosowała ogromna liczba Polaków w wieku 18–25 lat, od ponad 10 lat żyjąca w warunkach obowiązkowej, sankcjonowanej prawnie narracji patriotycznej.

„Ciekawe, ile ten tzw. profesor wziął od Niemców za ten obrzydliwy tekst” – skomentował na łamach „Gazety Polskiej” Piotr Lisiewicz. I dodawał: „Fakt, że tak wielka część młodych ludzi oddała głos na antypolskie, lewackie partie, pokazuje jedynie, że Ministerstwo Dumy Narodowej powinno zostać powołane jeszcze za pierwszej kadencji PiS”.

Zatem – przyszło nowe. Liderem zwycięskiej koalicji był Zandberg i to on miał zostać premierem. Natychmiast po ogłoszeniu wyników wyborów z gratulacjami pospieszył prezydent Donald Tusk, który łatwo wygrał wybory w 2025 r., startując przeciwko Joachimowi Brudzińskiemu. W drugiej turze kandydat PiS dostał jedynie 25 proc. głosów. Tusk zwyciężył, odwołując się w dużej mierze do postulatów radykalnej społecznej lewicy i już wówczas niektórzy ostrzegali PiS, że zmierza ku klęsce.

„Na zmianę kursu jest już chyba jednak za późno. Wkrótce wszystkie instrumenty, które tak pracowicie tworzyła partia Kaczyńskiego, układając państwo pod siebie (a dokładnie: pod rządzące ugrupowanie), zostaną wykorzystane przez kogo innego – prawdopodobnie radykalną lewicę. A wówczas rozlegną się płacz i zgrzyta-

nie zębów” – przestrzegał, kolejny już zresztą raz, w roku 2026 Łukasz Warzecha, publicysta „Do Rzeczy”. „Ten zdraziecki defetyzm, siany przez niektórych od lat, powinien się wreszcie spotkać ze stanowczą odpowiedzią. Pora, aby zawód dziennikarza obwarować uzyskaniem licencji i pozwolenia. W przeciwnym wypadku każdy będzie mógł sobie pisać, co będzie chciał!” – grzmiała w odpowiedzi Marzena Nykiel na portalu wPolityce.pl.

Zandberg błyskawicznie zabrał się do roboty. Jedną z pierwszych dziedzin, w których nastąpiły zmiany, były media. Tutaj zadanie było banalnie łatwe – PiS stworzył mechanizmy, które pozwoliły nowemu rządowi zyskać całkowitą kontrolę nad mediami publicznymi w ciągu miesiąca. Wymienieni zostali wszyscy prezesi, dyrektorzy, kierownicy redakcji. Nowym prezesem TVP został Jacek Żakowski, prezesem Polskiego Radia – Eliza Michalik. Programy z dnia na dzień stracili wszyscy konserwatywni publicyści. Nawet najbardziej neutralni prowadzący zostali zesłani do archiwów czy redakcji dziecięcych.

„Dziennikarze mediów niezależnych chcieli spytać o to ministra kultury, ale nie mogli, bo nie wyszedł do sali prasowej” – napisał na Twitterze Marek Kuchciński. Szybko jednak skasował tweeta, bo przypomniano mu, że to on sam jako marszałek Sejmu w drugiej kadencji rządów PiS w końcu doprowadził do radykalnego ograniczenia swobody dziennikarzy w Sejmie, relegując ich do salki prasowej. Specjalne przepustki, uprawniające do

poruszania się po innych miejscach, dostali tylko dziennikarze mediów publicznych. Teraz jest utrzymano, dziennikarze mediów publicznych byli nadal bezkrytyczni wobec władzy, tyle że byli to już inni dziennikarze i inna władza. „Władza w skandaliczny sposób zawłaszcza media publiczne, wyrzucając ludzi jedynie za poglądy! To początek dyktatury!” – grzmiał Jarosław Kaczyński podczas grudniowej miesięcznicy 2027 r. Miesięcznica odbywała się na

Lewicowy rząd zaczął szybko zmiany w spółkach Skarbu Państwa. Po trzech miesiącach sięgnęło to mediów od nich zależnych

Polu Mokotowskim, ponieważ tymczasem zdążono już zmienić ustawę o zgromadzeniach. Według nowej zgromadzenia o charakterze religijnym nie mogły się odbywać w obrębie centrów miast. „Fakt, że musimy gromadzić się tutaj, pokazuje, z jakim reżimem mamy do czynienia!” – przemawiał Kaczyński do 150 zebranych osób. Następnego dnia w Polskim Radiu minister spraw wewnętrznych Michał Szczęba mówił: „Pan prezes zawsze powtarzał, że realizuje wolę Polaków, którzy wybrali PiS w demokratycznych wyborach, dając mu mandat do wprowadzania nawet wątpliwych rozwiązań. Sądzę, że powinien

CO PO RZĄDACH PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI?



Jestem przekonany, że wygramy kolejne wybory. Odsuniemy szkodników od władzy. Dziś mogę wam wszystkim w Polsce obiecać, że gdy nadejdzie ten dzień, postawimy przed Trybunałem Stanu prezydenta Andrzeja Dudę i premier Beatę Szydło.

Ryszard Petru, przewodniczący Nowoczesnej, podczas konwencji programowej partii, 11.09.2016 r.

Może dojść do tego, że bronić demokracji trzeba będzie drogą niedemokratyczną.

Lech Wałęsa, były prezydent, Dziennik.pl, 20.07.2017 r.

Jarosław Kaczyński, jako prezes ugrupowania, które w systemowy sposób łamie prawo i niszczy polską

wolność, zostanie oskarżony przez nas o sprawstwo kierownicze tej zbrodni.

Grzegorz Schetyna, przewodniczący PO, podczas konferencji prasowej w Sejmie, 20.07.2017 r.



Nie pozwolimy PiS-owi zabrać Polakom nadziei, przerwać europejskiego snu. Możemy obiecać, że Polacy was rozliczą, a niezawisłe sądy osądzą każdego, kto jest przy władzy i świadomie łamie prawo.

Sławomir Neumann, szef klubu poselskiego PO, podczas Marszu Wolności, 6.05.2017 r.

Tak się poczuje [spełnionym politycznie – przyp. red.], jak zobaczę Kaczyńskiego, Macierewicza, Ziobrę

i Kamińskiego uciekających przez okno z budynku na Nowogrodzkiej. A na poważnie – chcę doczekać dnia, kiedy obecny prezydent Andrzej Duda, Kaczyński i premier Szydło staną przed Trybunałem Stanu. To, co oni obecnie robią, jak łamią demokrację, nie da się chyba rozliczyć karnie. Dlatego muszą ponieść odpowiedzialność polityczną. Za to, że prawie nas cofnęli do czasów komuny i wprowadzili podobne standardy.

Stefan Niesiołowski, poseł (koło Europejscy Demokraci, dawniej PO), w Onet.pl, 22.09.2016 r.



Do Jarosława Kaczyńskiego, którego mam nieprzyjemność znać od ok. 40 lat, chciałem powiedzieć tak: Jareczku, tak jak pisał poeta: „spisane będą czyny i rozmowy”. Pamiętaj

sobie te słowa przypomnieć. Teraz to my mamy ten mandat”.

Ustawa została przez PiS zaskarżona do TK, ale ten w starym składzie nie zdążył jej rozpatrzyć. Nowy Sejm zmienił ustawę o trybunale, uznając, że wszyscy jego dotychczasowi członkowie zostają tym samym odwołani, a na ich miejsce trzeba powołać nowych. Orzeczenie zapadło więc dopiero w połowie 2028 r. i potwierdziło konstytucyjność ustawy. „Nie możemy tu mówić o ograniczeniu nicychich praw, gdyż zakaz dotyczy jedynie centrów miast, które powinny pozostać neutralne kulturowo i wyznaniowo także dlatego, że tam pojawiają się turyści z krajów o różnych wierzeniach i wrażliwościach. Chrześcijańskie uroczystości religijne mogłyby ich urazić” – mówił w ustnym uzasadnieniu wyroku nowy przewodniczący TK prof. Wojciech Sadurski.

Nieco dłużej zajęło nowemu rządowi opanowanie mediów wciąż nazywanych prywatnymi, choć faktycznie od dawna takie nie były. Wskutek uchwalonej w 2018 r. ustawy dekoncentracyjnej część dawnych zagranicznych imperiów medialnych została sprzedana specjalnie powołanym spółkom, zależnym od dużych spółek Skarbu Państwa. Te ostatnie, aby kupić i utrzymać m.in. TVN24, musiały mocno się zadłużyć. W przypadku spółek energetycznych spowodowało to brak pieniędzy na modernizację infrastruktury krytycznej i coraz częstsze blackouty. Jednak jak stwierdził Jarosław

Kaczyński w rozmowie z tygodnikiem „Sieci Jedynej Prawdy” w 2020 r.: „Wolne i niezależne od zagranicznych wpływów media wymagają pewnych wyrzeczeń. Nie możemy zachowywać się jak liczykrupy. Inwestycje w energetykę są, owszem, ważne, ale ważniejsze jest, aby zwykli Polacy mieli dostęp do obiektywnej, niezakłamanej informacji”.

Nowy lewicowy rząd zaczął szybko proces zmian w SSP. Po trzech miesiącach łańcuszek zmian sięgnął mediów od nich zależnych, w tym Polskiego Info 24 (dawniej TVN24), Narodowego Koncernu Gazet Lokalnych i Polskiego Onetu (dawniej po prostu Onetu). Politycy PiS nie posiadali się z oburzenia, wzburzony był także elektorat tej partii. „To niebawem! Dziennikarze będą teraz wykonywać polecenia skrajnie lewackiego rządu!” – napisał na Twitterze Jarosław Sellin. „A dotąd wykonywali czyje?” – odpowiedział mu Piotr Kraśko, nowy redaktor naczelny Polskiego Onetu. „O co panu chodzi? Przecież wszystkie te media pozostają polskie, jak zawsze chcieliście” – dodawał nowy minister kultury Robert Biedroń.

Przez moment, na początku 2028 r., wśród sympatyków prawicy oraz PiS pojawiła się nadzieja na przełamanie faktycznego rządowego monopolu medialnego. Inwestycjami medialnymi w Polsce zainteresowały się bowiem dwa wielkie koncerny o konserwatywnej linii: należący do byłego prezydenta USA Donalda Trumpa oraz powstały stosunkowo niedawno niemiecki Bayerische Media

Verlag. Ten pierwszy chciał uruchomić telewizję informacyjną uzupełnioną o stację radiową i kanały tematyczne, Niemcy zaś myśleli o portalu uzupełnionym o interaktywną gazetę (interaktywne gazety zastąpiły niemal całkowicie te papierowe).

Niemiecka oferta nie tylko nie budziła sprzeciwu polityków PiS, lecz przeciwnie – oczekiwano jej z nadzieją. Tak się bowiem złożyło, że po wyborach do Bundestagu w 2025 r. niemiecka polityka przesunęła się wyraźnie na prawo, wbrew tradycji kanclerzem został polityk CSU, a nie CDU, zaś do koalicji weszła Alternative für Deutschland. Niemcy ostatecznie mieli dość polityki multikulturalizmu i otwartości, nastąpiło coś w rodzaju politycznej kontrrewolucji. Nowy niemiecki rząd zaczął deportację nielegalnych imigrantów. Rząd Zandberga jeszcze w 2027 r. zaoferował przyjęcie części z nich.

Tymczasem niemieckie media, zwykłe podchwytujące rządową linię, grzmiąły o łamaniu demokracji w Polsce przez lewicową władzę, o zawłaszczaniu mediów, o ograniczaniu wolności religijnej.

„Niemieckie media widzą, co się szykuje w Polsce, i ostrzegają!” – deklarował w publicznym radiu były premier Joachim Brudziński.

„Przecież zawsze pan twierdził, że niemieckie media są Polsce niechętne, realizują tylko niemiecki interes i nie należy zwracać uwagi na to, co mówią” – zauważył prowadzący rozmowę Kamil Dąbrowa, od niedawna znów dyrektor Programu 1. Polskiego Radia.

CO PO RZĄDACH PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI?

o jednym fakcie: nie jesteś Janukowiczem i nie masz dokąd uciec, pamiętaj o tym.

Krzysztof Łoziński, lider KOD, podczas demonstracji pod Sejmem, 16.07.2017 r.

Jeśli PO dojdzie do władzy, to jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobimy, będzie postawienie Andrzeja Dudy, Beaty Szydło i Jarosława Kaczyńskiego przed Trybunałem Stanu.

Borys Budka, poseł, wiceprzewodniczący PO, w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”, 8.12.2016 r.

Ja mam wrażenie, że może jesteśmy czasami za delikatni. Ale przyjdzie moment, kiedy trzeba będzie zrobić to, co konieczne, i z chamami trzeba będzie po chamsku. Nie będzie wyjścia moim zdaniem, bo oni zrobią wszystko, żeby tej władzy nie oddać.

Ryszard Petru, przewodniczący Nowoczesnej, podczas spotkania z wyborcami, 6.02.2017 r.



To będzie krwawa wendeta, w której ludzie PiS-u zostaną wycięci do samej kości. To nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Jeśli wygra Platforma, to ten PiS-owski przewrót, który obserwujemy obecnie, będzie skutkował radykalną rewolucją po wyborach.

prof. Paweł Śpiewak, socjolog, były poseł PO, w wywiadzie dla Onet.pl, 4.04.2017 r.

Praktycznie wypelnimy wszystkich Misiewiczów. Odwołamy wszystkich Kurskich. Ważne jest, żeby nie odpuścić żadnemu Ziobro.

Ryszard Petru, przewodniczący Nowoczesnej, podczas spotkania z wyborcami, 6.02.2017 r.

Proszę, bym został profosem aresztu, głównym szefem więzień, ja ich nauczę porządku.

Lech Wałęsa, były prezydent, w TVN24, 27.04.2017 r.



Po obecnych rządach trzeba będzie wiele sprzątać. Wymazać wiele ze stanowionych praw, przywracać ludziom godność i sprawiedliwość. Trzeba będzie zmierzyć się z dramatycznie trudnymi przypadkami zdeprawowanego Trybunału Konstytucyjnego, być może także KRS i sądów. Trzeba będzie wreszcie pociągnąć do odpowiedzialności karnej konkretnych ludzi. Powinni stanąć przed zwykłymi sądami. Trybunał Stanu to już tylko historyczne nieporozumienie.

Włodzimierz Cimoszewicz, były premier, w wywiadzie na Koduj24.pl, 1.05.2017 r.

„Nieprawda, przeinacza pan moje słowa!” – oburzył się Brudziński. – „Poza tym to było w innych okolicznościach”.

„Pozwoli pan, że zacytuję panu pańskie wypowiedzi na ten temat” – powiedział Dąbrowa. Po dwóch minutach cytatów Brudziński nie wytrzymał i wykrzyknął: „To jest oburzające, jak media publiczne traktują opozycję! Nie będę brał w tym udziału!”, po czym wyszedł ze studia. „Myślę, że pan premier Brudziński nie obrazi się w takim razie, jeżeli nie będziemy go już więcej zapraszać do naszego programu” – stwierdził ze stoickim spokojem Dąbrowa.

Wracając do sprawy zagranicznych inwestycji medialnych – okazało się, że nie mogą one dojść do skutku. Dlaczego – wyjaśniał w tygodniku „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha: „Wszystkie przepisy, które stały na drodze imperium medialnego Trumpa oraz BMV, zostały uchwalone w atmosferze triumfu przez PiS w roku 2018, a następnie jeszcze zastrzeżone podczas drugiej kadencji rządów tej partii w roku 2021. Warto przypomnieć, że weto złożył wówczas prezydent Andrzej Duda, ale zostało ono obalone w Sejmie, a sam Duda ostatecznie został uznany przez Jarosława Kaczyńskiego za polityka obcego ideowo. Duda, który podpisał pierwszą ustawę dekoncentracyjną, uzasadniając swoją decyzję o wecie wobec jej nowelizacji, mówił: »Polska ma już wystarczająco mocne przepisy dekoncentracyjne. Ich dalsze zaostreżenie może nie tylko stać w sprzeczności z prawem UE, lecz także w przyszłości może sprawić, że pożądane,

dobre zagraniczne inwestycje na naszym rynku medialnym natrafią na blokadę. Patrząc dalej, patrząc strategicznie, nie mogę podpisać przedłożonej mi ustawy»”.

PiS próbował zainteresować sytuacją na polskim rynku mediów Unię Europejską. Europejski PiS Arkadiusz Mularczyk wygłosił w Parlamencie Europejskim dramatyczne przemówienie o tym, jak w Polsce tłamszona jest wolność słowa. Domagał się wszczęcia procedury kontroli praworządności. „Nasze polskie problemy rozwiązujemy w kraju. Donoszenie na własną ojczyznę jest specjalnością targowicy!” – w ostrych słowach skomentował rzecznik prezydenta Tuska Paweł Graś.

Swoje żniwo zaczęła też szybko zbierać Ustawa o przeciwdziałaniu rozpowszechniania fałszywych informacji, zwana powszechnie ustawą o fake newsach. Uchwalono ją w 2018 r. przy powszechnym entuzjastycznym sympatyków PiS, a początkowo dotyczyła jedynie okresu kampanii wyborczej. Zaostreżono ją w roku 2020 – odtąd obowiązywała bez ograniczeń. Regulacja oparta na procedurze administracyjnej, nie sądowej, była powszechnie krytykowana przez środowiska dziennikarskie, również sprzyjające PiS, i – co oczywiste – przez wszelkie z zasady krytyczne wobec ówczesnego rządu zagraniczne gremia, jako tworząca faktyczną cenzurę, napędzająca efekt mrozący i groźna dla wolności słowa.

„Kompletnie niezrozumiała jest krytyka ustawy przez organizacje dziennikarskie, którym powinno przecież zależeć

na tym, żeby media – i nie tylko one – nie rozpowszechniały kłamstw” – stwierdził podczas wizyty w studiu TVP w roku 2020 minister kultury Jarosław Sellin. „Kto mówi i pisze prawdę, nie ma się prze-cież czego obawiać” – dodawał.

Początkowo po procedurę sięgano oszczędnie. Kilka portali zostało ukaranych za ewidentne kłamstwa w okresie kampanii lat 2019 i 2020 karami po kilkaset tysięcy złotych. Potem urzędnicy się rozpuścili: powołana przy Ministerstwie Kultury Rada Rzetelności, na której czele stała Elżbieta Kruk, rozpatrywała po kilkadziesiąt spraw miesięcznie. Osoby prywatne karano zwykle grzywnami w wysokości paru tysięcy złotych, media dostawały kary kilkudziesięcio- lub nawet kilkuset tysięcy złotych. Z czasem mniejsze redakcje zaczęły unikać pisania o polityce w ogóle – bały się ryzyka. Okazało się bowiem, że powołana przez ministra kultury rada za fałszywą wiadomość może uznać nawet dwukolumnowy artykuł, w którym pojawił się zwykły czeski błąd. Co ciekawe, takie błędy szczególnie często wychwytywano i zgłaszano Radzie Rzetelności w tekstach krytycznych wobec rządu. Próbowali to robić również jego przeciwnicy, ale w tych wypadkach rada oceniała, że chodzi o opinię, a nie kłamstwo, lub że mamy do czynienia ze zwyczajnym błędem, a nie celowym wypaczeniem prawdy.

Głośna była sprawa lokalnej gazety z Kalisza, która w roku 2022 – pisząc krytycznie o poczynaniach posłanki PiS Joanny Lichockiej – pomyliła dwie cyfry,

CO PO RZĄDACH PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI?

Nie popełnimy już błędów miłosierdzia wobec Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry.

Borys Budka, poseł, wiceprzewodniczący PO, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, 29.06.2017 r.



Przejmujemy władzę od nich i rozliczymy ich na ich prawie.

Lech Wałęsa, były prezydent, w TVN24, 13.07.2017 r.

Szybciej wyrzucimy, niż PiS powołał, całą siłę niekompetentnych koleś z spółek Skarbu Państwa, administracji czy mediów.

Ryszard Petru, przewodniczący Nowoczesnej, podczas konwencji programowej partii, 11.09.2016 r.



Za pięć albo dziesięć lat do władzy mogą dojść zupełnie inne ekstremistyczne siły. I jeszcze państwo będą żalowali, że zniszczyli państwo Trybunał Konstytucyjny. Że nie ma silnej, niezależnej instytucji, która obroni też państwa.

Kamila Gasiuk-Pihowicz, posłanka Nowoczesnej, w TVP1, 22.12.2015 r.

Ograniczymy władzę prezydenta i przekażemy więcej uprawnień premierowi, dzięki temu nikt nie będzie mógł blokować rządu i nikt nie będzie w przyszłości chował się przed odpowiedzialnością za czynniki pleców.

Ryszard Petru, przewodniczący Nowoczesnej, podczas konwencji programowej partii, 11.09.2016 r.



Tak robiono za Gierka, tak robi się teraz. Program 500+ to taka „chwilówka”, która bardziej przypomina lichwę i parabanki niż zrównoważone gospodarowanie budżetem państwa.

Joanna Schmidt, posłanka Nowoczesnej, na swoim blogu, 30.05.2017 r.

Przywrócimy publiczne finansowanie procedur in vitro.
Z deklaracji programowej Platformy Obywatelskiej

Natychmiast usuniemy tych pseudosędziów, dublerów nielegalnie zasiadających w TK.

Borys Budka, poseł, wiceprzewodniczący PO, w „Gazecie Wyborczej”, 29.06.2017 r.

podając na początku tekstu datę jej urodzenia. Lichocka zgłosiła sprawę radzie jako fake news, a ta ukarała wydawcę grzywną w wysokości 100 tys. zł. Gazeta została zamknięta, nie była w stanie zapłacić. Przeciwko tej decyzji protestowali nawet dziennikarze mediów związanych z prawicą. Wówczas w Radiu Maryja tak skomentował ją Jarosław Kaczyński: „Wiem, że niektóre decyzje Rady Rzetelności mogą budzić wątpliwości. Jednak rada została ustanowiona jako niezawisły, kadencyjny organ, jej członków powołuje większość sejmowa, co jest najlepszym sposobem

Rada Rzetelności za fałszywą wiadomość mogła uznać **nawet artykuł, w którym pojawił się zwykły czeski błąd**

realizowania zasad demokracji w praktyce. Powołuje ich spośród szanowanych przedstawicieli świata kultury, nauki i mediów. To dobre, przejrzyste rozwiązanie, które pozwala nam walczyć z rozplenionym wcześniej na niespotykaną skalę kłamstwem, szerzonym przez media pozostające pod władzą zagranicznych ośrodków”. W chwili, gdy Kaczyński mówił te słowa, takich mediów już prawie w Polsce nie było, ale prowadzący rozmowę ksiądz nie zwrócił na to swojemu rozmówcy uwagi.

Nowa władza szybko zaadaptowała Radę Rzetelności do swoich celów. W ustawie dokonano kosmetycznej zmiany (członkowie rady powoływali teraz jej przewodniczącego spośród trzech, a nie czterech kandydatów, wyłonionych w drodze wewnętrznego głosowania) i na tej podstawie zakończył kadencję wszystkich dotychczasowych członków rady.

„Skrócenie ustawy kadencji członków Rady Rzetelności to zamach na wolność słowa!” – grzmiał w sali prasowej sejmiku poseł PiS Piotr Gliński.

„Wygrajcie wybory, to se uchwalicie, co będziecie chcieli!” – szyderczo odpowiedział mu stojący pod ścianą poseł Zielonych Stefan Niesiołowski. Niesiołowskiego wkrótce większość sejmowa wybrała do składu nowej rady, a następnie powierzyła mu funkcję przewodniczącego. Mogli w niej bowiem zasiadać także posłowie.

Rada w zmienionym składzie wkrótce zabrała się do pracy. Na pierwszy ogień posłała posłanka PiS Jolanta Szczypińska, swego czasu wielka orędowniczka powołania rady, a także jej członkini. Szczypińska na Twitterze oceniła sejmowe wystąpienie posła Nowej Platformy Arkadiusza Myrcha. Napisała m.in.: „Trudno o lepszy przykład pychy i arogancji”. Poseł Myrcha zgłosił sprawę do rady, wskazując, że jest to, jego zdaniem, typowy przykład fałszywej wiadomości: „Wbrew stwierdzeniu pani poseł bardzo łatwo znaleźć przykłady większej pychy i arogancji”. I dołączył listę stosownych jego zdaniem 567 przykładów wypowiedzi polityków

PiS z okresu rządów tej partii. Rada rozpatrzyła sprawę i uznała, że stwierdzenie, iż „trudno znaleźć lepszy przykład”, jest w istocie bezsprzecznie niezgodne z faktami. Na posłankę nałożono grzywnę w wysokości 50 tys. zł.

Podczas zamkniętego posiedzenia Rady Politycznej PiS w maju 2028 r. w Jachrance Joachim Brudziński wygłosił referat o „błędach i wypaczeniach”, który jednak przeciekał do mediów. Brudziński mówił m.in.: „Musimy sobie powiedzieć szczerze: uspiły nas wyniki kolejnych wyborów. Tworząc różne rozwiązania prawne, zapomnieliśmy, że kiedyś mogą one zostać wykorzystane przeciwko nam i naszym wyborcom. Ukręciliśmy bicz na samych siebie”. Z relacji obecnych na spotkaniu wynikało, że Jarosław Kaczyński w trakcie wystąpienia Brudzińskiego uciął sobie drzemkę.

W 2028 r. Łukasz Warzecha opublikował książkę zatytułowaną „A nie mówiłem?”. Składała się ona w większości z jego felietonów, dłuższych tekstów i wypowiedzi z lat 2015–2027, w których ostrzegał, że tworzone przez PiS, przy niezmiennym entuzjazmie jego twardego elektoratu, przepisy i regulacje zostaną kiedyś wykorzystane przeciwko stronie konserwatywnej oraz samej partii Kaczyńskiego.

Książka słabo się sprzedawała. Zwolennicy PiS jej nie kupowali, bo uważali Warzechę za zdrajcę, a poza tym nikt nie lubi, gdy wypomina mu się jego głupotę. Zwolennicy nowej władzy uważali autora za PiS-owca, którego tekstów się nie czyta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CO PO RZĄDACH PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI?

Już dziś w polityce poprzec trzeba wprowadzenie edukacji seksualnej do szkół, zagwarantowanie powszechnej dostępności do antykoncepcji i sporo innych rzeczy.

Grzegorz Schetyna, przewodniczący PO, wywiad dla Krytyki Politycznej, 14.04.2017 r.



Postawią parę czy paręnaście pomników Lecha Kaczyńskiego, a my, jak już wróci demokracja, uprzejmie te maszkarony z całego kraju pozbieramy i odwieziemy do muzeum w Kozłowie. Tak, jak zrobiono z pomnikami Lenina. Przeminił i PiS też przemienie.

Stefan Niesiołowski, poseł (koło Europejskiej Demokracji, dawniej PO), w Onet.pl, 22.09.2017 r.



Jeden z bardziej kłamliwych materiałów Bugały. Ale przyjdzie jej za to odpowiedzieć. Spokojnie... Spisane będą słowa i czyny... :).

Borys Budka, poseł, wiceprzewodniczący PO, wpis na Twitterze, 25.04.2017 r.

Trzeba cofnąć i odwrócić wszystkie niedobre decyzje, złe zmiany w prawie, szkodliwe projekty, i przywrócić naszemu państwu właściwy kierunek rozwoju. Oprócz pracy nad programem potrzebna jest więc praca nad »spisaniem czynów« – nie tylko po to, by je osądzać, ale także by je zmieniać.

Z deklaracji programowej Platformy Obywatelskiej

Zrobmy pierwszy krok. Pokażmy, kim ci uchodzący są naprawdę. Sprowadźmy kilkadziesiąt osób. W skali 38-milionowego kraju to naprawdę niewiele. Oswójmy społeczeństwo i zmieńmy nastawienie do uchodźców.

Borys Budka, poseł, wiceprzewodniczący PO, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, 29.06.2017 r.



Jesteśmy w stanie zorganizować pobyt kilkudziesięciu osób, żeby pokazać, że Polska nie wyklucza się z Unii Europejskiej.

Grzegorz Schetyna, przewodniczący PO, w Polsat News, 22.06.2017 r.

zebrał raw

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pięć

wyzwań prezydenta



Piotr Semka

Jesienny sezon polityczny Andrzeja Dudy już się zaczął. O czym powinna pamiętać i przed jakimi wyzwaniami staje głowa państwa w obliczu obietnicy zaproponowania ustaw reformujących sądownictwo?

Emocje i sposób myślenia wyborców PiS są dziś wielką zagadką. Zarówno dla zwolenników rządu, jak i jego krytyków wysoki, 40-procentowy wynik PiS w pierwszym badaniu po zakończeniu burzliwych wydarzeń z lipca był zaskoczeniem.

Ci wyborcy partii Jarosława Kaczyńskiego, którzy ze zrozumieniem przyjęli dwa prezydenckie weta, uznali, że wysoki wynik to premia za różnorodność w obozie dobrej zmiany. Jednak zwolennicy szybkiej reformy sądownictwa uznali twarde 40 proc. za dowód, że prezydent powinien w lipcu zacisnąć zęby, podpisać ustawy, przeczekać świeczkowe demonstracje, a potem cierpliwie wypatrywać okazji do ich poprawienia.

Ta różnica opinii wynika z prostego faktu. Nikt nie jest w stanie określić, ilu wśród owych 40 proc. jest zwolenników szybkich

zmian, a ilu akceptuje ostrożność Andrzeja Dudy. Coraz wyraźniej widać natomiast obawę części wyborców prawicy, że weto prezydenckie – niezależnie od intencji głowy państwa – uruchomiło niepokojący łańcuszek reakcji, które zaczynają dzielić obóz zmian. Politycy z PiS i przedstawiciele Pałacu Prezydenckiego zaklinają się, że wszystko jest po staremu, ale animozje zaczynają żyć własnym życiem. Weta wyzwoliły istniejące, ale dotąd ukryte procesy podziału. W tej atmosferze wzrasta zaniepokojenie innymi tarciami z polityką w tle, np. utratą stanowiska szefowej „Wiadomości” przez Marzenę Paczuska. Nawet w odejściu znanego fotografa Andrzeja Hrechorowicza z Kancelarii Prezydenta doszukiwano się ukrytych znaczeń.

15 sierpnia, w Święto Wojska Polskiego, Andrzej Duda powrócił z wypoczynku w Juracie i stworzył swój jesienny sezon



FOT. JERZY DUDKIN FORUM

polityczny. Wybrany przez biuro prasowe prezydenta cytat z wpisu na Twitterze: „Polska armia to nie jest niczyja armia prywatna. To armia, którą powinniśmy wspólnie kształtować” wskazuje, że prezydent kontynuuje taktykę wyrazistego przypominania o swych prerogatywach zwierzchnika sił zbrojnych.

Nie wiem, w jakim stopniu pobyt nad morzem pan prezydent wykorzystał na polityczne przemyślenia, ale warto pokusić się o wskazanie najważniejszych politycznych wyzwań, przed którymi stoi teraz głowa państwa.

1. Jak będzie wyglądać praca nad prezydenckimi projektami ustaw o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa? 24 lipca Andrzej Duda obiecał, że projekt będzie gotowy za dwa miesiące, czyli 24 września. Minął więc już prawie miesiąc. Urzędnicy kancelarii prezydenckiej wskazywali, że ich szef pracował nad ustawami w Juracie. Do części mediów przedostały się w końcu zeszłego tygodnia informacje, że nowe wersje ustaw o reformie sądownictwa dla prezydenta pisze prof. Michał

Królikowski, wiceminister w resortach sprawiedliwości za rządów Jarosława Gowina i Marka Biernackiego. Nie jest to zaskoczenie, bo Królikowski skrytykował projekty ustaw, którym patronował Zbigniew Ziobro. Pytanie jednak, dlaczego tej domniemanej misji Królikowskiego nie towarzyszą konsultacje prezydenta z tymi przedstawicielami środowiska prawniczego, którzy wskazują na konieczność daleko idących zmian. Zwraća uwagę też jedna z wypowiedzi, która przedostała się do mediów z okolic Pałacu Prezydenckiego, że jeśli prezydencki projekt, który ponoć ma pojawić się do połowy września, zostanie w Sejmie przez PiS zmieniony lub poprawiony nowelizacjami idącymi w innym kierunku niż linia prof. Królikowskiego, to partia Jarosława Kaczyńskiego musi liczyć się z kolejnymi wetami. Oczywiście nie da się dziś stwierdzić, na ile takie poglądy oddają wiernie opinię „dużego pałacu”, a na ile są nagłaśniane, aby skłócić obóz dobrej zmiany. Faktem jest jednak, że rzecznik prezydenta Krzysztof Łapiński wypowiadał się w ostatnim numerze „Do Rzeczy” bardzo apodyktycznie. Podkreślił: „To będą projekty prezydenckie, więc ich kierunki i cele zostaną wyznaczone przez pana prezydenta i nikogo innego”. Łapiński

dodał: „Jedyną grupą, którą prezydent musi i chce usatysfakcjonować, są obywatele”.

Brzmi to bardzo chwytnie, ale pomija ważną okoliczność. Jeśli prezydent szykuje projekt na połowę września i chce mu nadać wyraziste autorski charakter, to zapomina, że bez poparcia sejmowego klubu PiS prezydencki projekt nie zostanie przegłosowany, a wszelka publiczna szermierka w sprawie nowych ustaw na linii prezydent – PiS bardzo zaszkodzi wizerunkowi „dobrej zmiany”.

Jeśli więc mamy na widoku szybki powrót do reformy sądów, to konsultacje z partią Jarosława Kaczyńskiego winny się zacząć jak najszybciej. Inaczej ryzykuje się jesienny konflikt, a ten może jeszcze bardziej odwlec zmiany w sądach. Opozycji to nie zmartwi, ale elektorat PiS popierający zmiany – owszem.

Po krytycznym dla głowy państwa wywiadzie Zbigniewa Ziobry dyskretna wymiana opinii przedstawicieli pałacu i Ministerstwa Sprawiedliwości nie musi być łatwa. Jednak obie strony winny zapomnieć o animozjach i postawić na pierwszym miejscu jakość oraz szybkość zmian. O żadnych wysiłkach na rzecz zblizniania urazów jednak nie słyhać.

2. Kolejny problem, przed którym stanie prezydent, to pytanie o skalę zmian reformujących sądownictwo. Łatwo ogólnikowo zapowiadać rozwiązania, które mają być do przyjęcia dla jak najszerzej grupy środowiska prawniczego. Trzeba jednak mieć też świadomość, że najbardziej krzykliwi i zorganizowana grupa żadnych zmian nie chce. Demonstracje świeczkowe pod Sądem Najwyższym były nie tylko protestem przeciw zbyt niemu skupieniu władzy nad sądami w rękach Ziobry, lecz także żądaniem, aby „wszystko było tak, jak było”.

Prezydent uciekł od tego tematu, odsuwając wetem sprawę o dwa miesiące. Moment zderzenia z tymi, którzy nie chcą zmian, nastąpi. Jeśli w prezydenckim projekcie pozostanie choćby 70 proc. determinacji zmian, jakie zaproponowano w planie Ziobry, to znów usłyszymy wezwania do wieczornych wieców na pl. Krasińskich.

Może okazać się złudzeniem wiara głowy państwa, że pojawi się jakaś trzecia centrowa siła w środowisku prawników, z którą można szukać sojuszu. Może i gdzieś są, ale na razie siedzą cicho. Dominują zdeterminowani, opozycyjni fightery, tacy jak sędziowie Andrzej Rzepliński czy Małgorzata Gersdorf. No, chyba że

w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu powstanie projekt trudno akceptowalny dla partii rządzącej. Jeśli tak, to wtedy prezydent umyje ręce: „Chciałem reform, ale PiS nie sposób dogodzić”. A opozycja, która nie chce zmian, natychmiast stanie po stronie „Adriana, który stał się Andrzejem”.

Po cichu będzie zacierać ręce, że reforma nie posuwa się naprzód.

3. Kolejny element, którego prezydent powinien mieć pełną świadomość, to uwaga, z jaką Bruksela, Berlin i – w mniejszym stopniu – Paryż obserwują sytuację w Warszawie po podwójnym wecie. 24 lipca rzeczniczka Angeli Merkel, Christine Wirtz, zareagowała niezwykle szybko na ruch prezydenta, ogłaszając, że decyzja Andrzeja Dudy winna być punktem wyjścia do wznowienia dialogu politycznego między Warszawą a Brukselą. Jeszcze dalej poszedł Gerhard Gnauck, publicysta „Die Welt”, który pisał: „Polska zawsze potrafi zaskoczyć. Największa niespodzianka tego lata: jeszcze kilka dni temu można było mówić o Polsce jako o »obozie Kaczyńskiego«. Nagle to się skończyło. Wczorajszy monolit pokazuje głębokie rysy; imponująca dotąd »wertkalna władza«, jakby powiedziano w Rosji, niemal przez noc się rozgałęziła albo wręcz podzieliła na dwie części”. Takie demonstracje zagranicy podchwytyją politycy krajowej opozycji. Tomasz Siemoniak, komentując spór na linii BBN – MON w sprawie nominacji generalskich, pospieszył z deklaracją: „Za granicą wszyscy trzymają kciuki za prezydenta Dudę za to, żeby wykazał (w tej sprawie) determinację”.

Taki słodki ton pochwał może być w razie nasilania się konfliktu wokół reformy sądów sporą pokusą. Rola tego „dobrego” na tle strasznego Kaczyńskiego jest atrakcyjna, ale na dłuższą metę prowadzi donikąd.

Prezydent, za którym nie stoi silny obóz polityczny, jest na płaszczyźnie międzynarodowej łatwy do rozgrywania.

4. Andrzej Duda winien też brać pod uwagę, jak silny jest w obozie opozycji nawyk niechęci do jego osoby. Nawet teraz, gdy spadło napięcie, prezydent jest przedstawiany w krzywym zwierciadle.

Gdy Andrzej Duda podpisał niedawno ustawę o krajowym zasobie nieruchomości, mającą wzmocnić rynek budowy mieszkań na wynajem, „Gazeta Wyborcza” wybiła tytuł: „Prezydent zgodził się na eksmisję na bruk”. Z ustawy ważącej

■ różne racje wybrano jeden aspekt, o którym wiadomo, że może rzucać cień na wizerunek głowy państwa. Trzeba wczytać się w tekst, aby dowiedzieć się, że „przepis dotyczy lokatorów, którzy łamią warunki umowy najmu – mają zaległości czynszowe, niszczą lokal, zatruwają życie współlokatorom”.

Równie chętnie podchwycycono historię sprzeciwu wobec prezydenckiego patronatu nad warszawskim maratonem. „Będzie wyjazd wielkiej imprezy? Zawrzało, kiedy pojawiło się nazwisko prezydenta” – nastroje podbił tabloid „Fakt”, choć przez wcześniejsze lata nikomu nie przeszkadzało, że imprezie patronował prezydent Bronisław Komorowski, i problemu jakoś nie było. Transparenty z marszów KOD, pokazujące Andrzeja Dudę jako marionetkę Kaczyńskiego, nie wyparowały. Zawsze mogą być jeszcze użyte.

5. Ponownej refleksji gospodarza pałacu przy Krakowskim Przedmieściu może wymagać wreszcie pytanie: W jakim stopniu uważa się fakt, że jeden obóz polityczny zdobył prezydenturę i większość w dwóch izbach parlamentu, za niepowtarzalną szansę na zmiany? Jeśli poczucie potrzeby zmian jest na pierwszym miejscu, to wszystkie dalsze nieporozumienia w obozie dobrej zmiany można przezwyciężyć. Jeśli na czoło wysunie się wola „trwania w trwaniu” lub skupienie się na szansach na reelekcję, to w obozie PiS łatwo o kłopotliwego partnera lub wręcz konkurenta.

Oferta partii prezydenckiej może brzmieć kusząco, ale neguje podstawowy fakt polityczny. Irytujący na wiele sposobów prezydent PiS to duży i mający silne polityczne narzędzia konkret, a „republikańska prawica” to fantom. Kandydaci do jej tworzenia to eklektyczny obóz, w którym jest więcej wodzów niż Indian. W obozie tym modne jest spisywanie Jarosława Kaczyńskiego na straty jako postaci schyłkowej, niepotrafiącej zapanować nad swoimi nerwami. Tyle że dopóki nie pojawi się na prawicy ktoś, kto pokaże nowy poziom politycznych kompetencji, dopóty Kaczyński wciąż jest najbardziej doświadczonym i skutecznym liderem. Prezes PiS nie otrzymał swojej pozycji od nikogo na tacy. Wywalczył ją sobie sam i w oczach dużej części wyborców PiS ma największe kwalifikacje do realizowania planów politycznych. Nie będzie tak w nieskończoność, ale na razie tak jest. Czy prezydent chce najbliższe trzy lata ćwiczyć się w kopaniu się po kostkach z partią, z której wyrósł, czy też myśleć kategorią celów całego obozu dobrej zmiany?

Wejście Andrzeja Dudy na „trzecią drogę” – między PO a PiS – nie spowoduje zniknięcia wielu wyzwań, z jakimi zmagają się Kaczyński, ani pytań o podmiotowość Polski w Unii, o politykę obronną czy presję lewicy na zmiany obyczajowe.

Dzisiaj tacy ideolodzy obozu III RP jak Jacek Żakowski marzą na razie o skierowanym przeciw sile obozu Kaczyńskiego sojuszu „antypisu” z „niepisem”. Tyle że gdy już runie siła PiS, zniknie też polityczna

prawica na dokonanie zmian w Polsce może się rozmyć w banalnym konflikcie ambicjonalnym.

I te obawy wyborców PiS Andrzej Duda także powinien dobrze przemyśleć.

PRZED WIELKĄ PRÓBĄ

Andrzej Duda ma teraz jeszcze czas na przygotowywanie ustaw. Jednak potem jego propozycja będzie bardzo dokładnie oceniana zarówno przez PiS, jak i byłych sędziów zaangażowanych w opozycję, takich jak Andrzej Rzepliński czy Jerzy Stepien.

Ci ludzie każde, najmniejsze nawet uszczuplenie niezależności środowiska sędziowskiego bez oporu mogą uznać za stalinizm. Wybuchnąć mogą na nowo emocje. Pan prezydent przez najbliższy miesiąc może utrzymywać wyniosły, równy dystans wobec PiS i wobec autorytetów sędziowskich. Zobaczymy, jaki wpływ na pisanie ustaw będzie wywierała Zofia Romaszewska, ale może też utrzymywać stały kontakt ze Zbigniewem Ziobrą i z innymi politykami PiS – pamiętając, że bez poparcia tej partii ustawa nie przejdzie w Sejmie. Lepiej jeszcze na etapie prac dyskutować, co w projekcie Ziobry można poprawić, niż ogłosić gotową już ustawę, a potem obrazić się, że PiS ją krytykuje.

W debacie po wecie prezydenckim padło pytanie: „Czemu w przypadku obozu PiS-owskiego mają niby ulec zawieszeniu zasady polityki skłaniające do poszerzania obszarów władzy w stosunku do rywali?”. Polityka jako wieczny konflikt? To wspólne idee łagodzą konflikty interesów. Jedynie rys idealizmu i poświęcenia wyborców PiS sprawił, że partia ta wytrzymała siedem lat w opozycji, a Platforma sypie się po dwóch latach poza władzą. Do sukcesu wyborczego potrzebne są ukłony wobec centrum, ale nie za cenę lekceważenia wyborcy ideowego. Dokładnie w takiej kolejności. Bazą musi być elektorat ideowy, a potem można myśleć, jak zjednać dodatkowe głosy z centrum. Nigdy na odwrót – lekceważyć ideowców w imię przypodobania się umiarkowanym.

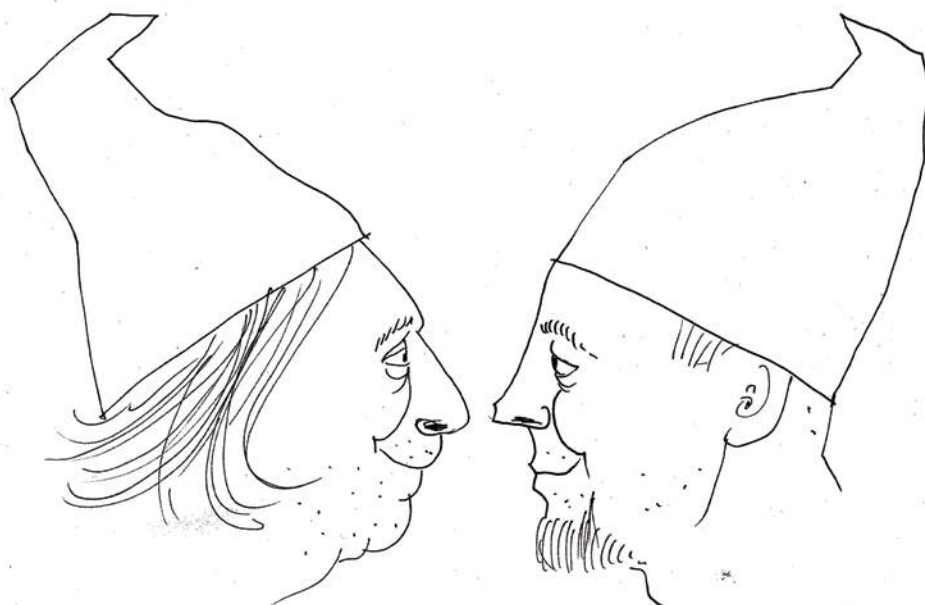
Jeszcze przez ponad miesiąc prezydent może spokojnie szykować projekty. Potem znów napięcie może rosnąć. W czwartek ogłoszono, że prezydent znów przebywa w ośrodku w Juracie, ale jest tam też premier Beata Szydło. Można mieć nadzieję, że prezydent i premier przeprowadzą ważne oraz istotne rozmowy w celu skoordynowania działań na rzecz reformy sądów. Jest o czym ze sobą rozmawiać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Czy prezydent chce najbliższe trzy lata ćwiczyć się w kopaniu się po kostkach z partią, z której wyrósł, czy myśleć kategorią celów całego obozu dobrej zmiany?

Do takiej zmiany optyki może doprowadzić „kupienie” mirażu partii prezydenckiej. Szczególnie jeśli pan prezydent zacznie przyjmować tezy Kukiz'15 o jałowości sporu PO-PiS i potrzebie lidera dla obozu „zdrowego rozsądku”, patrona rozwiązywania „problemów”, które Polaków bezpośrednio interesują. To kolejny kostium dla ideologii ciepłej wody w kranie. I na odwrót – wybór polityki zmiany naraża na kolejne groźby demonstracji w razie kolejnych realnych, a nie zamienianych w chciejstwo prób zerwania z systemem III RP. Jedna droga jest wygodna, druga – mało komfortowa.

przestrzeń dla republikańskiego „niepisu”. I wróci w obozie liberalno-lewicowym pokusa władzy „jednej partii” i jednej gazety. Kumulacja władzy ukrytej w takich jej zasobach jak media, pozornie apolityczne instytucje czy pomoc zagranicy. Dla „niepisu” może zostaną jakieś nisze – takie same jak w latach 90. zachowano dla Aleksandra Halla czy dla Romana Giertycha. Można godzinami wskazywać, jak to PiS popchnął prezydenta do powiedzenia „nie”. Pewnie, że można cytować z lubością, jak to „tożsamościowa” część elektoratu PiS nagle chce widzieć Andrzeja Dudę w kostiumie marionetki WSI. To reakcje niemądre. Jednak to efekt lęków, że niepowtarzalna szansa



Major Krysztopa

Środa 21:00

Nowy program w Telewizji Republika!

Program poprowadzą **Waldemar Fydrych**, przywódca legendarnej "Pomarańczowej Alternatywy" i rysownik **Cezary Krysztopa**.

Podczas rozmowy z widzami Cezary Krysztopa będzie "na żywo" tworzył rysunek - komentarz do programu i najważniejszych wydarzeń polityczno-społecznych.



Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line



www.telewizjarepublika.pl



Piotr Gociek

Historia III RP pokazała, że w Polsce nie istnieje wybór między zmianami łagodnymi a radykalnymi. Tylko między radykalnymi a żadnymi

Rozdźwięk opinii między PiS a Pałacem Prezydenckim został przyjęty zarówno przez część komentatorów z prawej strony, jak i polityków opozycji jako uwidocznienie się sporu między radykałami a hamulcowymi. Konstatacja jest wspólna, ale w zależności od punktu widzenia inaczej postawione są znaki plus i minus. Przeciwnicy Zjednoczonej Prawicy mały plusik zapisali po stronie prezydenta Andrzeja Dudy, który wetując dwie ustawy spośród trzech reformujących sądownictwo czy odmawiając podpisywania wszystkiego, co przyniesie mu minister Macierewicz, stał się naraz politykiem, który stawia tamę niszczeniu państwa i wzbierającej fali radykalizmu. Dla części polityków prawicy, ale przede wszystkim medialnych sojuszników PiS, to samo działanie zasługuje na przyganę, plus zaś należy się jedynie tym, którzy zawetowane ustawy przygotowali i popierali.

Mielibyśmy więc spór o to, czy radykalizm prawicy szkodzi polskiemu państwu i polskiej polityce. Na tak postawione pytanie odpowiedziałbym: nie, nie szkodzi i nigdy nie szkodził. Był nawet dotąd czynnikiem dla Polski zbawiennym.

ATAKOWANA RACJA

Radykałowie w III RP nigdy nie mieli łatwo, bo to na nich najczęściej kierowana była nagonka medialna i polityczna. Niezależnie od tego, czy mieli rację i czy rzeczywiście to, co głosili, było radykalne, czy tylko na potrzeby walki politycznej wyolbrzymiane przez ich przeciwników. Hasła dekomunizacji oraz lustracji to był radykalizm i – jak to ujmowano na łamach „Wyborczej” – bolszewicka żądza zemsty. Radykalizmem określane były (i często nadal są) wszelkie postulaty rozmaitych opcji zerowych – nieważne, czy dotyczą służb, czy mediów publicznych. Radykałami określano tych, którzy chcieli wejścia Polski do NATO.

Radykałem, którego trzeba przemilczeć lub zbagatelizować, okazał się nawet



papież Jan Paweł II, kiedy pisał: „Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”.

Pamiętam czasy, kiedy chrześcijańska prawica ćwierć wieku temu zbierała baty jako radykalna nie tylko za to, że występowała przeciw aborcji, lecz także dlatego, że w ogóle śmiała podejmować temat polityki demograficznej kraju, bijąc na alarm, że rodzi się nas za mało i trzeba zacząć dbać o rodzinę.

Co łączy wszystkie wspomniane wyżej sprawy? To, że radykałowie mieli rację.

Dzisiejszym konsumentom polityki pewne sprawy wydawać się mogą oczywiste – kiedyś wcale takie oczywiste nie były, bo główny nurt życia politycznego eliminował i izolował wyrazicieli radykalnych opinii na wskazane przeze mnie tematy. Radykałowie niestrudzenie powtarzali swoje diagnozy, nie zważając na to, że często robią to w mediach o niszowym zasięgu, przełykając gorycz porażki w wyborach. Uczyli się powoli polityki i zaczęli z wolna zmieniać tzw. mainstream – przez wejście do niego lub nieustanny nacisk na niego. Niektórym się nie udało, np. Janusz Korwin-Mikke formułujący w wielu kwestiach celne opinie (i dziś przyjęte po przefiltrowaniu do głównego nurtu debaty) jako polityk zawiódł. Jednocześnie

z jego byłych zwolenników rekrutują się dziś ciekawe postaci zarówno polityki, jak i publicystyki polskiej.

Ostrości formułowanych sądów, radykalnym propozycjom zmian i daleko idącym postulatom towarzyszyła jednocześnie w III RP słabość polityczna. Prawicowi radykałowie mieli rację, ale nie mieli wpływów, by swoje rozwiązania forsować.

Historia III RP pokazuje, że zwykle nie było wyboru między zmianami radykalnymi a zmianami łagodnymi. Tylko między zmianami radykalnymi a żadnymi. Między zmianą a zachowaniem status quo. Owo status quo od początku transformacji skażone było błędami i zaniechaniami popelnionymi przy projektowaniu nowego ustroju. Nie dość, że tych, którzy psuli, tych, którzy rujnowali, czyli komunistów (potem postkomunistów), przyjęto do grona tych, którzy mają teraz naprawiać, to jeszcze szybko okazało się, że o nowym projektowaniu właściwie nie ma mowy, że przyjmowano rozwiązania punktowe, częściowe, ułomne, tworząc w ten sposób krok po kroku tę dziwną hybrydę, jaką jest wciąż polskie państwo. Kraj, do którego jak ulał nadal pasuje ukute kiedyś przez Igora Zalewskiego określenie „Rzeczpospolita Przejściowa”. Użył go na łamach „Wprost”, komentując kształt przyjętej w 1997 r. konstytucji. Tej właśnie, w obronie której



FOT. STEFAN MASZCZYSKI/REPORTER

radykałów

dra na ulicach szaty Obywatele RP, KOD, Nowoczesna i PO.

„W istocie nie ma bowiem żadnej III RP – jest co najwyżej Rzeczpospolita Przejściowa. Przejściową Rzeczpospolitą najlepiej widać po jej konstytucji. Przecież bardzo wiele zapisów polskiej ustawy zasadniczej przypomina stalinowską konstytucję z 1952 r. Nie powstydziłoby się ich też konstytucjonaliści z ZSRR czy Albanii w czasach komunistycznych – pisał wtedy Zalewski. – Polska konstytucja nie jest instrukcją obsługi III RP, bo pałac Rzeczypospolitej numer 3 jest wciąż tylko wydumską. Za to konstytucja z 1997 r. wręcz skleja Rzeczpospolitą Przejściową z PRL. Zamiast być fundamentem prawa, nasza konstytucja jest jego ornamentem, atrapą. Tak jak Rzeczpospolita Przejściowa jest atrapą III RP”.

Radykałowie widzieli, że rezygnacja z ostrych cięć na rzecz półśrodków czy kompromisów zwykle przyjmuje formę następującą: wy na razie ustąpicie, a my was i tak oszukamy. System immunologiczny III RP okazał się niesłychanie sprawny w otorbieniu radykalnych reformatorów. Inni sami zrezygnowali i wybrali milczenie albo zapisali się do obozu zwycięzców. Nic więc dziwnego, że ci, którzy walczyli dalej, wykształcali w sobie proste przekonanie: następnym razem nie ma co paktować

i roztrząsać. Jeśli czegoś nie robi się na ostro, to w ogóle się tego nie robi.

Czy to znaczy, że radykałowie są toksyczni? Że już czas się ich pozbyć? „Nie jest za późno na odsuwanie radykałów. Do Piotra Zaremby” – napisała niedawno Karolina Wigura w magazynie „Kultura Liberalna”. Przeciwwstawiała się w nim „agresji medialnej wolnej od odpowiedzialności za jakość naszej debaty o Polsce”. Krytykowała plemienność „sprzeczną zarówno z dobrze pojętym liberalizmem, jak i mądrym konserwatyzmem”. I wytykała „przykłady daleko posuniętej koncentracji na rozgrywce osobistej (i, niestety, chyba także sprzedawalności własnego pisma)”.

„Obie strony często zakładają pełną delegitymizację potężnych grup ludzi myślących inaczej, a nawet odmawiają im prawa do istnienia” – zauważał z kolei Piotr Zaremba w internetowym wydaniu „Krytyki Politycznej”. To właśnie tekst pt. „Odwet nie jest dobrym doradcą” był powodem, dla którego Wigura swoje wystąpienie adresowała do Zaremby.

Zaciekała mnie ta dyskusja, choć uważam ją za trochę zastępczą. Podobnie jak Zaremba uważam, że odwet jest złym doradcą, a podobnie jak Wigura – że powinniśmy „uzbroić się w nieco więcej cierpliwości nawet wobec niekochanych oponentów”. Podzielał też zdanie prof.

Andrzeja Zybertowicza, który ubolewa nad tym, że – jak ładnie streścił jeden z jego tekstów Zaremba – obozowi dobrej zmiany szkodzi niezdolność do rozmowy już nie tylko z opozycją, lecz także ze zbyt krytycznymi ludźmi z własnych szeregów.

Co widzę w tym zastępczego? Ano to, że dyskusja na temat radykalizmu ześlizgnęła się w tej wymianie zdań w kierunku dyskusji nad metodą, a nie nad sednem sprawy. Prawdziwa różnica między radykałami a zwolennikami samoograniczającej się rewolucji (czy też raczej prawicowej kontrrewolucji) tkwi gdzie indziej. Przede wszystkim w smutnych wspomnieniach z ostatnich 28 lat, kiedy to nie było takiego ustępstwa, którego obóz „Polski racjonalnej”, czyli po prostu pomagdałenkowej, nie wykorzystał do daleko idącego kontrataku. Przy czym wzmacniano od razu nie tylko wszelkie działania i narracje wymierzone przeciw radykalnym reformom, lecz także wręcz odmawiano politycznym przeciwnikom prawa do ich formułowania, sugerując, że ich propozycje mieszczą się poza ramami „normalnej demokracji”.

ZMIANY TO NIE REWANŻ

Jednak fundamentalną różnicą jest postrzeganie obecnego stanu państwa. Radykałowie uważają, że dalsze radykalne zmiany są niezbędne nie tylko dlatego, że trzeba wypełniać wyborcze obietnice. I nie dlatego, że żądni są rewanżu. Także dlatego, że w ich opinii zatrzymanie naprawy państwa w połowie będzie oznaczało szybkie cofnięcie się do stanu poprzedniego lub nawet gorszego niż wyjściowy. I dlatego, że ich zdaniem od wprowadzenia tych zmian zależy to, czy Polska w ogóle będzie w przyszłości istniała.

Wspieram radykałów. Nie znaczy to, że zgadzam się na prawo pisane na kolanie i na to, by dobra zmiana pożerała własne dzieci w ramach zaostawiającej się walki wewnątrz własnego obozu czy rywalizacji o wyższe nakłady gazet lub klikalność portali. Jednak krytyczne słowa na temat niektórych propozycji zmian nie powinny przesłaniać dyskusji fundamentalnej, na temat „Jak radykalnie naprawiać państwo”. I powinna to być dyskusja o tym, jakich narzędzi chirurgicznych używać podczas operacji, a nie o tym, że cięcie tkanki jest znaną radykalną, więc pora wrócić do alternatywy „plaster czy homeopatia”. Nie śpieszy mi się do odsuwania radykałów. Historia III RP uczy, że zmarginalizowani czy zakrzykani szybko okazywali się jeszcze bardziej potrzebni. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Konflikt wojskowych „kucharek”



Wojciech Wybranowski

Jesienią mają zostać zorganizowane pierwsze od 13 lat ćwiczenia systemu kierowania obronnością państwa – dowiedziało się „Do Rzeczy”. Tymczasem konflikt między MON a prezydentem Andrzejem Dudą blokuje rozwiązanie narosłych od lat problemów ze skutecznym dowodzeniem polską armią

Półowa kwietnia, trwa odprawa kadry kierowniczej wojska polskiego. To coroczne spotkanie prezydenta, szefów MON i najwyższych dowódców wojska polskiego, podczas którego ustala się najważniejsze priorytety i kierunki rozwoju polskiej

armii. Nagle, jak twierdzą nasi informatorzy, prezydent Andrzej Duda miał zwrócić się bezpośrednio do uczestniczących w spotkaniu generałów.

– Znaczącym tonem pan prezydent powiedział: „Jeśli będziecie mieli jakieś problemy, kłopoty, wątpliwości, przy-

chodźcie do mnie” – opowiada jeden z naszych informatorów.

Wśród obecnych na spotkaniu generałów, a później metodą głuchego telefonu wśród wysokich oficerów poszedł hyr. Dlaczego? Słowa prezydenta przez jednych zostały odebrane jako czytelne opowiadanie się po stronie tych, którym nie podobało się odwołanie w lutym popularnego wśród wojskowych generała broni Mirosława Różańskiego, a przez innych jako „obiad drawski” w wersji light. To nawiązanie do wydarzenia, które rozegrało się we wrześniu 1994 r., kiedy to ówczesny prezydent Lech Wałęsa podczas uroczystego obiadu z wojskowymi opowiedział się przeciwko cywilnemu kierownictwu MON.

Nie ulega wątpliwości, że była to zapowiedź konfliktu, który wybuchł między



FOT. STEFAN MACZEWSKI/REPORTER

w przyjętej w 1997 r. konstytucji, która co prawda przyznała bezpośrednie zwierzchnictwo nad wojskiem prezydentowi RP, ale nie określiła w sposób jednoznaczny jego kompetencji i pól działania. To jednak tylko wierzchołek góry lodowej.

Podstawowy problem wynika bowiem z kolejnych przepisów mówiących: „Na czas wojny Prezydent Rzeczypospolitej, na wniosek Prezesa Rady Ministrów, mianuje Naczelnego Dowódcę Sił Zbrojnych [...] Kompetencje Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych i zasady jego podległości konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej określa ustawa”.

Implementacja zapisów konstytucji do przyjętej w 2002 r. „ustawy o stanie wojennym” oraz nowelizacji w 2014 r. ustawy „o powszechnym obowiązku obrony” spowodowała dysfunkcyjność i jak wskazuje wielu ekspertów – niebezpieczny z punktu widzenia polskiego wojska dualizm systemu dowodzenia. Jaki? Otóż w czasie pokoju zwierzchnikiem sił zbrojnych jest prezydent za pomocą MON, a funkcje „wykonawcze” pełni Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Jednak już w czasie wojny całkowite zwierzchnictwo nad armią przejmuje prezydent, kierujący armią przez powołanego przez siebie – i nie funkcjonującego w czasie pokoju – naczelnego dowódcę Sił Zbrojnych RP.

– I tu już pojawiają się wątpliwości. Okazuje się, że nagle w przypadku wojny powołany zostaje jakiś naczelny dowódca, wcześniej nieznany, który ma kierować polskim wojskiem, którego być może nie zna, być może – bo tak przecież może się okazać – nie uczestniczył wcześniej w pracach nad systemami kierowania wojskiem – zwraca uwagę generał broni w stanie spoczynku Waldemar Skrzypczak w rozmowie z „Do Rzeczy”. – A w trakcie wojny trzeba być „w toku”, bo decyzję podejmuje się, reagując na bieżące wydarzenia – dodaje nasz rozmówca. Doświadczony wojskowy zwraca też uwagę, że jeśli będziemy brać udział w wojnie jako część struktur NATO, to formalnie dowodzącym będzie dowódca NATO, a my znów nie mamy zapisów wskazujących na rolę w takiej sytuacji prezydenta czy owego „naczelnego dowódcy”.

To jednak tylko jeden z wielu problemów. Profesor Thomas-Durell Young, analityk specjalizujący się w doktrynie militarnej NATO, przed kilkoma dniami na amerykańskim portalu War on the Rocks, zajmującym się kwestiami strategicznego bezpieczeństwa, opublikował tekst

„Sieć dowodzenia w Europie Środkowej i Wschodniej”, w którym wskazał, iż NATO ma problem z nowymi sojusznikami, bo kraje Europy Środkowo-Wschodniej uczyniły organami kierującymi obroną państwa swoich przywódców, a nie szefów władzy wykonawczej.

„Przypisanie kompetencji decyzyjnych w sprawie wojska prezydentom oznacza, że ministrowie są wykluczeni z łańcuchów dowodzenia lub ich władza jest niejednoznaczna czy też po prostu nieokreślona. Jest to sprzeczne z demokratycznymi koncepcjami w zakresie obrony, ponieważ ministrowie obrony mają konkretnie za zadanie opracowywanie i zarządzanie siłami zbrojnymi. Na przykład w Stanach Zjednoczonych sekretarz obrony i prezydent dowodzą zwierzchnikami sił zbrojnych, służąc wspólnie jako krajowy organ dowodzenia” – pisał amerykański ekspert.

Profesor Thomas-Durell Young wskazał też, że w sytuacji, w której prezydent i rząd są z przeciwnymi obozów politycznych, a struktura dowodzenia nie jest jasno określona, „podzielone rządy prawdopodobnie nie będą skutecznie funkcjonować w czasach napięcia, nie mówiąc już o wojnie”. I zaznaczył, że powinna istnieć jedna, stała regularnie usprawniana krajowa struktura dowodzenia, której nie należy zmieniać w czasie konfliktu, a kierujący obroną powinien mieć w swoim ręku wszystkie instrumenty militarne i niemilitarne. W praktyce oznaczałoby to, że zwierzchnikiem sił zbrojnych powinien być szef władzy wykonawczej, którym w większości państw jest premier.

Co do modelu systemu zwierzchnictwa nad armią wśród wojskowych ekspertów, również wywodzących się z tego samego obozu politycznego, istnieje spór, jednak większość z nich w jednym jest zgodna:

– Pokojowy system dowodzenia powinien łatwo przekształcać się w system dowodzenia siłami zbrojnymi w warunkach wojny. Koncepcja, że nagle pojawi się jakiś „naczelny dowódca”, czyli instytucja zupełnie nieznana w czasie pokoju, jest irytująco wadliwa. Niestety twórcy konstytucji w tym przypadku zafundowali nam dwugłową władzę wykonawczą i to jest nieszczęście – komentuje prof. Romuald Szeremietiew.

GDZIE KUCHAREK SZEŚC...

Konflikt kompetencyjny, wynikający z nieszczęsnych przepisów konstytucji, przekłada się też na blokadę prac nad

prezydentem a szefem MON, a którego odpryski przebijają się do mediów, m.in. w postaci informacji o odmowie nominowania wskazanych przez Macierewicza generałów.

– Widać, że konflikt między dwoma ośrodkami odpowiedzialnymi za polską armię eskaluje i po oddzieleniu politycznej wrzawy, jaka temu towarzyszy, widać, że zamiast dyskusji, rozmów i współpracy nad niezbędnymi zmianami w polskiej armii są starcie dwóch wizji, spory kompetencyjne i blokada reformy armii. A to oznacza poważny problem, bo zmiany są niezbędne – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Romuald Szeremietiew, były wiceminister obrony narodowej i specjalista ds. wojskowości.

Większość naszych rozmówców, osób bezpośrednio związanych z wojskiem, wskazuje, że konieczność naprawienia patologii, które dotyczą polskiego wojska, a których początków trzeba szukać w latach ubiegłych, staje się coraz bardziej paląca. To między innymi kwestia określenia i doprecyzowania zasad nadzoru i zwierzchnictwa nad polską armią, reforma dysfunkcyjnego systemu zarządzania i dowodzenia, wreszcie konieczność wskazania kierunków rozwoju wojska.

WOJNA I POKÓJ

Podstawowy problem to spór kompetencyjny między prezydentem a ministrem obrony narodowej. Jego geneza wynika z fatalnych, niedoprecyzowanych zapisów

■ niezbędną zmianą systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi. Obecnie obowiązujący został wdrożony w 2014 r. na podstawie koncepcji ówczesnego szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, gen. Stanisława Kozieja, zaufanego człowieka prezydenta Bronisława Komorowskiego.

– Powinniśmy mieć system dowodzenia spójny z tym, który funkcjonuje w NATO. I ten przygotowany przez Kozieja w zamyśle był dobry, ale to, co wyszło w praktyce, woła o pomstę do nieba. Wypaczono go przez spory polityczne w MON i wojsku. Teraz należy go pilnie doprecyzować i poprawić – uważa gen. Skrzypczak.

W efekcie w obecnie obowiązującym systemie kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi na równych prawach, bez hierarchicznego podziału funkcjonuje kilka podmiotów: Szef Sztabu, Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych i Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych.

Obronny, zasadnicze zmiany polegają – w myśl projektu – na wprowadzeniu ujednoliconego systemu kierowania armią, który miałby zastąpić strukturę opartą na trzech równoległych działających dowództwach. Wzmocniona zostałaby w nim rola sztabu generalnego – miałby on odgrywać rolę „pierwszego żołnierza”, któremu w przypadku wojny podlegałby dowódca sił zbrojnych, a zamiast obecnego Dowództwa Operacyjnego RSZ powstałby Inspektorat Szkolenia i Dowodzenia oraz Inspektorat Wsparcia. MON przekonuje, że proponowany system jest dostosowany zarówno do wojny samodzielnej, jak i stworzony do współpracy z NATO. Projekt trafił już do prezydenta i... został wstrzymany. Ponieważ pojawiają się wątpliwości, które wymagają pilnego rozwiązania. Jakież?

– Zaproponowane przez MON rozwiązania są sprzeczne z zasadą, według której

RP. Z tym wiąże się planowane wzmocnienie roli szefa Sztabu Generalnego WP. W BBN zwracamy też uwagę na konieczność zachowania spójności narodowych struktur dowodzenia ze strukturami sojuszniczymi. W związku z tym konieczne jest zachowanie struktury, która będzie odpowiadała za operacje połączone – mówił wiosną Paweł Soloch, szef BBN, w wywiadzie dla portalu Defence 24.

Tymczasem przedstawiciele MON, a szczególnie wiceminister Tomasz Szatkowski, w rozmowach z mediami podkreślają, że wprowadzenie takiej struktury – opartej na dotychczas przeprowadzonych ćwiczeniach powtarzałoby błędy obecnego „koziejowego” systemu i groziło dualizmem dowodzenia.

Efekt? Zarówno przedstawiciele MON, jak i prezydent Andrzej Duda toczą wojnę w mediach. Tymczasem w przededniu rosyjskich ćwiczeń „Zapad 2017” na Białorusi wciąż nie mamy sprawnie funkcjonującego systemu dowodzenia polską armią.

W obecnie obowiązującym systemie kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi na równych prawach, bez hierarchicznego podziału, funkcjonuje kilka podmiotów

Sęk w tym, że system nie został poprzedzony militarnymi symulacjami i analizami, wdrażano go pośpiesznie, po tym, gdy odsunięcie od władzy w lutym 2014 r. ukraińskiego prezydenta Wiktora Janukowycza zaowocowało wybuchem wojny domowej na Ukrainie i militarnym konfliktem z udziałem Rosji, a ówczesne kierownictwo MON na czele z Tomaszem Siemoniakiem (PO), wdrażając system, nie zakończyło prac nad jego funkcjonowaniem w warunkach wojny.

W efekcie system wprowadził dwa główne dowództwa, bardzo nieprecyzyjnie zakreślając ich kompetencje, i w ocenie zdecydowanej większości ekspertów okazał się dysfunkcyjny.

O konieczności zmiany systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi politycy PiS mówili jeszcze w kampanii wyborczej. Ostatecznie Ministerstwo Obrony Narodowej przygotowało po testach i ćwiczeniach przeprowadzonych zimą 2017 r. koncepcję zmian systemu dowodzenia. Jego część wojenna jest tajna – jednak, jak wynika z Koncepcji Obrony RP, będącej jawną prezentacją zasadniczych kierunków, które zostały zawarte w tajnym Strategicznym Przeglądzie

wojskiem dowodzić ma ten, kto je szkoli. Odtwarzane będą Dowództwa Rodzajów Sił Zbrojnych, ale szkoleniem podległych im wojsk ma zająć się Inspektorat Szkolenia i Dowodzenia. W takim razie jaki sens ma odtwarzanie Dowództwa RSZ? – zastanawia się prof. Szeremietiew.

Wątpliwości części ekspertów budzi też przyznanie „uprawnień dowódczych” szefowi sztabu generalnego przy jednoczesnym mocnym ograniczeniu decyzyjnej i dowódczej roli prezydenta RP wynikającej z obowiązujących dzisiaj zapisów konstytucji. Biuro Bezpieczeństwa Narodowego ma też, jak wynika z naszych informacji, poważne zastrzeżenia nie tylko do systemu ograniczającego rolę prezydenta, lecz także postuluje utworzenie czegoś w rodzaju „dowództwa połączonego”, które miałoby być organem pośrednim pomiędzy szefem sztabu a dowódcami rodzajów sił zbrojnych. BBN skłania się ku wydzieleniu do tej roli osobnej instytucji, MON zaś – ku strukturze w ramach Sztabu Generalnego WP.

– Wszyscy uczestnicy prac są zgodni co do konieczności wskazania w sposób jednoznaczny, kto jest głównodowodzącym w systemie dowodzenia siłami zbrojnymi

SYSTEM KIEROWANIA OBRONĄ PAŃSTWA

Przy ewentualnej eskalacji konfliktu „kucharek” odpowiadających za wojsko niestety na dalszy plan zejdzie np. odbudowa systemu rezerw osobowych – czyli mechanizmu odpowiadającego za przemyślane zastąpienie rezerwistami żołnierzy „wyeliminowanych” z udziału w wojnie. Naprawy wymaga też system „zarządzania kryzysowego” w MON dotyczącego przeciwdziałania skutkom kataklizmów i klęsk żywiołowych.

Wreszcie – jesienią bieżącego roku (data na razie utrzymywana jest w tajemnicy) – mają odbyć się pierwsze od 13 lat ćwiczenia systemu kierowania obroną państwa. Jak dowiedziało się jako pierwsze „Do Rzeczy” – będzie to element kompleksowych „gier decyzyjnych” analizujących zachowania najwyższych organów państwa i ich przedstawicieli w różnych wariantach konfliktu militarnego i związanego z nim kryzysu. Projekt, w którym osoby odpowiedzialne za polskie bezpieczeństwo miałyby podejmować decyzje w zależności od rozwoju sytuacji na froncie i eskalacji zdarzeń kryzysowych w państwie. Wojna między prezydentem a MON, ewentualne zaangażowanie w nią członków rządu i partii rządzącej może negatywnie wpłynąć na udział w „grach wojennych” i efektywność funkcjonowania systemu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

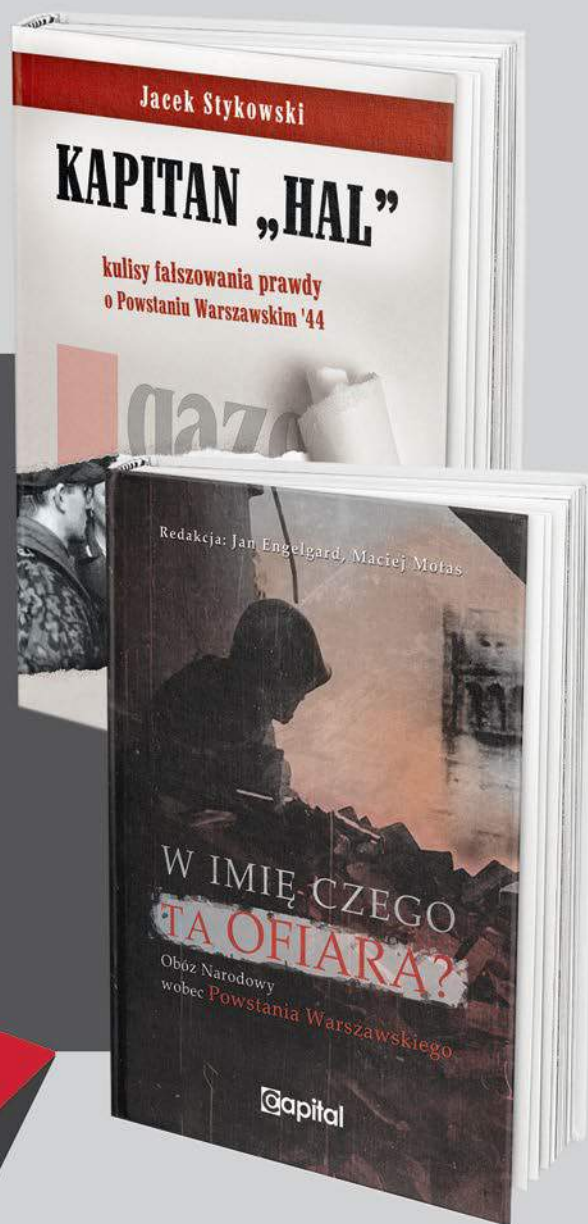
**ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC
W LEPSZEJ CENIE**

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”**

+ KSIĄŻKI J. STYKOWSKI "KAPITAN "HAL".
KULISY FAŁSZOWANIA PRAWDY O POWSTANIU
WARSZAWSKIM '44", J. ENGELGARD, M. MOTAS
"W IMIĘ CZEGO TA OFIARA? OBÓZ NARODOWY
WOBEĆ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO"

144 zł

oszczędność 110 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl/f3e29086ca

Komisjami w Platformę



Kamila Baranowska

Komisje badające sprawę Amber Gold i warszawską aferę reprivatyzacyjną to nie koniec rozliczania rządów PO-PSL. W PiS coraz głośniejszy słychać zapowiedzi powołania komisji, która zajmie się sprawą wyłudzeń VAT



Wbrew pozorom pomysł powołania komisji śledczej ds. wyłudzeń VAT nie jest wcale pomysłem nowym, wynikającym z potrzeby chwili. Już w styczniu 2016 r., czyli tuż po wygranych wyborach, podczas wyjazdowego posiedzenia klubu w Jachrance, Jarosław Kaczyński wymienił komisję śledczą ds. wyłudzeń VAT jako jedną z kluczowych, która powinna powstać w tej kadencji obok m.in. komisji ds. Amber Gold. Współpracownicy prezesa przyznają, że to sprawa, o której Kaczyński mówił im na zamkniętych spotkaniach od dawna. – Wicepremier Morawiecki przedstawiając konkretne dane i liczby, dostarczył prezesowi jedynie potwierdzenia słuszności jego wcześniejszej diagnozy – mówi nam jeden z nich. – Amber Gold i afery warszawska to niewiele w porównaniu z wyłudzeniem VAT i mafią paliwową. Jednak tym się jeszcze zajmujemy – zapowiedział lider PiS w lipcu podczas sejmowego wystąpienia.

NIETYKALNI

Wtedy jednak jego słowa umknęły w ogólnym chaosie debaty poświęconej wotum nieufności wobec ministra Mariusza Błaszczaka. Dzisiaj, w obliczu kolejnych deklaracji polityków obozu rządzącego, nabierają jednak innego znaczenia. Politycy PiS przyznają, że decyzja polityczna już zapadła i komisja w tej kadencji powstanie.

Być może jedynie PiS zechce z nią zaczekać, aż bliżej końca prac będzie komisja ds. Amber Gold. – Zamysł prezesa od początku był taki, by komisje śledcze powoływać jedna po drugiej, nie wszystkie jednocześnie – tłumaczy jeden ze współpracowników Kaczyńskiego.

Także wicepremier Mateusz Morawiecki przyznał w niedawnym wywiadzie w TV Trwam, że o powołaniu komisji śledczej rozmawiał już z Jarosławem Kaczyńskim. – Wyłudzenia VAT pozbawiły nasze państwo ok. 200–250 mld zł. Polakom należy się wyjaśnienie – przekonywał. – Za te brakujące 200 mld to nie tylko byśmy mogli zrobić „5 tys. plus”, przez jeden rok, zamiast „500 plus” [...], ale moglibyśmy zbudować za to 20 tys. dróg ekspresowych. To są gigantyczne środki, które zostały zdefraudowane – argumentował wicepremier Morawiecki.

Do powołania komisji dąży mocno klub Kukiz'15, który zapowiedział złożenie wniosku w tej sprawie od razu po wakacjach. – Wniosek jest gotowy, zbieramy podpisy. Nowoczesna i PSL deklarują, że go poprą, więc z podpisami nie powinno być problemu – mówi „Do Rzeczy” Marek Jakubiak z Kukiz'15. – Nie wyobrażam sobie, by PiS po deklaracjach, które składa, zamroził ten wniosek – dodaje. Jego zdaniem czasu jest dużo. – Komisja ma rozliczyć urzędników i polityków, którzy wykazali się indo-

lencją, którzy przymykali oko, dokonywali dziwnych zmian w przepisach. Ma ustalić, kto lobbował za konkretnymi przepisami, kto jakie decyzje podejmował, kto wydawał celnikom polecenia, że mają nie ruszać paliw – wylicza poseł Jakubiak.

WYCIEK KONTROLOWANY

Nawiązuje do głośniejszych wypowiedzi szefa Związku Zawodowego Celnicy PL Sławomira Siwego, który w wywiadach przyznawał, że „nam nie można było ruszać paliw, myśmy alarmowali już za poprzedniej władzy, że te paliwa wjeżdżają i są sprzedawane bez VAT-u i nie można było tego ruszać”. Siwy sugerował także, że część urzędników resortu finansów działała w zмовie z szarą strefą. – Tworzą prawo, wytyczne i procedury tak, aby korzystały z tego zorganizowane grupy przestępcze – przekonywał.

– Pamiętajmy, że na tym procederze ucierpiały setki małych polskich przedsiębiorstw. Chcemy odpowiedzialności politycznej i postawienia winnych przed Trybunałem Stanu – mówi Jakubiak.

Im więcej mówi się o komisji śledczej, tym więcej pojawia się głosów, że taka komisja jest bez sensu, ponieważ – jak oznajmiła „Gazeta Wyborcza” – „i tak nic nie wykryje”, bo – jak czytamy – „wpływ polityków na gospodarkę i podatki jest ograniczony”. Do tego dochodzą argu-

Działająca od czerwca komisja weryfikacyjna w sprawie warszawskiej reprivatyzacji wykazała nieprawidłowości i cofnęła niektóre decyzje o zwrocie nieruchomości FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER



menty, by zostawić wyjaśnianie sprawy prokuraturze.

– Jedno nie wyklucza drugiego – mówi Zbigniew Kuźmiuk, europoseł PiS. I przypomina, że gdy za poprzedniej kadencji Sejmu zasiadał w sejmowej Komisji Finansów, wielokrotnie pod adresem resortu finansów padały pytania dotyczące skali luki w VAT. – Mieliliśmy do czynienia z konkretnymi zmianami w przepisach, ustawach i rozporządzeniach, które rozszczelniały pobieranie VAT, komisja w prosty sposób mogłaby prześledzić, jak te zmiany były przeprowadzane, kto je zgłaszał, kto głosował – przekonuje. Jego zdaniem nad całym procederem musiał istnieć parasol polityczny. – Inaczej się tego wytłumaczyć nie da. Skoro minister finansów dostaje co 10 dni raport, jak wygląda sytuacja, i nie wyciąga z tego żadnych wniosków, nie wprowadza nowych rozwiązań, to oznacza, że daje na to przyzwolenie – argumentuje.

Resort finansów podaje, że luka w VAT w 2015 r. była 7,1 razy większa niż w roku 2007, a skumulowana luka w VAT za okres 2008–2015 wynosiła ponad 262 mld zł. Zgodnie z szacunkami Komisji Europejskiej, na które powołuje się ministerstwo w okresie 2007–2014, w Polsce zanotowano jeden z największych w Unii Europejskiej wzrostów luki podatkowej w VAT – od 0,2 proc. PKB w 2007 r. do 2,26 proc. PKB w 2014 r. Resort finansów poinformo-

wał, że w okresie styczeń–czerwiec 2017 r. odnotowano rekordowy wzrost dochodów z VAT w stosunku do analogicznego okresu 2016 r. o 28,1 proc., czyli o ok. 17,6 mld zł.

W PiS pojawili się jednak sceptycy narzekający, że czasu na komisję śledczą ds. VAT jest za mało. W przyszłym roku są wybory samorządowe, a potem trzeba się już przygotowywać do parlamentarnych, komisja może nie zdążyć zatem dojść do jakichkolwiek konkretnych wniosków. Zarówno Marek Jakubiak z Kukiz'15, jak i Zbigniew Kuźmiuk z PiS przekonują jednak, że czasu do końca kadencji jest wystarczająco, by sprawę, kto i dlaczego tworzył wadliwe prawo, wyjaśnić. – Jeśli w komisji zasiądą specjaliści, posłowie z Komisji Finansów, którzy wiedzą, czego, gdzie i jak szukać, to wszystko pójdzie szybko i sprawnie. A ściganiem przestępców niech zajmują się prokuratura, która z tego, co widzę, robi to coraz sprawniej, i sądy, które – mam nadzieję – też podejną do sprawy poważnie – mówi poseł Kuźmiuk.

Pierwsze dane, dotyczące prac prokuratury na odcinku zwalczania wyłudzczy VAT, już są. Jak podaje Prokuratura Krajowa, od marca 2016 r. w toku prowadzonych postępowań 2172 osoby usłyszały zarzuty uszczuplenia i narażenia na uszczuplenie w podatku VAT na łączną kwotę blisko 14 mld zł. W tym okresie w prokuraturach regionalnych zakończono 633 postępowania, nadal w biegu pozostaje 696 postępowań. W tym okresie skierowano do sądów 225 aktów oskarżenia, wobec 505 oskarżonych zapadły już wyroki skazujące.

Zwolennikiem powołania komisji śledczej jest także Zbigniew Ziobro, który mówił o tym już podczas głośnego kongresu Zjednoczonej Prawicy w Przysusze. – To jest naprawdę gigantyczna afera, która zasługuje na odrębne śledztwo. Takie zlecilem i prowadzi je prokuratura, która ma wyjaśnić, dlaczego polskie państwo było całkowicie bierne, całkowicie teoretyczne, całkowicie wywiesiło białą flagę wobec gigantycznie narastającej fali przestępstw VAT-owskich. Sprawa ta nadaje się na komisję śledczą, która w przyszłości mogłaby wyświetlić wiele ważnych aspektów politycznych, społecznych tej wielkiej, gigantycznej, rozwijającej się afery w okresie rządów PO-PSL – przekonywał.

Kiedy PiS powoływał sejmową komisję śledczą ds. wyjaśnienia afery Amber Gold, wielu komentatorów, a nieoficjalnie i polityków PiS, uważało, że z politycznego punktu widzenia to strata czasu. Sprawa jest stara, nie budzi już emocji, a pociągnięcie kogokolwiek do odpowiedzialności (także politycznej) to proces trudny i skomplikowany. Jednym słowem – gra nie jest warta świeczki.

Okazało się jednak, że poza odkrywaniem kulis tego, jak funkcjonowały instytucje państwowe i sądy, także politycznie komisja śledcza spełnia swoją funkcję, dając PiS paliwo do powolnego grillowania Platformy i – co istotne z punktu widzenia planowanej reformy sądownictwa – środowiska sędziowskiego. Szerokim echem odbiło się zwłaszcza przesłuchanie Michała Tuska z jego słynnym już stwierdzeniem, że „razem z ojcem wiedzieliśmy, że Amber Gold to lipa”. Zapewne zdanie to znajdzie się w niejednym spocie wyborczym PiS.

Trafionym politycznie pomysłem okazała się także komisja weryfikacyjna w sprawie warszawskiej reprivatyzacji, która poza merytorycznym badaniem poszczególnych zwrotów działek i kamienic spełnia też inną funkcję – nie pozwala zapomnieć, kto był i jest odpowiedzialny za tę aferę, zwłaszcza że Platforma do dziś nie wymyśliła spójnej linii obrony i nie odciąga się od Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Sprawa wyłudzeń VAT może stać się kolejnym tematem, który będzie pogrążał PO. Pewne jest to, że rządzący takiej okazji nie przepuszczają.

O tym, że w redakcji „Wiadomości” zanosi się na personalne przetwarzanie, wiadomo było przynajmniej od kilku tygodni. Pierwszym sygnałem – czytelnym również dla dotychczasowej szefowej programu, Marzeny Paczuskiej – było wysłanie jej na zaległy wypoczynek. Na pytanie portalu wPolityce.pl, czy spodziewa się, że do redakcji może już nie wrócić, odpowiedziała: „Nie ma takiego urlopu, z którego się nie wraca”. Równocześnie dodała enigmatycznie, że być może pewnym gremiom zależy, żeby nie wróciła, ponieważ jest „zaporą przed czymś, w co »Wiadomości« nigdy nie powinny się zamienić” oraz ofiarą „przesilenia wewnątrz obozu prawicowego”. Słowa te padły jeszcze przed odwołaniem jej ze stanowiska, czyli w sobotę 12 sierpnia. Jednak – jak twierdzą informatorzy „Do Rzeczy” – już wtedy zespół programu informacyjnego otrzymał oficjalny komunikat o zmianie przełożonego.

Telewizyjna Agencja Informacyjna postawiła najpierw na Grzegorza Pawelczyka, zastępcę i prawą rękę Klaudiusza Pobudzina w agencji oraz szefa TVP Info. Ten jednak, po pierwotnym przyjęciu decyzji, następnego dnia zrezygnował z szefowania „Wiadomościom”. Wówczas po krótkiej naradzie uznano, że stanowisko obejmie dotychczasowy wydawca programu, Jarosław Olechowski (według portalu Wirtualnemedi.pl na to stanowisko typowano również Michała Rachonia oraz Ewę Bugałę). – Olechowski musiał przerwać urlop, aby stawić się w Warszawie i odebrać pisemną decyzję o awansie, następnie na urlop powrócił – opowiada informator „Do Rzeczy”. Nowy szef programu informacyjnego w zespole ma opinię pracowitego i niekonfliktowego.

WPIS NA TWITTERZE

W środowisku prawicowym duże kontrowersje wywołała nie tylko zmiana naczelnej programu, lecz także sposób, w jaki się ona odbyła. „Olechowski Jarek nowym szefem »Wiadomości«. Gratuluję! Dziękuję za dotychczasową pracę Marzenie Paczuskiej” – napisał na Twitterze Klaudiusz Pobudzin. Paczуска na tę wiadomość odpisała ostro: „Etatowych dziennikarzy, pracowników TVP – zwalniam na TT... :) Super”. Jak twierdzą nasze źródła w TAI, wpis Pobudzina nie był związany z formalnym złożeniem wypowiedzenia, które odbędzie się po powrocie Marzeny Paczuskiej z urlopu.

Piruet na ekranie



Marcin Makowski

Gwałtowne przetasowanie w „Wiadomościach” oburzyło zarówno najbardziej zatwardziałyh zwolenników PiS, jak i tych, którzy oczekują złagodzenia medialnych przekazów

– Jeśli to prawda, że Marzena Paczуска dowiedziała się o zwolnieniu na Twitterze, to wystawia to bardzo złe świadectwo dyrekcji TAI. To sprawa szefostwa telewizji, jak dobiera swoją kadrę kierowniczą, ale istnieje też pewna kultura osobista, której trzeba się trzymać – mówi „Do Rzeczy” Krzysztof Czabański, przewodniczący Rady Mediów Narodowych. Po powrocie z urlopu zamierza złożyć oficjalne zapytanie w sprawie „obyczajów korporacyjnych” do Telewizji Polskiej.

Tymczasem prezes TVP Jacek Kurski zapowiedział, że pracy w telewizji Paczуска nie straci. „Uprzedzono mnie o nowej formule wzmocnienia programów informacyjnych, w tym »Wiadomości«. Honoruję prawo dyrekcji TAI do dobierania sobie szefów redakcji. Przedstawię redaktor Marzenie Paczuskiej propozycję awansu zawodowego w strukturach Telewizji Polskiej” – stwierdził w rozmowie z Wirtualnymi Mediami prezes TVP.

KULISY ROZSTANIA

Jak twierdzą osoby związane z TVP, do zwolnienia Marzeny Paczuskiej przyczynił się splot konfliktów personalnych z pracownikami Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, spadek oglądalności „Wiadomości” oraz brak porozumienia i synergii z TVP Info, która w tym samym czasie notowała rekordowe wyniki.

Według portalu Mediainside.pl, który powołuje się na dobrze zorientowane źródło z wnętrza Telewizji Publicznej, konflikt z linią programową „Wiadomości” tlił się od dawna. Jako przykład złych decyzji Paczuskiej wskazano m.in. niewystarczające omówienie wizyty Donalda Trumpa w Polsce. „Całkowicie pominięto wiele innych ważnych wątków, w tym odpowiedź na pytanie dziennikarza TVP Info o dostawy amerykańskiego gazu do Polski” – mówił informator portalu. Jako kolejne powody zwolnienia wymieniono np. zapraszanie do studia „Gościa Wiadomości” polityków krytykujących dziennikarzy telewizji publicznej oraz lekceważenie propozycji i materiałów realizowanych przez Ewę Bugałę, która do programu z TVP Info wróciła po urlopie swojej byłej przełożonej.

Paczуска w rozmowie z portalem wPolityce.pl odpiiera jednak zarzuty o malejącą widownię. „[...] sam prezes TVP Jacek Kurski doskonale wie, jak bardzo zaniżana jest oglądalność telewizji publicznej przez badania w systemie AGB Nielsen, a zwłaszcza dotyczy to programów informacyjnych. Ba, żeby nam dolożyć, zmieniono nawet w tym roku sposób mierzenia i zliczania tej oglądalności” – argumentuje dziennikarka.

Równocześnie winą za złą atmosferę na kolegiach redakcyjnych obarczono Przemysława Wenerskiego, który jako

wydawca do telewizji publicznej przyszedł z TVN24. „Zmuszono do odejścia reportera politycznego, red. Ewę Bugałę. W wydaniach red. Wenerskiego była ona praktycznie pozbawiona możliwości realizowania tematów. Jej propozycje były publicznie wyśmiewane [...]” – twierdzi osoba z kręgów decyzyjnych TVP. Co ciekawe, 17 lipca późnym wieczorem strona Mediainside.pl, na której opublikowano cytowane wypowiedzi, zakończyła swoją działalność. „W związku z zaistniałym niedopatrzaniem, jakie zostało popełnione podczas publikacji artykułu [...], redakcja chce wyrazić swoje ubolewanie i przeprosić panią Marzenę Paczuska oraz pana Przemysława Wenerskiego za opublikowanie tekstu bez wcześniejszego umożliwienia zainteresowanym ustosunkowania się do doniesień w nim zawartych” – napisano. „Wrzucamy do sieci niezaweryfikowane haki dot. pracowników TVP, by ich uwalić. Takie »hobby«” – skomentował całą sytuację na Twitterze redaktor naczelny portalu TVP Info Samuel Pereira.

Do kulis swojej decyzji w wywiadzie z PAP w poniedziałek 14 lipca odniósł się również Klaudiusz Pobudzin. Jego zdaniem odwołanie Paczuskiej związane było ze zmianą strategii TAI oraz złymi warunkami współpracy. „Postawiliśmy na doświadczonego, młodego człowieka – Jarka Olechowskiego, z dużym doświadczeniem, z szerokimi zainteresowaniami, to jest człowiek z wewnątrz zespołu, bardzo cenię Jarka, jego dokonania, jego talent i myślę, że współpraca z kierownictwem TAI będzie jeszcze lepsza” – dodał Pobudzin. Wspomniana „nowa strategia” wejdzie w życie 28 sierpnia, kiedy to główne wydanie „Wiadomości”, a także „Teleexpress” i „Panorama” będą jednocześnie emitowane w TVP Info. Według zapewnień szefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej programy i stacja informacyjna będą teraz promowały się wzajemnie.

NOWY STYL

W tej samej rozmowie z Polską Agencją Prasową Pobudzin podkreślił również, że zmieni się styl realizacji programu. „Wiadomości” będą bliżej ludzkich spraw, a dziennikarze będą częściej wypowiadali się na wizji, więcej będzie zależeć również od decyzji wydawców. Jak donosi informator „Do Rzeczy”, niektóre zmiany już weszły w życie. – Researcherzy,

k którzy od dłuższego czasu nie otrzymali żadnych podwyżek, po zmianie na górze zaczęli zarabiać nieco więcej – twierdzi nasz rozmówca.

Dla wielu przedstawicieli środowiska prawicowego w Polsce zakulisowe przetasowania – pomimo powoływania się na argumenty merytoryczne przez TAI – raczej szkodzą, niż pomagają telewizji publicznej. „Podobno Paczuska odwołana została za niewystarczającą gorliwość w popieraniu »dobrej zmiany«. Jeśli

to prawda, a nic nie wskazuje ani nikt nie przywołuje innych powodów, aby było inaczej, to oznaczałoby to, że pion informacyjny TVP wpadł w korkociąg” – stwierdził na łamach portalu wPolityce.pl Bronisław Wildstein. I dodał: „Czy szefowie TVP uwierzyli, że są dwie Polski, a ich rolą jest wyłącznie podgrzewanie zapалу »swoich«? Czas jakiś strategia taka może być nawet skuteczna, ale kiedy nastąpi przełom, nic nie będzie go już w stanie odwrócić”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marzena Paczuska przestała kierować „Wiadomościami”

FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/TVP/FORUM



Maciej Pieczyński

Niemieckie media nazywają go „podżegaczem” oraz „twórcą teorii spiskowych” i porównują z Eriką Steinbach. Amunicji do propagandowego ataku na Cezarego Gmyza dostarczają usłużne wobec Berlina polskie środowiska lewicowo-liberalne. To zemsta za dobrą zmianę

Dziennikarz „Do Rzeczy” i korespondent TVP w Berlinie przez jednych uważany jest za „prawicowego twórcę teorii spiskowych”, zaś „przez swoich ludzi czczony jest jako męczennik”. Tak o Gmyzie pisze Nancy Waldmann na łamach berlińskiej gazety „Tageszeitung” („taz”). O tym, jaką barwą niemiecka dziennikarka kreśli portret polskiego reportera, wiele mówi tytuł: „Podżegacz”. Wiele, ale nie wszystko. Korespondent TVP pod piórem Waldmann

Gzysa” w rozmowie z Waldmann twierdzi, że postanowił obśmiać polskiego korespondenta, ponieważ uważa jego relacje z Niemiec za „bardzo smutne”.

I rzeczywiście, poza przedstawianiem w krzywym zwierciadle manieri czy sposobu wystawiania się Cezarego Gmyza satyra Gusowskiego ma bardzo konkretny kierunek światopoglądowy. „Gzys” pojawia się np. w parku pełnym leniwie odpoczywających (zapewne) berlińczyków i relacjonuje ze śmiertelną

nie tylko pravicowi publicyści, lecz także przede wszystkim eksperci.

NIEMCY PRZEINACZAJĄ GMYZA?

Używając podobnych argumentów co Gusowski, jednak już nie w satyrycznej, ale w poważnej, publicystycznej stylistyce, krytykował Gmyza niedawno Philipp Fritz na łamach „Die Zeit”. „Korespondent informuje: panują tu włamania i zabójstwa. Chrześcijanie nie mogą się swobodnie poruszać w zdominowanym przez islam sąsiedztwie. A państwo tak czy inaczej nie troszczy się w wystarczającym stopniu o chrześcijańskie społeczeństwo, usuwając symbol krzyża z pomieszczeń publicznych i znosząc granice płci. Kraj, o którym mowa, to Niemcy” – pisze Fritz, wyolbrzymiając narrację Gmyza. Stwierdza, że Niemcy widziane oczami polskiego korespondenta to kraj, gdzie „nie można czuć się bezpiecznie, a między Flensburgiem i Jeziorem Bodeńskim powstał kalifat,

Gmyz pod

jest bowiem nie tylko „straszny”, lecz także „śmieszny”. Dziennikarka wiele uwagi poświęca internetowej serii skeczów parodiujących pracę reporterską Gmyza. Ich autorem jest Adam Gusowski z berlińskiego stowarzyszenia Klub Polskich Nieudaczników. Sam wciela się w postać korespondenta „Czarosława Gzysa”. Waldmann streszcza odcinek, w którym Gusowski parodiuje rzeczywistą wpadkę Gmyza podczas relacji z grudniowego zamachu w Berlinie. Polski dziennikarz pojawił się wówczas na wizji z papierosem w ustach. Niechętni mu komentatorzy sugerowali, że był nietrzeźwy, co Gmyz wielokrotnie dementował. Zapewnia, że był po prostu zmęczony noszeniem ciężkiego sprzętu i nie wiedział, iż już jest na wizji. Twórca postaci „Czarosława

powaga: „W Niemczech panuje zagrożenie terrorem i strach. Prerażenie, niemoc, bezwładność niemieckiego społeczeństwa widać na każdym kroku. Strach jest tu namacalny i paraliżuje życie codzienne”. Hiperbolizowanie jest typowym środkiem stylistycznym satyry, stąd też nic dziwnego, że „Gzys”, naśladując Gmyza, sprowadza uzasadniony skądinąd pogląd o zagrożeniu islamizmem do absurdu. Jednak już w kolejnych słowach skeczu krzywe zwierciadło zamienia się w fałszywy obraz. „Uchodźcy nie tylko chodzą po ulicach, do szkół i do pracy, płacąc podatki, uczą się języka, jeżdżą metrem, jakby nigdy nic, a wiadomo, co chcą zrobić” – kontynuuje swoją relację „Czarosław”. A przecież o radykalizacji nastrojów w trzecim pokoleniu islamskich imigrantów mówią

w którym islamieści wspólnie z naiwnymi, ogarniętymi genderowym szaleństwem ekologicznymi Niemcami uprawiają poligamię”. O tym, że się z tą wizją Fritz, delikatnie rzecz ujmując, nie zgadza, świadczy tytuł: „Ten, który przeinacza Niemcy”.

Odpowiedź polskiego korespondenta podsumować można parafrazą: „Ten, który przeinacza Gmyza”. – To wszystko kłamstwa, które Fritz wyssał z brudnego palucha. Nigdy w swojej korespondencji nie użyłem określenia „kalifat”, nigdy też nie pisałem na temat gender. Podejrzewam zresztą, że nigdy nie obejrzał żadnej mojej relacji ani nie przeczytał żadnego mojego artykułu, a swoje tezy oparł na tym, co usłyszał od swoich polskich przyjaciół – komentuje Cezary Gmyz, przypominając o niemieckich kontaktach Bartosza

Der Deutschland-Verdreher

Cezary Gmyz berichtet für das polnische Fernsehen aus Berlin. Seinen Landsleuten präsentiert er eine mordsgefährliche Gegend zwischen Islamismus und Gender-Wahn.

Von Philipp Fritz

2. August 2017, 17:08 Uhr / Editiert am 5. August 2017, 19:03 Uhr / 587 Kommentare



Artykuł w „Die Zeit” o polskim korespondencie zatytułowano: „Ten, który przeinacza Niemcy”



Cezary Gmyz, hier vor seiner Berliner Wohnung, prägt das Bild der Bundesrepublik in Polen
© Hannes Jung für DIE ZEIT

Polskich Nieudaczników zajmuje się propagowaniem tolerancji w sztuce. Za cel stawia sobie też wspieranie komunikacji między Polską a Niemcami. Zadanie to realizuje w dość specyficzny sposób, wpisując się w ponadnarodowy sojusz środowisk lewicowo-liberalnych, których wspólnym wrogiem jest obóz dobrej zmiany i rezonujące jego przekaz media publiczne. O tym, jak bardzo Niemcy liczą się z niepoważną, kuriozalną działalnością stowarzyszenia, świadczy fakt, że Klub Polskich Nieudaczników osiągnął to, o co wcześniej bezskutecznie zabiegał ambasador Przyłębski: zorganizował pokaz filmu „Smoleńsk”. Tyle że prześmiewczy. Podczas pokazu pijana publiczność wybuchła salwami śmiechu („Jak trotyl” – komentował potem w swoim skeczu Gusowski, odsyłając do najsłynniejszego artykułu Gmyza o trotylu na wraku tupolewa).

Sam Gmyz został przywitany na wiadowni niemieckiego kina isticie tolerancji-

ostrzałem

Wielńskiego z „Gazety Wyborczej”. Polski dziennikarz zapewnia przy tym, że wbrew insynuacjom nie jest ksenofobem czy islamofobem, często zdarza mu się jadać w syryjskich i tureckich restauracjach. Dodaje też, że jest zafascynowany Niemcami, co zresztą tamtejsze media, przy okazji krytyki, uczciwie przyznają. Fritz pisze jednak w tym kontekście, że „fascynację od pogardy dzieli czasem tylko mały krok”. – Kiedy moi niemieccy przyjaciele czytają takie komentarze na mój temat, zastanawiają się, o co chodzi, skoro znają mnie jako człowieka otwartego, a tu im się wmawia, że jestem jakimś potworem – zapewnia Cezary Gmyz. Powtarza, że negatywne opinie – zarówno na jego temat, jak i na temat polskiej prawicy – inspirowane są przez środowiska zbliżone do „Gazety

Wyborczej”. – Wrogiem dla Niemców nie jest Jarosław Kaczyński, tylko Donald Trump – zapewnia.

Przypisanie Gmyzowi łatki bojownika na froncie walki z gender wynika być może z faktu, że korespondentowi zdarzyło się opublikować na Twitterze zdjęcie tabliczki z napisem: „Plac zabaw dla dzieci i dzieci żeńskich”. Okazało się, że jest to fotomontaż. Gmyz przyznaje się do pomyłki, dodaje przy tym jednak, że biorąc pod uwagę np. toczącą się w Berlinie debatę na temat toalet damsko-męskich, ten „antygendery” fejk nie odbiega daleko od rzeczywistych problemów.

NIEUDACZNIKI VS. SMOLEŃSK

Zgodnie ze statutem współtworzone przez Gusowskiego stowarzyszenie Klub

nymi i współbrzmiającymi z ideą przyjaźni polsko-niemieckiej okrzykami: „Kurwizja”. – Podszedł do mnie kompletnie pijany facet, który oglądając film, pił wódkę z gwinta. Gdy zorientował się, że nie podzielam jego poglądów, zażądał od kierownika kina, by ten wyrzucił mnie z pokazu. Na szczęście kierownik zachował się przyzwoicie – opowiada Cezary Gmyz. Podkreśla przy tym, że w stolicy Niemiec bardzo silne jest środowisko Komitetu Obrony Demokracji. Korespondent TVP wraz z Andrzejem Przyłębskim znalazł się na liście najbardziej zenujących berlińczyków, sporządzonej przez magazyn „Tip Berlin”. Ambasador został „wyróżniony” za upór w organizacji niemieckiej premiery „Smoleńska”, Gmyzowi – również, przez tekst o trotylu, kojarzonemu z tematem

tragedii 10 kwietnia – dostało się za wpadkę z papierosem podczas relacji z zamachu.

Fakt, że sztydzenie z katastrofy ma za Odrą większą siłę przebicia niż PiS-owska (choćby kontrowersyjna) narracja, zdaniem Gmyza nie świadczy o jakiejś szczególnej drażliwości Niemców na punkcie 10 kwietnia. – Przeciętny Niemiec nie ma pojęcia o tym, co się stało pod Smoleńskiem. A jeśli już coś na ten temat słyszał, to właśnie od polskich środowisk lewicowo-liberalnych – mówi. I przypomina, że to nie pierwszy raz, kiedy Polacy szydzą z własnego kraju przed niemiecką publicznością. W grudniu ubiegłego roku, w ramach cyklu „Mity rzeczywistości”, na deskach berlińskiego Maxim Gorki Theater, polski reżyser Krzysztof Minkowski wystawił komedię „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, wyśmiewającą katastrofę smoleńską. Nawet recenzujący spektakl

spiskowych, pomijając fakt, że ostatecznie w sprawie trotylu się nie mylił.

Fritz pisze w swoim artykule, że posada korespondenta była wielkim skokiem w karierze Gmyza, który wcześniej prowadził w TV Republika program kulinarny. – Po pierwsze, autor nie zwrócił uwagi, że w tym programie kulinarnym gościli najważniejsi gracze ówczesnej polskiej sceny politycznej – broni się Gmyz. – Po drugie, w momencie, gdy zostałem korespondentem TVP w Berlinie, miałem za sobą 27 lat praktyki zawodowej. Mój poprzednik na tym stanowisku, Marcin Antosiewicz, miał 27 lat... w momencie, gdy to stanowisko objął.

NA MEDIALNYM FRONCIE

Nancy Waldmann we wspomnianym artykule streszcza poglądy Gmyza w następujący sposób: „O imigracji myśli podobnie jak AfD (Alternatywa dla Nie-

dwójga skupia się na antagonizmach: europejski – narodowy, muzułmański – chrześcijański, niemiecki – polski” – pisze dziennikarka „taz”. Jej zdaniem Gmyz i Steinbach cierpią na „ten sam rodzaj samotności na tutejszej pustyni konserwatyzmu”.

– Ręce opadają. Jestem autorem wielu tekstów krytycznych wobec Eriki Steinbach, tymczasem to Bartosz Wieliński kumpluje się z obecnym szefem Związku Wypędzonych, Berndem Fabritiusem – komentuje Cezary Gmyz. To o tyle ciekawe, że to właśnie dziennikarz „Gazety Wyborczej”, jej były korespondent w Berlinie, przoduje w medialnych atakach zarówno na Gmyza, jak i na obóz dobrej zmiany. Kilka miesięcy temu Bartosz Wieliński spotkał się Fabritiusem. Najwyraźniej polski dziennikarz skarżył się niemieckiemu aktywiście na „stan demokracji w Polsce”. Fabritius opublikował bowiem po spotkaniu ich wspólne zdjęcie, opatrując je opisem: „Z wielkim niepokojem obserwuję postępujące ograniczanie wolności prasy u naszych polskich sąsiadów [...]. To smutne, że krytyczne wobec rządu głosy milkną. Tymczasem dziennikarze powinni móc relacjonować wydarzenia w sposób niezależny. To podstawa demokracji. Będę pomagał, gdzie tylko się da”.

To kolejny dowód na tezę, zgodnie z którą niemieckie ataki na Gmyza i – szerzej – na polską prawicę inspirowane są znad Wisły. – Polskie środowiska lewicowo-liberalne dość instrumentalnie traktują Związek Wypędzonych. Dopóki w Warszawie rządził poprzedni obóz polityczny, dopóty niemieccy rewizjoniści byli na cenzurowanym. Jednak teraz, gdy „wypędzeni” biorą na cel dobrą zmianę, nagle stali się sprzymierzeńcem w walce o demokrację – komentuje dr Bogdan Pliszka, politolog.

Przyznaje przy tym, że prawdziwym celem medialnych ataków nie jest Cezary Gmyz, ale właśnie rządzący Polską prawniczy obóz polityczny. – Oczywiście polski korespondent w Berlinie swoimi wpadkami czasem ułatwia zadanie krytykom, ale gdyby na jego miejscu był ktokolwiek inny z nadania TVP pod obecnym zarządem, byłoby to samo – mówi. – W podobny sposób, za pośrednictwem zachodnich mediów, środowiska lewicowo-liberalne niszczyły Berlusconię we Włoszech, Heidera w Austrii czy Orbána na Węgrzech – dodaje politolog.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dziennikarz „Gazety Wyborczej” nazwał je „makabrycznym show”.

Niemieccy dziennikarze, atakując Gmyza, zgodnie przyznają, że „nie zawsze taki był”. Przypominają, że w 2004 r. organizował polsko-niemiecki tandem mediów. W opinii Olivera Hinza, który wówczas dzięki Gmyzowi odwiedził Polskę, był on „pełnokrwistym dziennikarzem”, który tłumaczył Polakom, jacy są Niemcy. Wtedy dla naszych zachodnich sąsiadów prawniczy dziennikarz był profesjonalistą. Teraz zaś, gdy w swojej korespondencji – choć czasem zbyt ostro, ale jednak bez powszechnego w Niemczech hamulca poprawności politycznej – opisuje współczesne zagrożenia, wytykają mu... brak tego profesjonalizmu. Przypisują zamiłowanie do teorii

mię, jeśli chodzi o stosunek do Rosji, cieszy się ze stanowiska Merkel. W kwestii obrachunku z niemiecką przeszłością po drodze mu raczej z krytyczną wobec Niemiec Die Linke (Lewicą). Ze swoją antykomunistyczną postawą jest on po prostu konserwatywnym Polakiem, bez odpowiednika w niemieckim pokoleniu '68”. Ostry język, z jakiego znany jest Gmyz użytkownikom Twittera, przypomina niemieckiej dziennikarce aktywność internetową Eriki Steinbach. Waldmann przyznaje, że polski korespondent w przeszłości zdecydowanie krytykował niebezpieczną dla Polski działalność Związku Wypędzonych, której przewodniczącą była Steinbach, nie byłby więc – delikatnie pisząc – zachwycony takim porównaniem. „Lecz myślenie tych

Spiskujący z kotami



Agnieszka Niewińska

Z jego koncepcji o prezydencie, który chodzi na pasku безпеki, kpi nawet prawica. Jednak ci, którzy pamiętają Jerzego Targalskiego z opozycyjnej walki, przestrzegają przed szufladkowaniem go jako „oszołoma”

Nostradamus, nowy prorok – piszą o dr. Jerzym Targalskim internauci. Odkąd ten historyk, politolog, orientalista i publicysta „Gazety Polskiej” przedstawił w mediach swoją teorię na temat powodów prezydenckiego weta do ustaw sądowych, jego popularność w sieci wzrosła. Jego kolejne wypowiedzi – a jest częstym gościem TVP Info, Polskiego Radia, telewizji Republika (w której ma także własny program) – są śledzone przez internetowe portale i użytkowników mediów społecznościowych. Wystarczyło, że powiązał satyryczny serial „Ucho prezesa” z bezpieczeństwem, by w internetowej wyszukiwarce hasło „Targalski” zyskało na popularności 50-krotnie. Doktor uznał, że bezpieczeństwo stworzyło portret psychologiczny prezydenta. – Stwierdzono, że po pierwsze ma ego, po drugie jest słaby, po trzecie grając na ego, można uzyskać taką jego reakcję, jaką sobie życzymy – mówił. I wyjaśniał, że celem „Ucha prezesa” było wywołanie odpowiedniej reakcji prezydenta. – Takiej, że „ja tu wszystkich przekonam, iż jestem niezależny, pokażę Jarosławowi Kaczyńskiemu” – tłumaczył Targalski.

W kolejnych medialnych wystąpieniach nazywał prezydenta „strażnikiem ubekistanu”, opowiadał, że głowa państwa zerwała łańcuszek łączący go z Jarosławem Kaczyńskim i wybrała „nałożone przez bezpieczeństwo solidne, niemieckiej roboty dyby”. Doktor Targalski zarysował też

scenariusz na najbliższe miesiące: – Teraz zacznie się frontalny atak, którego celem będzie wywołanie chaosu, doprowadzenie do podziału w obozie patriotycznym, utworzenie partii prezydenckiej, obalenie rządu i przedterminowe wybory, po których albo nie uda się powołać rządu, co by najbardziej odpowiadało Rosji, albo powstanie rząd z udziałem bezpieczeństwa, co by odpowiadało Niemcom.

Komendant Akademii Sztuki Wojennej, w której dr Targalski jest zatrudniony na stanowisku samodzielnego analityka, wystosował oświadczenie. „Wypowiedzi Pana Doktora wyrażają wyłącznie jego prywatne poglądy i nie są stanowiskiem władz Akademii Sztuki Wojennej” – napisał gen. Ryszard Parafianowicz.

PEŁEN SPRZECZNOŚCI

Tezy współautora poczytnej serii „Resortowe dzieci” spotkały się z chłodnym przyjęciem także u sporej części prawicowych internautów. Doktor Targalski obstaje jednak przy swoim. Kiedy pytamy, skąd jego bezpardonowy atak na prezydenta, odpowiada, że to raczej prezydent bezpardonowo zaatakował IV RP. – Jednak nie chcę w tej chwili udzielać żadnych komentarzy, bo nie mam aktualnego oglądu spraw. Jestem na urlopie. Będę się wypowiadał dopiero po powrocie – tłumaczy.

Teorie dr. Targalskiego nie od dziś budzą mieszane uczucia. Jego lansowa-

niu się w mediach przeciwstawiają się ci, którzy walczą o prawdę o rzezi wołyńskiej. Ostro krytykują jego wypowiedzi na temat UPA, której zbrodnie – jak mówią – relatywizuje stwierdzeniami w rodzaju: „Marsze ku czci Bandery to symbol walki z Rosją, a nie z Polską”. „Dawniej PZPR, dziś mentor »Gazety Polskiej« i zagorzały sojusznik Ukrainy”, „wykreowany na »wszechwiedzący autoritet« przez Tomasza Sakiewicza” – pisał o Targalskim ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, komentując jego ostatnie wystąpienia medialne.

W ubiegłym roku działań rosyjskiej agentury dr Targalski doszukiwał się w zwolnieniu Michała Rachonia – obecnie jednej z głównych twarzy TVP – ze stanowiska szefa publicystyki TVP Info. – Moim zdaniem Rachon został usunięty, ponieważ stwarzał zagrożenie dla ubekistanu – stwierdził. I krytykował PiS za to, że nominuje w mediach ludzi, którzy nie gwarantują „głębokich zmian”. O zatrudnieniu przez Jacka Kurskiego Kuby Sufina – twórcy serwisu Tvn24.pl – mówił, że został on sprowadzony do mediów publicznych „w nagrodę za tuszowanie zamachu smoleńskiego”. Niedostateczną wymianę kadr Targalski dostrzega nie tylko w TVP, lecz także w instytucjach państwa. Krytykował PiS, że zamiast dokonania prawdziwych kadrowych zmian obsadzają ważne stanowiska żonami polityków PSL.

Targalskiemu nie można nawet zarzucić, że jest zwolennikiem teorii spiskowych, bo po prostu otwarcie się sam do tego przyznaje. – Teorie spiskowe, których jestem oczywiście zwolennikiem, mówią o tym, że pewne działania w polityce są przygotowywane. Używane są służby, tajne działania zakulisowe, prowokacje – objaśniał widzom swojego programu „Geopolityczny Tygiel”. Audycja nadawana w telewizji Republika jest dość ciekawym medialnym produktem. Doktor Targalski, siedząc w głębokim fotelu, wyklada widzom swoje poglądy, a wokół niego krążą koty. Wskakują na oparcie fotela, sadowią się na kolanach, śmiało patrzą w obiektyw, a analityk energicznie je głaszcze bez przerywania wywodu.

– Jest ekscentryczny, takim go zapamiętałem, ale proszę mnie zwolnić z wypowiedzianą się na jego temat. Dziwi mnie jego dzisiejsza aktywność w mediach – mówi nam jeden z jego dawnych współpracowników. I przestrzega: – Niektórzy chcieliby go zaszufadkować jako oszołoma, ale to nie jest takie

► proste. To człowiek pełen sprzeczności. Dzisiaj można widzieć w nim osobliwego komentatora, ale to erudyta. Był bezkompromisowym działaczem, ale przez kilka lat należał także do PZPR.

FASCYNACJA „KAPITAŁEM”

Targalski, rocznik 1952 r., w wywiadach opowiadał, że od dziecka interesował się polityką, a na początku był socjalistą. – Gdy miałem 14 lat, przeczytałem pierwszy tom „Kapitału”. Rozglądałem się wokół siebie, zastanawiając się, dlaczego jest tak, jak jest. Gdzie popełniono błąd? Najpierw myślałem, że to Lenin go popełnił. Potem, że Marks. No i tak się człowiek cofał, by dojść do wniosku, że to cały ten system był jednym wielkim błędem – mówił piśmu „Arcana” w 2006 r. Z dostępem do „Kapitału” Targalski nie miał problemu także dlatego, że jego ojciec, również Jerzy, był historykiem, członkiem PZPR. Wykładał marksizm-leninizm, badał początki polskiego ruchu socjalistycznego. Po wydarzeniach marca 1968 r. kontestował antysemickie działania partii. Syn po 1968 r. – jak sam wspominał – miał potrzebę działania. Najpierw zapisał się do ZMS, potem na kilka lat wstąpił do PZPR. – Jerzego poznałem jeszcze na studiach na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Studiował rok niżej niż ja, ale razem chodziliśmy na seminarium, na dodatkowe zajęcia z greki – wspomina Krzysztof Łazarski, były opozycjonista, drukarz m.in. podziemnego pisma „Głos”, a dziś prodziekan i wykładowca Uczelni Łazarskiego. – Był nieprawdopodobnie uzdolnionym studentem, miał fotograficzną pamięć. Większość z nas przed egzaminem długimi tygodniami uczyła się z obszernych podręczników dotyczących którejś z epok historycznych. Jerzy czytał podręcznik raz i po prostu go zapamiętywał. Miał niespotykany talent lingwistyczny. Posługiwał się nie tylko wieloma językami nowożytnymi, lecz także poznał kilka języków martwych. Pamiętam seminarium, na którym referował swoją pracę maderską. Źródła, które cytował przez 40 minut, były we wszystkich językach europejskich. Kiedy powołał się na pozycję wydaną w Helsinkach, nikt, łącznie z panią profesor, nie śmiał nawet zapytać, czy czyta po fińsku – opowiada Łazarski. Zaznacza, że na początku współpracy w opozycji podchodził do Targalskiego



z dużą nieufnością. – Był jednym z nielicznych studentów Wydziału Historii należących do partii. Tłumaczył nam, że zrobił to po to, żeby rozwalić partię od środka. To była duża naiwność z jego strony – uważa nasz rozmówca. Zaznacza jednak, że od 1978 r. Targalski był wyraźnie zaangażowany w działalność opozycyjną. – I to pomimo tego, że miał poważne kłopoty zdrowotne, a lekarze nie wróżyli mu długiego życia. Pracował z nami przy „Głosie”, który z czasem rozrósł się w wydawnictwo. Ja kierowałem wówczas pionem technicznym i Jurek był jedną z kilku osób, które mi w tym pomagały. Nie tylko dostarczał olej czy rozpuszczalnik do rozcieńczania farby. Organizowaliśmy cały druk wydawanych przez nas tytułów, a także jego dystrybucję.

Kazimierz Stembrowicz od początku współpracował z Targalskim w założonym przez niego w 1981 r. piśmie „Obóz”, które koncentrowało się na rzeczywistości politycznej i społecznej państw obozu socjalistycznego. – Był bardzo oddany walce o niepodległość. Nie zwracał uwagi na swój strój, na to, co będzie jeść i gdzie będzie nocować. Najważniejsza była dla niego sprawa. Postrzegałem go jako rewolucjonistę urodzonego w czasach, które dały mu szansę się wykazać. Imponował swoim czytaniem, tym, że potrafił odszyfrowywać pismo klinowe – wspomina Stembrowicz.

Krzysztof Łazarski: – Odkąd go pamiętam, miał bardzo zdecydowane poglądy, ale były one oparte na gruntownej wiedzy. On bardzo dużo czytał. Uważał, że komunizm jest wcieleniem



Redakcja „Obozu” spotykała się regularnie na zebraniach organizowanych przez Targalskiego. Jan Malicki, który dołączył do redakcji pisma nieco później, wspominał w wywiadach, że Targalski nikogo nie pytał o zdanie, tylko wydawał polecenia. Dawał współpracownikom miesiąc na opanowanie języka litewskiego czy łotewskiego. Dbał o zachowanie zasad konspiracji, wypożyczając fachową literaturę bez rejestrowania wypożyczeń na ich nazwiska. Stembrowicz z redakcyjnych spotkań zapamiętał go jako impulsywnego. – Kiedy się z kimś nie zgadzał, ostro się mu przeciwstawiał. Mam wrażenie, że dziś podczas dyskusji w mediach jest o wiele bardziej stonowany niż dawniej. Poglądy zawsze miał radykalne, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Dzisiaj ma możliwość, żeby prezentować je szerszej publiczności – zaznacza.

PIES O TWARZY MICHNIKA

We wspomnieniach Targalskiego z opozycyjnej działalności przewijają się nazwiska osób, z którymi dziś stoi po dwóch stronach politycznej barykady. W latach 70. Targalski uczestniczył w spotkaniach dyskusyjnych w domu Doroty i Marka Safjanów, do gospodarki kapitalistycznej przekonał go Witold Gadomski, dziś publicysta „Gazety Wyborczej”, a współtwórcą założonego przez Targalskiego „Obozu” był Wojciech Maziarski. We wspomnieniach działalności w KOR pojawia się też Adam Michnik. – Nie sądzę, żeby poglądy reprezentowane przez Jerzego były dziś radykalnie odmienne od tych, które cechują środowisko dawnego „Głosu”. Z lewicą laicką, która w pewnym momencie zdominowała KOR – z Kuroniem, z Michnikiem – Jerzy różnił się już w tamtym okresie. Oni uważali, że socjalizm należy reformować. Środowisko „Głosu” za cel stawiało sobie niepodległość. Jerzy mówił, że socjalizm trzeba rozwalić, a nie reformować – mówi Krzysztof Łazarski.

Dzisiaj Targalski na swojej stronie Jozefdarski.pl (Józef Darski to pseudonim, pod którym publikował) niejako definiuje siebie poprzez karykaturę: Targalski jest na niej kąsany przez psa o twarzy Michnika. Zarówno naczelny „GW” procesował się za publikację Targalskiego w „Gazecie Polskiej”, jak i Targalski pozwał kierowaną przez Michnika „Gazetę Wyborczą”.

Kiedy w 1997 r. wrócił do Polski z emigracji we Francji – dokąd wyje-

chał na leczenie w 1984 r. i gdzie podjął współpracę z pismami „Kultura” i „Kontakt”, z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa – pracował zarówno w mediach, jak i jako wykładowca akademicki. Szerokim echem odbiło się jego urzędowanie na stanowisku członka zarządu Polskiego Radia (był nim w latach 2006–2009). „Gazeta Wyborcza” donosiła, iż do dziennikarki PR Marii Szablowskiej miał powiedzieć, że trzeba pozbyć się z radia „gomułkowsko-gierkowskich złogów” i że w radiu, kiedy przechodzi korytarzem, „widzi same stare kobiety”. Targalski wytoczył procesy Szablowskiej, „Gazecie Wyborczej” oraz Monice Olejnik, która pytała o te słowa w audycji radiowej. Chociaż rozmowa Targalskiego z Szablowską odbyła się w cztery oczy, to sąd dał jej wiarę, uznając, że przypisywane doktorowi wypowiedzi są w jego stylu. Targalski przegrał też proces z „Gazetą Wyborczą”, oraz z Olejnik i Radiem Zet.

Dowodów na inspirowanie „Ucha prezesa” przez bezpieczeństwo dr Targalski jeszcze nie przedstawił, ale nie zanoszą się na to, żeby satyrycy zamierzali spotykać się z nim w sądzie. Robert Górski, jeden z twórców „Ucha...”, w ubiegłym

– Postrzegałem go jako rewolucjonistę urodzonego w czasach, które dały mu szansę się wykazać – mówi o Targalskim kolega z opozycji

zła, i poświęcił się temu, żeby go zwalcząć. Był w tym bardzo zdeterminowany. Tuż po ogłoszeniu stanu wojennego Jerzy wydawał i kolportował pismo „Niepodległość”. Pamiętam opowieść przyjaciela, który spotkał Jerzego tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. Szedł przez Warszawę z plecakiem wypchanym pismem, które sam napisał i sam wydrukował. I o ile przed sierpniem 1980 r. działalność opozycyjną w Warszawie nazwałbym swego rodzaju zabawą z ubecją, o tyle w grudniu 1981 r. i styczniu 1982 r. to już nie była zabawa. Przed sierpniem ryzykowaliśmy relatywnie niewiele – zatrzymanie na 48 godzin. Pobicia przez milicję rzadko dotyczyły inteligencji. Po 13 grudnia za druk i kolportaż bibuły groziły bardzo poważne konsekwencje.

tygodniu z humorem odnosił się do teorii dr. Targalskiego o tym, że stoją za nimi potężne ubeckie siły. – Niewykluczone, że ten komentarz znajdzie się w naszym serialu, bo jest bardzo oryginalny – stwierdził. Kancelaria Prezydenta też jak dotąd nie wytacza dział przeciwko komentatorowi.

Krzysztof Łazarski nie chce oceniać dzisiejszych wypowiedzi dr. Targalskiego. – Używa języka, którego ja bym nie użył – mówi. – Jeszcze kilka lat temu zaglądałem na bloga, którego prowadził. Stawiał bardzo ostre tezy, nie zawsze poparte dowodami. Jednak czy w jakiejś mierze nie miał często racji? Czy po transformacji ludzie bezpieczeństwa stracili swoje wpływy? Czy Polska stała się wolna od nacisków z zagranicy?

WITOLD REPETOWICZ: Czy środowisko muzułmańskie w Polsce jest podzielone?

MUSA CZACHOROWSKI: Nie, uważam, że jest w miarę spójne, biorąc pod uwagę jego rozrzucenie po kraju, zróżnicowanie etniczne oraz kilka organizacji wyznaniowych. Jest Muzułmański Związek Religijny skupiający przede wszystkim społeczność pochodzenia tatarskiego, czyli polskich odwiecznych muzułmanów. Jest środowisko muzułmanów pochodzących z rozmaitych krajów arabskich i muzułmańskich, będących obywatelami polskimi w pierwszym, drugim, a nawet w trzecim pokoleniu, którzy zazwyczaj należą do Ligi Muzułmańskiej w RP. Są wreszcie rdzenni Polacy, którzy przyjęli islam. Te trzy grupy łączy oczywiście religia, ale różnią potrzeby: polscy Tatarzy muszą dbać m.in. o swoją tożsamość, tradycje, zwyczaje, miejsca pamięci, czyli meczety i mizary. W tak zróżnicowanym środowisku mają prawo pojawiać się rozbieżności, nawet jeśli są wywołane przez czyjeś wygórowane ambicje. Ważne, abyśmy umieli sobie z tym poradzić.

Ostatnio pojawiły się informacje o bójce w meczecie przy ul. Wiertniczej w Warszawie, natomiast kilka lat temu w Internecie zamieszczono film, na którym gdański imam Hani Hraish pobił innego muzułmanina...

Hani Hraish prawdopodobnie miał jakieś własne plany, niespełnione ambicje, co doprowadziło m.in. do sytuacji, o której pan wspomina. Jednak od dwóch lub trzech lat Hraish nie jest ani imamem gdańskiej gminy Muzułmańskiego Związku Religijnego, ani członkiem tego związku. Natomiast przy Wiertniczej żadnej bójki nie było, stworzyła ją wyłącznie bujna wyobraźnia jakiegoś dziennikarza.

Policja twierdzi, że interweniowała, gdyż mufti Miśkiewicz wkroczył do meczetu z ochroniarzami, by przejąć obiekt.

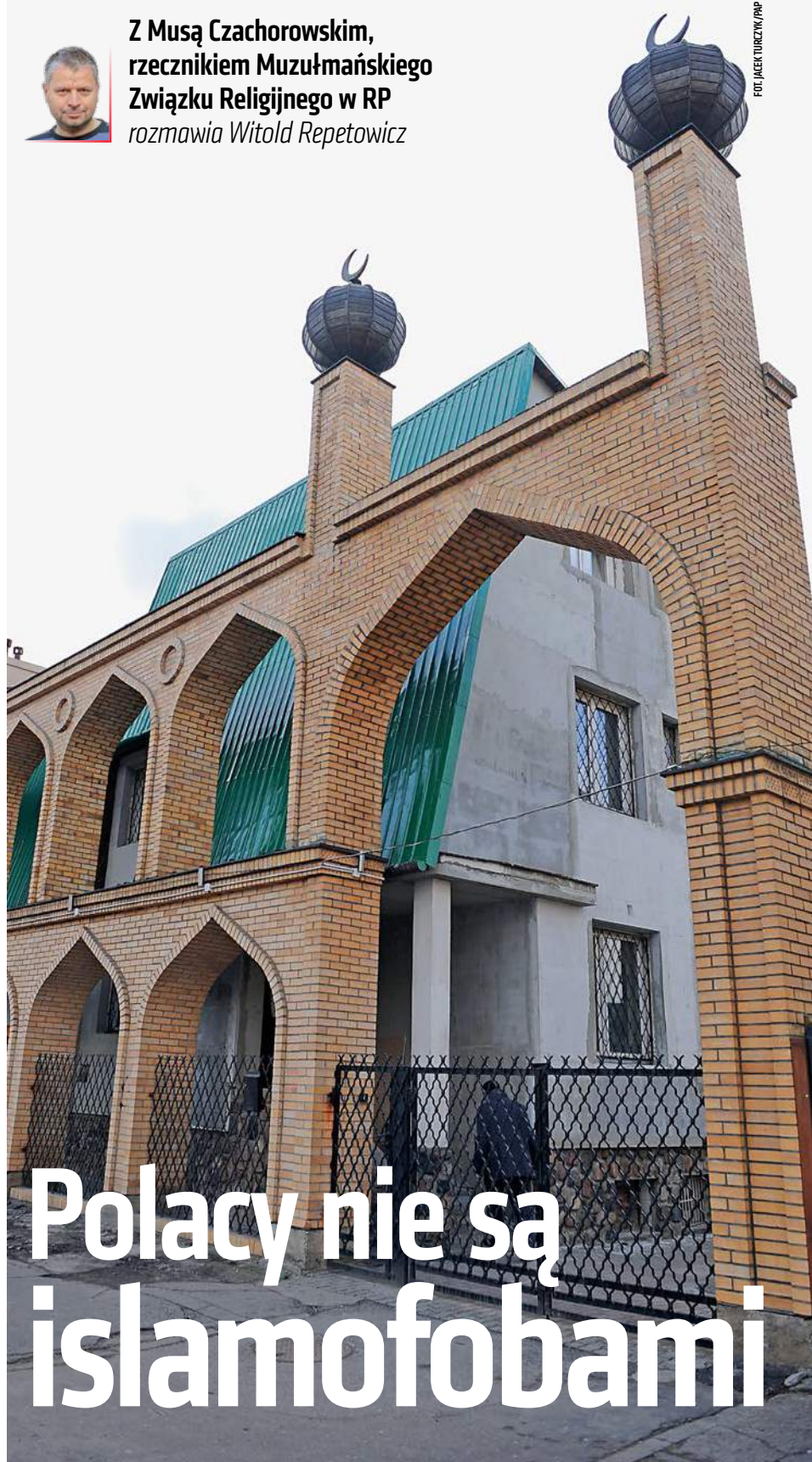
Tak, ale to nie wyglądało tak, jak to próbowały opisać niektóre media. Chodzi o to, że warszawskie Centrum Kultury Islamu jest obiektem Muzułmańskiego Związku Religijnego i każdy, kto tam przychodzi, musi zdawać sobie sprawę z tego, że to miejsce należy do nas.

Czy to prawda, że jedną z przyczyn konfliktu jest spór o dochody z certyfikacji halal?

Certyfikacją halal zajmuje się kilka związków muzułmańskich. Kilka lat temu czyniono zarzuty muftiemu Tomaszowi Miśkiewiczowi, że współpracuje z firmą



Z Musą Czachorowskim, rzecznikiem Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP rozmawia Witold Repetowicz



FOT. JACEK TURCZYK / PAP

Polacy nie są islamofobami

Halal Poland, ale nie potrafiono tego niczym udokumentować. Sądzę, że szukano czegoś, czego nie było, a wyobrażenie wielkich zysków osiąganych jakoby bez pracy zasłoniło niektórym ludziom oczy.

Czy dostrzega pan jakieś przejawy radykalizacji, propagowanie islamu politycznego czy narzucanie prawa szariatu niemuzułmanom, np. w ośrodkach dla uchodźców?

Wśród Tatarów niczego takiego nie zaobserwowałem, a wobec innych domniemywać nie będę, gdyż nie śledzę forów internetowych ani nie mam zbyt dużego kontaktu z konwertytami. Chcę jednak podkreślić, że wszelkie zamiary wprowadzenia w Polsce jakiegokolwiek innego prawa poza obowiązującym prawem polskim są niebezpieczne i powinny być ścigane z urzędu. Pozwolę sobie przytoczyć tu cytat z książki „Wiara i islam” Mevlany Halida Bagdadiego: „[...] występować przeciwko prawu, nakazom rządu, państwa; nie płacić podatków jest też grzechem. Robić to też wobec niewierzących, w państwach niewierzących jest haram [tzn. zakazane]”.

W Polsce od kilku lat pojawiają się publikacje zawierające radykalne treści islamskie, np. w książce „Zrozumieć islam” chrześcijaństwo nazywane jest „niewybaczalnym bluźnierstwem”, a także „barbarzyńską i teatralnie udratyzowaną tragedią grecką”. Syn warszawskiego muftiego Nidala Abu Tabaq propaguje kamienowanie na prowadzonej przez siebie stronie „Islam na Polski”. Czy głoszenie takich poglądów nie powinno być zakazane?

Takie wypowiedzi nie powinny się pojawiać, ale o wiele gorsze sformułowania skierowane pod adresem islamu oraz muzułmanów znajdziemy na wielu forach i portalach internetowych. Walczmy z tym wszystkim, nie tylko wybiórczo. A te rozmaite wypowiedzi młodych muzułmanów, którzy niewiele wiedzą, ale się wyłamują... Jeśli są niezgodne z prawem, to trzeba bezwzględnie je ścigać.

Sam mufti Abu Tabaq niedawno w poznańskim meczecie wychwalał pobieranie dżizji, tj. specjalnego podatku od niemuzułmanów. Co pan o tym sądzi?

Dżizja istnieje w prawodawstwie muzułmańskim i wiąże się z nią określone powinności oraz przywileje. W polskim systemie publicznoprawnym występują także rozliczne obowiązkowe podatki. Abu Tabaq nie nawoływał przecież, aby dżizję płacili Polacy.

A gdyby powstała inicjatywa specjalnego opodatkowania muzułmanów w Polsce w zamian za ochronę?

Zmusza mnie pan do zaskakujących przemyśleń. Jeśli w polskim systemie publicznoprawnym znajdzie się podatek, który będą musieli płacić muzułmanie, to będę go płacił.

Samir Ismail z Ligi Muzułmańskiej propagował stanowisko szajka Qaradawiego, lidera Bractwa Muzułmańskiego, na temat FGM (tzw. obrzezania kobiet, polegającego na wycięciu łechtaczki), uznając tę praktykę za zalecaną. Czy dla pana jest to do zaakceptowania?

Rzeczywiście, Samir Ismail kilkanaście lat temu opublikował tekst na temat obrzezania w prawie muzułmańskim. Tradycja obrzezania nie stanowi nakazu islamu, ale praktykowana jest przez wiele różnych kultur i religii. Wśród niektórych społeczności muzułmańskich istnieje nie jako obowiązek religijny, ale przedislamski zwyczaj kulturowo-społeczny. Ten okrutny zabieg wciąż jest niestety wykonywany, a argumentacja za lub przeciw opiera się przede wszystkim na sile odwiecznej tradycji, którą bezprawnie wzmocniono elementami religijnymi. Moim zdaniem obrzezanie dziewczynek jest wyjątkowo okrutne, barbarzyńskie i wręcz nieludzkie. Powinno być nie tylko powszechnie zakazane, lecz także bezwzględnie ścigane prawnie. Nie sądzę, aby przeprowadzano obrzezanie dziewczynek w Polsce, jednak w razie potrzeby należy z całej mocy z tym walczyć.

Głośny był też spór prof. Selima Chazbijewicza z grupą konwertytów, który rozpoczął się od jego krytyki słów konwertytki Agnieszki Wasilewskiej. Zadeklarowała ona, że obciąłaby głowę swemu synowi, gdyby tego wymagał szariat. Selim Chazbijewicz krytykował też część prawa szariatu i za to wielu konwertytów zorganizowało nagonkę na niego. Sprzeciwiał się m.in. arabizacji obyczajów i noszeniu arabskich strojów, w tym hidżabów.

Muzułmanie mogą mówić rozmaite rzeczy, byle nie naruszali obowiązującego prawa. Selim Chazbijewicz ma swoje zdanie i z pewnością w wielu sprawach ma całkowitą rację, np. co do noszenia przez naszych konwertytów arabskich strojów. Islam na tym przecież nie polega. Nie ma żadnego nakazu religijnego, aby muzułmanki nosiły burki, czyli zasłaniały twarz i właściwie całe ciało. Jeśli jakiś kraj zabroni tego, to uznaję jego rację. Jeśli jednak kobieta z własnej i nieprzymuszonej woli, z jakiegokolwiek

przyczyny chce nosić skromny ubiór i hidżab, to nie widzę powodu, aby jej tego zabraniać.

Czy uważa pan, że Polacy są islamofobami? I co pan sądzi o sprowadzeniu w ramach relokacji muzułmanów z Afryki i Bliskiego Wschodu?

Moim zdaniem Polacy generalnie nie są islamofobami. Niestety, niekontrolowany napływ uchodźców do Europy Zachodniej, ukazujący jej totalne nieprzygotowanie do przyjęcia tak dużej liczby ludzi o odmiennej kulturze, a przy tym niezrozumienie ich potrzeb, podsycane drastycznymi obrazami telewizyjnymi, wywołał w Polsce niepokój. Wyglądało to mniej więcej tak: „Oni są nieobliczalni



Musa Czachorowski

i groźni, ale wy musicie ich przyjąć”. Czy ktokolwiek odpowiedzialny za przyjmowanie uchodźców w Polsce był czy jest świadomy potrzeb z tym związanych? Pojawiła się zdumiewająca tendencja, aby odpowiedzialność za tych wszystkich ludzi zrzucić na... Muzułmański Związek Religijny! A my nie mamy ku temu jakichkolwiek możliwości. Problem też w tym, że bandyci z tzw. Państwa Islamskiego mówią, iż mordują i gwałcą, bo to nakaz religijny, bo to nakaz Koranu. Później wielu dziennikarzy mówi: „Tak! Winny jest islam! W konsekwencji wy wszyscy jesteście winni, ponieważ jesteście muzułmanami!”. W tej sytuacji osoby niezorientowane, o co tak naprawdę chodzi, niesłusznie winią za te zbrodnie ogół muzułmanów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wartość sprzedanych płyt gramofonowych przekroczyła w 2016 r. 1 mld dol. W Wielkiej Brytanii rozeszło się 3,2 mln winyli. Najwięcej od 1991 r., kiedy bestsellerem był album „Stars” zespołu Simply Red. Tym razem najpopularniejszym analogiem na Wyspach był „Blackstar” Davida Bowie. Na drugim miejscu uplasowała się płyta „Back To Black” Amy Winehouse, wydana oryginalnie przed 11 laty. W sumie 30 tytułów przekroczyło w Wielkiej Brytanii w ubiegłym roku 10-tysięczny nakład.

W Stanach Zjednoczonych sprzedano ponad 13 mln winyli. Na liście tamtejszych bestsellerów pierwsze i dziewiąte miejsce dzierży mało znane u nas popowo-rapowe trio Twenty One Pilots. Ich album „Blurryface” kupiło 50 tys. osób. Drugie miejsce, tak jak w Anglii, zajęła płyta „Back To Black” Amy Winehouse (41 tys.), a na trzecim znalazła się „A Moon Shaped Pool” Radiohead (40 tys.).

W Polsce, jak podaje Związek Producentów Audio-Video, rozeszło się w 2016 r. 296,5 tys. płyt gramofonowych, co stanowi 3,3 proc. ogólnej liczby sprzedanych nośników dźwięku. Tak jak na świecie, tak i u nas winyle cieszą się coraz większą popularnością i w stosunku do 2015 r. wynik ich sprzedaży był lepszy o 27 proc. Najpopularniejszymi albumami polskich oddziałów koncernów fonograficznych były: Universal – „Back To Black” Amy Winehouse (4,6 tys.), Warner – „Cegła” Dżem (1,2 tys.), Sony – „You Want It Darker” Leonard Cohen (wydawca nie podaje nakładu). Firma Sonic reprezentująca u nas wydawców niezależnych sprzedała 2,7 tys. egzemplarzy albumu „25” Adele. Płyta ukazała się pod koniec 2015 r. i w sumie osiągnęła do dziś nakład 7,7 tys. sztuk.

Spektakularnym posunięciem były trzy akcje sprzedaży płyt gramofonowych przeprowadzone przez Biedronkę i Universal Polska. Po promocyjnej cenie 49,99 zł do sklepów dyskontu trafiło wiele wymienionych tytułów reprezentujących różne stylistyki muzyczne oraz przenośne gramofony firmy Hykker. Podczas pierwszej akcji w grudniu ub.r. płyty zniknęły w Warszawie błyskawicznie. Natomiast w kwietniu i czerwcu winyle można było kupić już bez problemu. Niestety, na moje zapytanie o konkretną liczbę sprzedanych krążków biuro prasowe odpowiedziało: „Ze względów biznesowych nie podajemy szczegółowych danych dotyczących wyników sprzedażowych oraz planów promocji dla poszczególnych kategorii produktów”.

Najlepszym dowodem na zwiększenie zainteresowania winylami przez polskich fanów jest wyraźny wzrost cen poszukiwanych tytułów na aukcjach Allegro. Jeszcze kilka lat temu stare płyty klasyków rockowych można było kupić w cenie do 100 zł. Natomiast dziś ceny niektórych rzadkich tytułów mogą przyprawić o zawrót głowy. Przykładowo 2 lipca sprzedano debiutanci album amerykańskiej formacji 13th Floor Elevators (pierwsze wydanie w doskonałym stanie) za 1525 zł! Solowa płyta Keitha Richardsa „Main Offender” poszła za 351 zł, a krążek niemieckiej formacji Can „Ege Bamyasi” za 565 zł.

Już 35 lat temu płyta kompaktowa udowodniła, że nie podnosząc się z kanapy, będziemy upajać się przez ponad godzinę dźwiękami pozbawionymi jakichkolwiek trzasków! Przestały być konieczne szczoteczki do czyszczenia płyt i igieł z kurzu oraz ściereczki i płyny antystatyczne. Machina promocyjna formatu CD była tak sugestywna, że w 2007 r. w 65-milionowej Wielkiej Brytanii sprzedano zaledwie 200 tys. tradycyjnych płyt gramofonowych. Dziewięć lat później w kraju rewolucji przemysłowej rozeszło się ich aż 16 razy więcej. W tym roku i ten pułap zostanie znacznie przekroczony.

Czarna kontrrewolucja



Grzegorz Brzozowicz

„Dlaczego ten stworzony 130 lat temu format zapisu dźwięku odmawia śmierci?” – pyta brytyjski magazyn „Long Live Vinyl”. Czarna płyta nie tylko nie chce zniknąć. Jej sprzedaż wzrosła na świecie w ubiegłym roku o 53 proc.!

Wydawałoby się, że wszystko dziś przemawia przeciwko winylowi. Płyta gramofonowa ma spore rozmiary (32 cm) i waży niemal ćwierć kilograma, a na kilkucentymetrowym pendrivie nagramy nie jedną płytę, ale całą kolekcję muzyczną dziadka!

Wykupując abonament jednego z serwisów muzycznych, poprzez Bluetooth zainstalowany na telefonie i przenośny głośnik posłuchamy muzyki z całego świata we wszelakich okolicznościach przyrody.



„Winył posiada osobowość!” – zawyrokuje każdy, kto poczuł jego czar. Czarna płyta ma okładkę z grubego, pachnącego farbą drukarską kartonu, którą można z dumą zawiesić na ścianie. Co więcej, ułomności analogu stanowią o jego atutach. Dzięki dwóm stronom winyl zawiera dwie opowieści, które trwają nie dłużej niż 25 minut każda. Natomiast raczej trudno jest za jednym podejściem wysłuchać z przyjemnością prawie 80 minut muzyki zapisanej na srebrnym krążku. Pojemność CD wymusiła na artystach dogrywanie często nużących wypełniaczy. No i podstawowa sprawa – muzyka z analogu brzmi naturalnie ciepło, a pojawiające się czasem trzaski nadają jej życiowej prawdy. Do tego rozpoczynając muzyczną ucztę, wręcz czekamy na zmysłowy chrobot igły gramofonowej, która przez kilka sekund wyszukuje na płycie rowka z muzyką.

„Winył jest antyestablishmentowy – twierdzi Nigel House, menedżer sieci niezależnych sklepów płytowych Rough Trade. – Większość fanów, poniżej 30. roku życia, słucha muzyki z telefonów przez wypasione słuchawki, które dają niebywale płaski dźwięk. Nie jestem przekonany, że głównym czynnikiem powrotu winylu jest szukanie lepszej jakości dźwięku. To raczej sprawa jego namacalnej wizualności, która jest antytezą świata cyfrowego”.

Magazyn „Long Live Vinyl” stawia wręcz tezę, że „dla buntowników 20+ fascynacja czarną płytą stanowi reakcję na śmietnikowy pop lansowany przez ostatnie 20 lat przez propagatorów korporacyjnej rozrywki”. Aby wesprzeć rebeliantów, koncern Sony Music uruchomił ponownie w Japonii, po 29 latach przerwy, tłocznnię czarnych płyt.

W pierwszych latach nowego millennium nielegalne ściąganie plików muzycznych doprowadziło do załamania się przemysłu fonograficznego. Wielkie muzyczne sieci handlowe padały jedna po drugiej. W 2006 r. zniknął Tower Records, po nim HMV, a Virgin Megastore ograniczył działalność do krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Dzisiaj nawet w największych metropoliach trudno jest znaleźć sklepy oferujące

jedynie nowe muzyczne wydawnictwa. Handel płytami przeniósł się do Internetu, sieci handlowych (Walmart, Sam’s Club, Biedronka) czy kawiarnianych (Starbucks).

Zapaść fonografii nie jest zjawiskiem nieznanym. W pierwszych dwóch dekadach XX w. gramofony były kulturowym fenomenem. Dzięki zapisowi dźwięku na płytach gramofonowych odtwarzanych z prędkością 78 obrotów na minutę największe gwiazdy opery i kabaretu trafiły pod strzechy. Jednak w trakcie wielkiego kryzysu gospodarczego w ciągu pięciu lat sprzedaż płyt w USA zmalała o 95 proc. Głównym czynnikiem tej sytuacji było nie tylko zubożenie społeczeństwa, lecz także pojawienie się nowego medium – radia. Oferowało ono bezpłatną muzykę bez ponoszenia dodatkowych kosztów.

Identyczną sytuację mamy dziś, tyle że radio zastąpił Internet. Po II wojnie światowej przemysł fonograficzny odrodził się jednak ze zdwojoną siłą. Zbawieniem

296,5 tys.

**PŁYT GRAMOFONOWYCH
SPRZEDANO W POLSCE W 2016 R.**

dla niego okazała się powojenna generacja nastolatków. Z myślą o niej wypromowano tanie, przenośne gramofony, które były dostępne w większości sieci handlowych. Młodzież zaczęła kolekcjonować płyty i rozpoczęła się era prywatek.

Obecne odrodzenie płyty gramofonowej przebiega według podobnego schematu. Pierwszym beneficjentem niespodziewanej retromody stała się manufaktura Crosley, która specjalizuje się w produkcji tanich gramofonów stylizowanych na modele z lat 50. ubiegłego wieku. Tych samych, które już raz uratowały fonografię.

Szczególnie ciekawa jest współpraca Crosleya z Urban Outfitters. Klienci modowej sieci mają od 18 do 35 lat i z myślą o nich producent gramofonów przygotowuje ekskluzywne modele, które odzwierciedlają zmiany w trendach mody. Firma Crosley odniosła sukces komercyjny, gdyż kieruje swe produkty do osób, które uważają, że posiadanie czarnych płyt jest przede wszystkim „cool”. Trudno bowiem zaprzeczyć, że produkowane przez nią gramofony emitują żałosny, płaski dźwięk stanowiący zaprzeczenie wszystkiego tego, czym żyją audiofile.

W najbardziej kryzysowym dla winyli 2007 r. w Baltimore spotkała się grupa właścicieli niezależnych sklepów muzycznych i powołała do życia Record Store Day, czyli międzynarodowe święto wielbicieli płyt. Odbývá się ono co roku, w trzecią sobotę kwietnia. Ta lokalna inicjatywa przerodziła się w ogólnosiwiatową manifestację, która odbywa się choćby w Warszawie pod Pałacem Kultury i Nauki. Podczas pierwszej edycji w USA rozeszło się 10 tys. czarnych płyt. W 2016 r. wynik był 400 razy większy. Obecnie w Stanach co roku otwiera się ok. 40 antykwariatów muzycznych.

Dzisiaj przemysł fonograficzny przynosi trzykrotnie mniejsze zyski niż w „złotym” roku 1999, kiedy osiągnął 40 mld dochodu. Zatem renesans płyty gramofonowej mógłby być dla niego zbawienny. Jednak ponad 3 mln sprzedanych winyli w Wielkiej Brytanii wygenerowało tylko 5 proc. tamtejszych zysków.

Pozycja płyt kompaktowych, mimo ciągłego spadku sprzedaży, nie jest tak tragiczna, jakby na to wyglądało. W ubiegłym roku na Wyspach rozeszło się 47 mln CD, co stanowi 47 proc. tamtejszego rynku. W Japonii wciąż 70 proc. dochodu dostarcza sprzedaż kompaktów, to ponad miliard dolarów zysku. W Niemczech zyski ze sprzedaży płyt CD wynoszą nieco poniżej miliarda euro, co stanowi dwie trzecie tamtejszych profitów.

Serwis muzyczny Spotify oferujący dostęp do muzyki w internetowym strumieniu ma 50 mln abonentów. Przekłada się to na 4 mld dol. obrotu, z czego 80 proc. tej kwoty wraca w postaci tantiem do twórców płytowych i artystów. Spotify wraz z pokrewnymi serwisami (Tidal, Deezer, Apple Music) generują obecnie największe dochody dla fonografii. Jednak to YouTube jest głównym graczem na rynku. Dziennie na tym portalu pliki muzyczne są odsłaniane aż 5 mld razy! Tantiemy przekazane artystom wyniosły, w ciągu ostatnich 10 lat, zaledwie 1 mld dol. „Jesteśmy medium promującym twórczość artystów – tłumaczy właściciele YouTube. – I powinniśmy płacić tylko niewielką część tantiem, jakie uiszczają stacje radiowe”.

Są też różnice między przeszłością a teraźniejszością. Okazuje się, że połowa zakupionych przez nastolatków nowych albumów nie jest przez nich nawet otwierana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Na podstawie: „Long Live Vinyl”, „The Guardian”, „Consequence Of Sound”, „Independent”.

Panna Filipina Pełczyńska w 1858 r. postanowiła wyhaftować mapę Polski. Miał to być romantyczny hołd złożony utraconej ojczyźnie, więc mapa ogromnych terenów dawnej Rzeczypospolitej była wyszywana ludzkimi włosami, należącymi zapewne do samej panny Filipiny. Życie wzięło jednak górę nad historią i geografiją. Drobnym ścieg na dole zachowanej tkaniny głosi, że robota została porzucona „z przesilenia wzroku” hafciarki. Niedokończona mapa trafiła jako dar do krakowskiego muzeum. Teraz to wzruszające, ale przecież też przezabawne dzieło można obejrzeć na wystawie „#Dziedzictwo” w Muzeum Narodowym opatrzone związłym hasztagiem: „Mapa z włosów”.

POLSKOŚĆ SPEŁNIONA

Wystawa przygotowana przez prof. Andrzeja Szczerskiego jest ważną próbą wyrażenia zupełnie nowej formuły polskości. Jest to polskość spełniona, pewna siebie, wyzwolona z dominujących dotąd konserwatywnych i postępowych schematów. Przeszłość nie jest tutaj czymś, co – tak jak pod zaborami – trzeba ratować przed zagładą, czego należy bronić przed wrogami i co z wysiłkiem trzeba przekazywać kolejnym pokoleniom. Nie jest też jednak czymś, co – tak jak w ostatnich latach – trzeba nieustannie zwalczać, krytykować i kwestionować. Polskie dziedzictwo jest na wystawie Szczerskiego, tak jak mapa panny Pełczyńskiej, przedmiotem szacunku, czułości, a także zabawy. Wystawa w Muzeum Narodowym jest niespodziewaną zapowiedzią nowej polskości, patrzącej na swoją dramatyczną przeszłość z perspektywy jej szczęśliwego końca.

Andrzej Szczerski chętnie nawiązuje do słynnej wystawy „Polaków portret własny”, która pokazywana była w tym samym gmachu w 1979 r. Jej twórca Marek Rostworowski chciał pokazać ciągłość polskiej tradycji, obejmującej także współczesnych mu Polaków. Ekspozycja kończyła się lustrem, w którym każdy widz mógł zobaczyć własną twarz i porównać ją z oglądanymi wcześniej portretami. Na „#Dziedzictwie” jest kilka eksponatów z tamtej wystawy, przede wszystkim jednak Szczerski powtarza spektakularne gesty ciągłości. Średniowieczne polskie monety zestawia z naszymi współczesnymi banknotami, klasyczną husarską zbroję łączy z kultowym przedwojennym pistoletem vis,

Polskie kłącze



Paweł Rojek

Krakowska wystawa to ważna próba wyrażenia zupełnie nowej formuły polskości

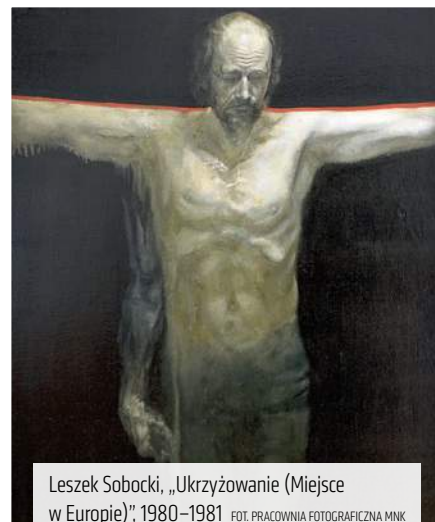


Siodło i rząd koński po hetmanie Stefanie Czarneckim FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

a XVIII-wieczne szkaplerze porównuje z kupionym niedawno przez MNK w sklepiku w Łagiewnikach zwyczajnym obrazkiem „Jezu, ufam Tobie”. Wielkie wrażenie robi ogromna XVIII-wieczna mapa Rzeczypospolitej, przy której wszyscy przystają i na której mozolnie szukają swoich stron, błędząc wśród fantastycznych puszczy i mokradeł. Wszystkie te zabiegi dyskretnie i zabawnie pokazują, że nasze czasy są prawowitą kontynuacją wielkiego polskiego dziedzictwa.

POSTMODERNIZM

Wystawa Szczerskiego jest jednak o wiele bardziej postmodernistyczna niż klasyczna w swojej wymowie ekspozycja Rostworowskiego. Nie ma tu żadnej



Leszek Sobocki, „Ukrzyżowanie (Miejsce w Europie)”, 1980–1981 FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

do „minującej narracji, jest za to rozpleniające się na wszystkie strony kłęczące polskości. Pod tym względem „#Dziedzictwo” przypomina późniejszy o dekadę „Labirynt” Janusza Boguckiego, w którym zebrane zostały najróżniejsze zdjęcia ilustrujące najnowszą historię Polski. Były tam fotografie z albumów rodzinnych, portrety sławnych ludzi, zdjęcia z łagrów i obozów, ilustracje z codziennego życia Polaków. Podobnie u Szczerskiego wszystko miesza się ze sobą, obiekty artystyczne sąsiadują z pamiątkami, wybitne dzieła z kuriozami. Jest to zresztą zgodne z poetyką arcywłoskiej formy *silva rerum*. Skojarzone ze sobą eksponaty tworzą polifoniczną opowieść o polskich dziejach, nierzadko dając ożywcze dysonanse. Obok wspomnianej husarskiej zbroi i visa znajduje się np. szklany XVIII-wieczny kielich w kształcie pistoletu, będący zapewne świadkiem niejednej saskiej popijawy. Niektóre skojarzenia przyprowadzają o zawrót głowy, tak jak zestawienie wydrapanych na wielkanocnej pisance życzeń jakiegoś więźnia warszawskiej Cytadeli z barokowym wierszem zapisanym na cynowej trumnie XVII-wiecznej klaryski z Chęcini. Szkoda tylko, że twórcy wystawy

nie poszli konsekwentnie tym tropem, najpewniej z szacunku dla konserwatywnych przyzwyczajęń krakowskiej publiczności. Wszystkie te fantastyczne zestawienia, tworzące główny przekaz wystawy, są tłumione przez dość tradycyjne formy wystawiennicze i praktycznie giną w standardowym katalogu.



Kasetka z miniaturą płyty nagrobnej króla Stefana Batorego. FOT. MNK

Drugim punktem odniesienia dla „#Dziedzictwa” stała się ogromna wystawa „Późna polskość”, która niedawno skończyła się w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. Jej kuratorzy – Ewa Gorzadek

i Stach Szablowski – starali się pokazać, jak współcześni polscy artyści interpretują kategorie narodowe. Jak można się było spodziewać, zdecydowana większość zebranych przez nich dzieł miała bezwzględnie krytyczny stosunek do polskości. Jak to zwykle bywa w sztuce współczesnej, polskiej tożsamości, rzekomo jednolitej etnicznie, kulturowo, religijnie i klasowo, przeciwstawiane były np. wątki żydowskie, gejskie, ateistyczne czy chłopskie. Wystawę Szczerskiego można traktować jako dyskretną polemikę z takimi ujęciami. Kilka średniowiecznych polskich monet z hebrajskimi napisami przypomina, jaką naprawdę rolę odgrywali Żydzi w dawnej Polsce. XVII-wieczna ikona, w której miejsce cesarza broniącego chrześcijaństwa zajmuje Jan III Sobieski, trochę inaczej niż zwykle przedstawia stosunek ruskiego ludu do rzymskokatolickiej elity. Obraz Piotra Michałowskiego z czasów rabacji galicyjskiej, przedstawiający chłopą przebranego za kardynała, każe na nowo przemyśleć narzucane dziś przeciwstawienie szlachty i chłopów. Graficzna opowieść Jakuba Woyнарowskiego o Feliksie

REKLAMA

WSCHÓD KULTURY

INNY
WYMIAR

31 sierpnia - 3 września 2017

Trio Mandili (Gruzja)
Oligarkh (Rosja)
A-WA (Izrael/Jemen)

Białystok, 31 sierpnia - 3 września 2017
wstęp wolny!
www.wschodkultury.eu

spektakle teatralne, koncerty, wystawy,
filmy, pokazy mody, wydarzenia dla dzieci



Andrzej Sadowski,
„Ulica Piotrkowska III”,
1977 r. FOT. MNK

cica uciekającego przed modną żoną, zamierzającą ogolić mu staroświeckie wąsiska. Dobrze sobie od czasu do czasu przypomnieć, że zarówno zwolennicy sarmackich wąsów, jak i stronnicy francuszczyzny mają swoje miejsce w naszych dziejach. Wystawa stwarza atmosferę święta, w czasie którego w jednym miejscu można spotkać wszystkich, nie tylko członków własnego obozu, lecz także zdeklarowanych przeciwników. Coraz mniej mamy takich okazji do scalającego wspólnotę świętowania. Być może sztuka jest naszą ostatnią szansą.

Ostatni dział „#Dziedzictwa” poświęcony jest sztuce współczesnej. Paradoksalnie to właśnie prezentowane tam prace o wiele bardziej odpowiadają sformułowanej przez Tomasza Kozaka idei późnej polskości niż większość prac na wystawie w Zamku Ujazdowskim. Pierwotnie późna polskość miała bowiem wykraczać zarówno poza prawicowe bezrefleksyjne umiłowanie przeszłości, jak i jej lewicowe bezmyślne odrzucanie. Robert Kuśmirowski wciąga widza w zaskakującą zabawę pamiątkami narodowymi, pokazując, jak bardzo względne jest pojęcie unikalności i jak przytłaczające jest bogactwo krakowskich magazynów muzealnych. Z całej ekspozycji to właśnie ta instalacja najbardziej spodobała się mojej siedmioletniej córce. Główną ideę Andrzeja Szczerskiego najlepiej podsumowuje praca najmłodszej chyba artystki na wystawie – Natalii Wiernik – skomponowana z setek zdjęć militariów ułożonych w skomplikowane abstrakcyjne wzory. Zamknięte na co dzień w muzeum stare szable, pistolety i ordery stają się nieoczekiwane środkiem wysublimowanej geometrycznej rozkoszy. Tak właśnie wyobrażam sobie sztukę końca polskiej historii. Ofiara poprzednich pokoleń dała nam tożsamość i wolność.

Dzisiaj możemy wreszcie z wdzięcznością i ze swobodą cieszyć się pozostawionymi przez nie artefaktami. Nadeszły w końcu czasy, w których zamiast wyszywać włosami mapę utraconej ojczyzny, możemy zająć się układaniem nowych wzorów z elementów przeszłości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest filozofem i socjologiem, byłym redaktorem naczelnym „Pressji”.

„#Dziedzictwo”, Muzeum Narodowe w Krakowie, do stycznia 2018 r.



Kurator wystawy dr hab. Andrzej Szczerski wraz z marszałkiem Sejmu Markiem Kuchcińskim. W tle kolaż Natalii Wiernik „Wota” FOT. BARTOSZ CYGAN/MNK

pseud. Manggha Jasieńskim kwestionuje standardowe przekonanie o zamkniętym na inność charakterze polskiej tożsamości. Wreszcie ilustracje Jana Szancera do „Abecadła krakowskiego” z lat 60., w którym literze H odpowiada obrazek z Nowej Huty, pokazując możliwości wielkodusznego podejścia do dziedzictwa PRL.

CELEBRACJA DZIEDZICTWA

Dominantą wystawy nie są jednak – tak jak na „Późnej polskości” – spory

ideowe, lecz celebrowanie wspólnego dziedzictwa. Jak pokazuje Andrzej Szczerski, nasza historia może być okazją do świętowania. Każda ze stron naszych codziennych konfliktów może zobaczyć swoje miejsce w wielkim strumieniu polskiego życia i zauważyć, że takie miejsce ma także strona przeciwna. Jak na zabawnym obrazie Leonarda Ludwika Straszyńskiego, przedstawiającym szlach-



Figurka porcelanowa,
Chodzież, 1958 r.
FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY

Mozartiana

MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL MOZARTOWSKI

GDAŃSK
20-26.08.2017

Dom Uphagena
Park Oliwski
Archikatedra Oliwska

WYSTĄPIA m.in.

Polska Orkiestra Radiowa
Gaba Kulka
Olgierd Łukaszewicz
Julia Leżniewa
Academy of Ancient Music
Polski Chór Kameralny
Jan Łukaszewski

www.mozartiana.pl

Dyrektor festiwalu – Jan Łukaszewski

Bilety na koncert finałowy
na ticketpro.pl

ORGANIZATORZY



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowane ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



PARTNERZY



SPONSOR
STRATEGICZNY



MECENAS



SPONSORZY



PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl f3e29086ca



Andrzej Horubała

Dwie bardzo różne książki o siostrach zakonnych. Zbiór rozmów Eweliny Tondys z 14 polskimi zakonnicami pod komercyjnie podkreślonym tytułem „Habit zamiast szminki” i wydana przez Zeszyty Literackie powieść Sándora Máraia „Siostra” z mocno wybitym – także na okładce – motywem mniszek.

A motyw to literacko i kulturowo niesamowity – kobieta ofiarowująca swe życie Jezusowi, wyrzekająca się ziemskiej miłości, składająca w darze swój erotyzm i macierzyństwo, niedostępna, poświęcająca dziewictwo w służbie Bogu. Ileż to wariacji na temat zakonnicy! Niezwykła uroda ukryta pod habitem, gra wyobraźni dotycząca tego, co skłoniło piękną dziewczynę, by zamknąć się w murach klasztoru i wyrzec się świata. Ale także ciemne ścieżki fantazji: drażniąca niedostępność erotyzmu, obecność mniszek w imaginarium wszelkiego rodzaju perwersów, bezczeszczenie ich w libertyńskiej literaturze, habity służące do pornoprzebiórerek. A też wersje łagodniejsze: nie do końca sprecyzowane marzenie o wyrwaniu tego nieszczęsnego zapewne dziewczęcia przez dar naszej miłości, otwarcie tego zamkniętego ogrodu i wpuszczenie doń trochę światła oraz radości. Mnóstwo gier wyobraźni wobec tych dziewcząt, które doczesności, naszemu światu powiedziały: nie.

Zakonnice piękne i lubieżne Boccaccia, te postępowane przez libertynów, opętane urszulanki Iwaszkiewicza, zmarła mniszka Herlinga-Grudzińskiego, ale i rozerotyzowana ekstaza św. Teresy Berniniego...

Drażnią.

I przecież ostatnie głośne filmy – „Niewinne”, „Tajemnica Filomeny” – wprost wyrastają ze złych emocji, jakie budzą te osobne istoty. Zakon jako kłębowski nie-nawistnych relacji, jako gwałt na wolnym sumieniu, piekło na ziemi, bo odrzucenie naszego świata, rezygnacja z naszej drogi życiowej potężnie irytują.

Z chciwie wysłuchiwanym relacji kobiet, które opuściły zakony, Marta Abramowicz złożyła swoją książkę „Zakonnice odchodzą po cichu”, w której odmalowała wstrząsający obraz życia za klasztornymi murami. Łamanie charakterów, beznymne wzorce służby, gdzie patriarchat księży czyni z siostr ponizane służki, zwykła tępota przełożonych – to model odtworzony przez zdeklarowaną feministkę, która

Siostrzyczki



Raffaello Sorbi, „Szyjące zakonnice”, 1870–1872

FOT. DE AGOSTINI PICTURE LIBRARY/GETTY IMAGES

pokazuje, jak niedojrzałe, powichrowane emocjonalnie dziewczęta wpadają w ręce Kościoła i są jeszcze bardziej maltretowane w imię religijnych haseł.

OSWAJANIE NIEZWYKŁEGO

Trochę w kontrze do tej książki, wydanej przez Krytykę Polityczną, pomyślany jest wydany właśnie przez Wydawnictwo Dolnośląskie zbiór rozmów Eweliny Tondys „Habit zamiast szminki”. Pokazać siostry zakonne jako normalne osoby, zaprezentować portrety kilkunastu z nich, ośwoić z myślą, że to kobiety takie jak inne, że to osoby zrównoważone, fascynujące i w gruncie rzeczy zwyczajne.

Zamiar szlachetny, a jednak naznaczony pewną dwuznacznością. Bo, owszem, te dziewczyny i kobiety ciekawie opowiadają o swoich pasjach, o swojej drodze życiowej oraz faktycznie jawią się prawie jak normalne osoby ze świata. Ta ma pasję podróżowania, druga chce latać na parolotni, inna wspina się w góry. Ale przecież im dłużej czyta się te rozmowy, tym wyraźniej widać, że zakonnica to zupełnie inny wszechświat. I na nic okładkowe blurby ks. Kazimierza Sowy o „kobietach z krwi i kości” czy o. Macieja Zięby o „świecie mądrych i kreatywnych kobiet”, bo z każdej strony aż krzyczy tajemnica powołania, historia Bożego dotknięcia, które kazało tym dziewczynom porzucić świat i wejść za klasztorne mury.

Owszem, większość rozmówczyń pochodzi z zakonów o charyzmacie misyjnym, więc rozmawiać można o zaangażowaniu w świat doczesny, zagadywać problem odcięcia się od świata.

Książka Eweliny Tondys, skonstruowana jak trzeba, na koniec dociska nas wzruszającymi opowieściami z wileńskiego hospicjum, po drodze przedstawia różne typy zakonnice: bezhabitowe i habitowe, aktywne do bólu i kłauzurowe, ba, nawet koedukacyjne, czyli wywodzące się z Monastycznych Wspólnot Jerozolimskich, tak ciekawie pełniących swą misję przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie.

Siostry, w większości zapatrzone w papieża Franciszka: autorka pyta o nowego ducha w Kościele – siostry komplementują adhortację „Amoris laetitia”, dewastującą nauczanie Kościoła w sprawie nierozdzielności małżeństwa! Ale refleksji na temat tych spustoszeń próżno szukać u rozmówczyń, które z niejakim gniewem odpowiadają, że przykładni małżonkowie, którzy nie chcą dopuścić rozwodników do wspólnego stołu, mają swoje własne cukierki w postaci wierności, więc po co im inne ekskluzywne nagrody.

Jedna z nich beztrudno kwituje odwołanie Europy od chrześcijaństwa znaną formułą, że Kościół ma być wieczny, ale przecież niekoniecznie w Europie. Że na początku był mocny w Afryce Północnej, a teraz prawie nic już z niego tam nie

zostało. Z jakąś dziwną satysfakcją, ale nie mściwą... taką raczej – kosmopolityczną.

Bardzo ciekawe są niewątpliwie historie ich powołania. Takie nieodparte natchnienia nawet wbrew logice. Te partie wywiadów naprawdę poruszają. Płacz rodziny, akcje podejmowane w celu wydobywania nieszczęsnych córek z zakonu albo zaskoczenie, że wszyscy znajomi wiedzieli, tylko nasza bohaterka nie zdawała sobie sprawy, iż jest na drodze ku klasztorowi.

Tendencja, by wydobyć od sióstr jak najwięcej argumentów za tym, że są z tego świata niewątpliwie nie sprzyja pogłębieniu książki. Autorka stara się zdjąć z zakonnic piętno inności, wyeksponować aktywizm, a przemilczeć oblicze kontemplacyjne, przedstawić radykalną decyzję życiową, tajemnicę powołania i służby Bożej jako coś zwyczajnego, co się przydarza – w rodzinie, w sąsiedztwie.

Szlachetny ten zamiar autorki maskuje skandal, jakim jest zakon. Nie pokazuje, że mamy jednak do czynienia z mocnym „nie” powiedzianym światu, powiedzianym doczesności, że mamy do czynienia z demonstracją niezgody, ze znakiem, któremu sprzeciwić się będą. I na nic opowieść o zasługach zakonów w dziedzinie charytatywnej, na nic opowieści o aktywizmie sióstr! Mamy do czynienia ze skandalem, z przekroczeniem, negacją!

I przecież dlatego siostry oddające się Jezusowi nigdy nie będą zwyczajnymi ludźmi, więc chciałoby się jednak posłuchać trochę o ich zażyłości z Boskim Przyjacielem, o mocy modlitwy wstawieniowej, ale i o kontemplacji...

SUBLIMACJE MIŁOŚCI

I oto prezent na lato – Sándor Márai z „Siostrą”, powieścią kipiącą wręcz od mannowskich motywów: pensjonat w górach, artysta, niby po mieszczańsku uporządkowany, a przecież przekłety, płacący życiem za nadwrażliwość, zapadający na śmiertelną chorobę. Wokół jego łoża we florenckim szpitalu filozofujący lekarze niczym personel medyczny sanatorium w Davos. To wszystko skąpane w muzyce Chopina i dalekich echem wojny toczonych gdzieś w Polsce.

Po 40-stronicowym prologu rozgrywanym w małym górskim pensjonacie narrator-autor bierze do ręki zdeponowany dla niego rękopis ze wspomnieniami pianisty wirtuoza, który zapadł na tajemniczą chorobę.

Powieść jest kapitalnie anachroniczna. Miejscami przegadana, przesycona wzniosłymi rozważaniami o miłości, powo-

łaniu, życiu duchowym, drodże artysty. Nie do końca dobrze skomponowana, z paroma wyraźnymi kiksami. Ale przecież to wszystko wybaczymy, nawet pomyłki w imionach bohaterów, choć to zapewne polska sprawa.

Artysta spisuje swe myśli i gada: o życiowym kłamstwie, które zatruwa nas i wywołuje różne choroby, o tajemnicy wolnej woli, która może pokonać niemoc i przywrócić nas życiu. O namiętności, którą wypowiedzieć może tylko sztuka. Ale przecież te wszystkie tropy, topoty, brzmiały echem innych dzieł, budują kapitalną przestrzeń do sycenia się literackością, budują to, za czym tęsknił w „Dzienniku” Márai: wspólnotę pisarza i jego czytelników.

Lektura Máraia jest trochę jak wizyta w filharmonii, gdzie słuchamy znanych już nam utworów: tu też po części celebrujemy stare motywy, słuchamy wariacji na temat wątków już dawniej podjętych. Jest święto.

I oto w ten świat literacko uformowanego florenckiego szpitala jesienią 1939 r. wprowadza Márai cztery siostry zakonne, które spieszą choremu artyście z pomocą, z sakramentem, któremu na imię morfina. Morfina, która uniesie jego wyobraźnię w przedziwne krainy: zdeformuje, ale i wyostri postrzeganie świata.

Różne oblicza miłości: miłość do lodowatej pięknej mężatki, miłość, która sublimowana w muzykę powoli zatruwała organizm wirtuoza, ale na sposób niezwykle subtelny i – chciałoby się powiedzieć – wzniosły, by nagle eksplodować paraliżem i bólem nie do zniesienia.

Inna miłość – obłędna, sfiksowana, żalosna, wprost wywołująca się z psychicznej choroby, która w prologu doprowadza kochanków z różnych sfer do samobójstwa.

I wreszcie miłość mniszek: stłumiona, niekiedy tylko wybuchająca otwartym płomieniem, ale najczęściej sublimująca się w religię i służbę. Cztery krzątające się mniszki i gra wyobraźni skołowanej środkami przeciwbólowymi. Bohater Máraia wysłuchuje siostry z habitów, zastanawia się, co też skłoniło je, by zaprzeczyć woli rozrodczości, by powiedzieć Bogu swe „fiat” zamiast „w pewnej wsi na południu

Tyrolu w jednym z domów o wysokich, płaskich dachach, w rześkim powietrzu smaganych wiatrem hał być matką i żoną, łagodną, a jednak potężną władczynią małego świata”. Tymczasem Cherubina „była siostrą zakonną w niegdysiejszym znaczeniu tego słowa: śluby, z jakimi wyprawiała się na służbę Bogu i ludziom, dla niej mogły być jeszcze w pełni świadomym wyborem, jak na początku, kiedy Słowo, jakie wymienili z sobą Bóg i człowiek, miało moc zdolną stwarzać świat”.

Siostry fascynują chorego muzyką, bo przecież i on – artysta – jest zakonnikiem, tylko innego rytmu. I gdy umierając, wolno zapadając się w niebyt, oczywiście przy dźwiękach Chopina, słyszy stanowczy głos: „Nie chcę, abyś umarł”, przypisuje go którejś z sióstr: „Ten głos był zimny i ciemny. Wyzbyty czułości i współczucia. Jakby odpowiadał komuś po długotrwałym sporze, jaki wiódł ze sobą albo z jakąś nieznaną potęgą, jakby wypowiadał ostateczną

konkluzję. I umilkł, jakby to, co powiedział, było o wiele za dużo ponad to, co wolno mu powiedzieć, na dodatek z tak ciężkim naciskiem, że sam przeraził się konsekwencji własnych słów”.

Dziwne pomieszanie w tym momencie kryzysu, który doprowadzi do wyzdrowienia. Głos jest i głosem surowym, i budzącym namiętność. Wiązany z którąś z sióstr niesie potężny żywioł kobiecy. Budzi pożądanie, wzmacnia chęć życia. Ta dziwna modlitwa, twarda intencja, w finale okażą swe inne oblicze, zaś jedna z mniszek zafunduje nam przewrotną i niespodziewaną kodę.

Dziwne te Máraiowe wariacje na temat sublimacji Erosa. Z pietyzmem pokazujące potęgę i wzniosłość piękno ezoterycznej, odcieśnionnej miłości, by potem przestrzec, że uczucie to zatruwa silniej, rani głębiej niż fizyczne wiarołomstwo. Rani, ale też działa z potężną duchową siłą zdolną ożywiać ludzi. Hymn ku skrytym niewykłutym namiętnościom zmienia się w piękną elegię.

W to wszystko wpłatane mniszki ze swą służbą, ze swą troską o nas. Z innego świata patrzące na nasze namiętności i porywy, czasem okazujące się jednak bliższe nam, niż sądzimy.



EWELENA TONDYS
„HABIT ZAMIĄST SZMINKI, CZYLI ZAKONNICE ZABIERAJĄ GŁOS”
WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE 2017



SÁNDOR MÁRAI
„SIOSTRA”
TŁUM. FELIKS NETZ, ZESZYTY LITERACKIE 2017



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Broń, koka i kasety wideo



★★★★★
REŻ. DOUG LIMAN
„BARRY SEAL:
KRÓL PRZEMYTU”
(„AMERICAN
MADE”)
USA 2017

wyst. Tom Cruise,
 Domhnall Gleeson,
 Sarah Wright

Walczący z kryzysem wieku średniego Tom Cruise zamierza wystąpić w kontynuacji „Top Gun”. W ramach rozgrzewki zagrał podupadłego (moralnie) pilota, który z cichym przyzwoleniem CIA zwał się z Pablo Escobarem.

Prawdziwy Barry Seal, łysiejący tłuścioch z wiecznie przyklejonym do twarzy uśmiechem, na brawurowego lotnika nie wyglądał. A ponoć potrafił wylądować nawet na drzwiach od stodoły. W filmie jest również wzorowym mężem i tatusiem, co zdaje się jest efektem ugody, jaką producenci zawarli z rodziną pana Foki. W sumie zbędnej, gdyż Cruise swym wdziękiem wiecznego młodzieńca, z szelmowskim błyskiem w oku sprawia, że z góry wybaczymy tytułowemu bohaterowi wszystkie grzeszki.

Filmowy Seal nie lubi korzystać z autopilota, za to uwielbia zapach banknotów. Przylapany na kontrabandzie zgadza się nadal robić to samo, ale „dla dobrych ludzi”. Jako pracownik prywatnej firmy lotniczej wykonuje misje szpiegowskie i dostarcza broń latynoskim przyjacielom w USA. To, co miało być ubocznym zajęciem, rychło staje się głównym źródłem dochodów chwackiego awiatorka. Zwłaszcza gdy zacznie zrzucić na pola Luizjany kokainę kartelu z Medellín. Dwa tysiące dolarów za kilogram. Któż by się oparł takiej ofercie?

Pan Foka tworzy przemysłową flotę powietrzną, płodzi kolejne dzieci i poznaje wielu ciekawych ludzi: od przyszłego dyktatora Panamy Noriega do pułkownika Northa, bohatera afery Iran-Contras. Policja ma Seala na

widelcu, lecz on wierzy w swoją nietykliwość. Ma inne zmartwienia – odkąd stał się posiadaczem góry hajsu, oblatują go sępy w rodzaju niewydarzonego szwagra.

Jak to zwykle bywa, bohater przegapia moment, w którym przekracza czerwoną linię, zza której nie ma już powrotu do normalnego życia. CIA na żądanie Reagana wszczyna kampanię antynarkotykową, przy okazji próbując skompromitować komunistów z Nikaragui (ci też postanowili sprawdzić się w kokainowym biznesie). W tej grze pan Foka jest tylko pionkiem. Pomny losów ludzi, którzy wiedzą za dużo, nagrywa więc wideopamiętnik.

W Ameryce wciąż trwają spory, czy nieborak działał samodzielnie czy też od początku był tylko słupem służb specjalnych. Dennis Hopper, który wcielił się w Seala w „Kokainowym gliniarzu”, uznał, że kluczem do tej postaci są narkocyzm i uzależnienie od adrenaliny. Cruise gra durnia obdarzonego sprytem, lecz kompletnie pozbawionego wyobraźni. Nie zmienia to faktu, że film jest znakomity, lepszy od rozmemłanego „Blow”. Jednak w Hollywood chyba mają inne zdanie, skoro premierę zaplanowali dopiero we wrześniu, miesiąc po polskiej. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PODWÓJNY KOCHANEK”

Niemal jednocześnie z przedostatnim filmem Ozona („Frantz”) do kin w Polsce trafia jego najnowsze dzieło, thriller według kryminalnej powieści Joyce Carol Oates (wydała ją pod pseudonimem). Młoda dziewczyna zakochuje się w swoim psychiatrze, a dokładnie psychoterapeucie, w którego przeszłości, jak się okaże, nic nie

jest tak proste, jak się wydawało, a zabawa we wspólne życie okaże się śmiertelnie niebezpieczna. ©© **Piotr Gociak**

• *Podwójny kochanek* („L'amant double”), reż. François Ozon, wyst. Marine Vacth, Jérémie Renier, Jacqueline Bisset, **Francja 2017**

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- *„Dwie kobiety”* („Sage femme”), reż. Martin Provost, **Francja 2017**
- *„Sława”* („Slava”), reż. Kristina Grozeva, **Bułgaria/Grecja 2016**
- *„Synalek”* („Mon Poussin”), reż. Frédéric Forestier, **Francja 2017**

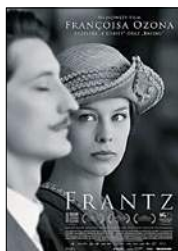
Prawdziwe kłamstwa

Rok 1919. Pokonane Niemcy pogrążone są w żałobie. Anna odkrywa, że ktoś położył różę na grobie jej narzeczonego. Płaczący nad mogiłą Adrien przedstawia się jako przedwojenny przyjaciel Frantza. Jego opowieści o wspólnym zwiedzaniu Luwru i lekcjach gry na skrzypcach, które dawał studentowi z Quedlinburga, brzmią pięknie. Zbyt pięknie, by były prawdziwe.

Niemców trwająca ponad cztery lata rzeź niewiele nauczyła. Po kilku piwach intonują „Die Wacht am Rhein”. Poczucie winy za tragedię mają tylko ludzie kulturalni, film ocieka więc erudycją. Na współników swego wyrafinowania reży-

ser bierze Verlaine’a, Maneta, Chopina i Czajkowskiego.

Konkluzje? Prawda nie uszczęśliwia, przebaczyć jest łatwiej niż zapomnieć, zaś Eros i Tanatos często w jednym stoją domu. Jestem pod wrażeniem, jednak piątą gwiazdkę poskapię, gdyż „Frantz” to dzieło wtórne, przeróbka pacyfistycznego dramatu „Broken Lullaby” Ernsta Lubitscha z 1932 r.



★★★★★
REŻ. FRANÇOIS OZON
„FRANTZ”
FRANCJA/NIEMCY
2016

wyst. Paula Beer,
Pierre Niney, Anton
von Lucke

Ozon niestety już tak ma. W naśladowaniu jest mistrzem, ale gdy próbuje powiedzieć coś od siebie, traci równowagę i brnie w perwersję. Czas wreszcie zdobyć się na męską decyzję. Tyle jest zapomnianych, interesujących fabułek, które zasługują na odświeżenie. Panie Francuz, do roboty! ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SEN O CAMELOCIE

Niemal wszystko jest w tym filmie spektaklem: Jackie Kennedy inną rolę odgrywa przed kamerami telewizji, oprowadzając widzów po Białym Domu, inną – gdy opowiada dziennikarzowi swoją historię już po zamachu w Dallas, a ktoś jeszcze innym jest, gdy organizuje kolejny spektakl – uroczysty pogrzeb Kennedy’ego.

Tylko spektaklem, a nie wielkim dziełem, była też kariera polityczna J.F.K., co bohaterce uświadamia w pewnym momencie brat zastrzelonego prezydenta. „Boga nie interesują opowieści, tylko prawda” – poucza Jackie ksiądz. Jaka więc była prawda? Dzieje klanu Kennedych kryją więcej mrocznych tajemnic, niż zarzuca się Bushom, Clintonom i Trumpom razem wziętym. Jackie przyznaje, że mąż nie spędzał z nią niemal żadnych nocy. „Nie chciałam być sławna – wyznaje. – Po prostu poślubiłam Kennedy’ego”. Wiele spodziewało się biografii Jacqueline Kennedy, ale film Larraina to kolejna opowieść o kłamstwach, przedstawieniach i PR czy – jak niektórzy mówią – o narracjach.



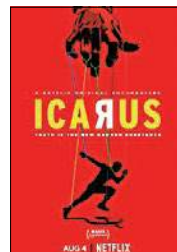
★★★★★
REŻ. PABLO LARRAÍN
„JACKIE”
USA 2016,
KINO ŚWIAT

wyst. Natalie Portman, Peter Sarsgaard,
Greta Gerwig, John Hurt

ROSYJSKI ŁĄCZNIK

Świetny film dokumentalny zmieniający się szybko z reportażu uczestniczącego w kawałek dziennikarstwa śledczego, a potem w międzynarodowy thriller. Bryan Fogel, miłośnik kolarstwa, postanowił przeprowadzić eksperyment – przejść kurację dopingową podobną do tej, która dawała triumfy Lance’owi Armstrongowi.

Przyświecały mu trzy cele: ocenić, o ile zwiększyły się jego możliwości fizyczne, sprawdzić, czy oszuka system, no i wszystko to zarejestrować na taśmę. W chwili, gdy poprosił o pomoc znanego rosyjskiego specjalistę od zwalczania dopingu – dr. Rodczenkowa – sprawa zrobiła się poważniejsza. Rodczenkow w tym samym czasie ujawnił niemieckiej telewizji, że niemal wszyscy rosyjscy sportowcy nieustannie są na doping, i stał się tym samym wrogiem reżimu Putina. A wiemy, jaki to reżim, dlatego tajemnicza śmierć jednego z kolegów Rodczenki nie będzie dla widzów zaskoczeniem. ©© **recenzuje Piotr Gociak**



★★★★★
REŻ. BRYAN FOGEL
„IKAR”
„ICARUS”
USA 2017,
NETFLIX

wyst. Bryan Fogel, Nikita Kamaew, Grigory Rodczenkow

GRA TYGODNIA: „STARCRAFT: REMASTERED”

Gdyby ktoś chciał streścić wszystko, co najlepsze w strategiach czasu rzeczywistego, wystarczyłoby jedno słowo: „StarCraft”. Wydana przez Blizzard w 1998 r. gra przedstawiająca konflikt trzech ras – Terran, Zergów i Protossów – zmieniła branżę na zawsze. To właściwie od „StarCrafta”

w Korei Południowej rozpoczął się wart dzisiaj setki milionów dolarów biznes e-sportu. Niespełna 20 lat po premierze legenda powraca w odświeżonej wersji wraz z dodatkiem „Brood War”. Nowe: grafika, ścieżka dźwiękowa, rozbudowany tryb multiplayer, te same reguły gry. Jeśli jakimś cudem



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nie grałeś/gralaś, to pora nadrobić zaległości. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Blizzard Entertainment
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Skrajny przypadek życiopisania

Wplebiscycie na najbardziej bezsensowną książkę, jaka kiedykolwiek powstała, „Locus Solus”, dzieło Raymonda Roussela, francuskiego autora zmarłego w 1933 r. śmiercią samobójczą, kandydować powinno na jedno z najwyższych miejsc. W tej powieści wszystko jest nieprawdziwe, nierzeczywiste, wymyślone od A do Z, ale w tym jeszcze nie ma niczego wyjątkowego. Ważniejsze, że historia o pełnej miejsc absolutnie magicznych posiadłości uczonego Martiala Canterela – gdzie kryją się jego liczne wynalazki tak potrzebne światu jak np. latający ubijak, urządzenie do tworzenia prognoz meteorologicznych zbudowane z ludzkich zębów, nawiasem mówiąc, wrywanych przez dr. Canterela niezawodną bezbolesną metodą – zawieszona jest niejako w próżni, poza światem, do którego formalnie należy.

Do swoich wynalazków ekscentryczny bohater powieści szuka inspiracji w różnych wydarzeniach, powiedzmy, że trudnych do zweryfikowania, takich jak – dajmy na to – przepowiedzenie półrocznemu Ryszardowi Wagnerowi, że w przyszłości będzie ograbiany – dopowiedzmy – jako twórca przez plagiatorów. Wróżba ta wynikała z drgań opiółków żelaza wprawionych w ruch przez matkę przyszłego kompozytora. Z tego wszystkiego kompletnie nic nie wynika, bo i nie ma wynikać. Pierre Janet, sławny lekarz i psycholog, którego Roussel był przez pewien czas pacjentem, zanotował, że ma on „interesującą koncepcję piękna literackiego: dzieło nie powinno zawierać niczego z rzeczywistości, żadnej obserwacji świata czy umysłu, niczego prócz kombinacji całkowicie wymyślonych. Uważa,



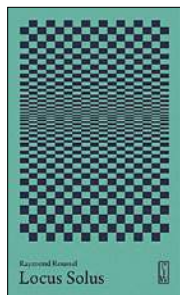
że gdyby opis miał w sobie coś rzeczywistego, byłby brzydki”. No cóż, piękne to były książki Jules’a Verne’a, skądinąd ulubionego autora Raymonda Roussela, ale twórcy „Impressions d’Afrique” i „Locus Solus”? Nigdy w życiu.

Aprzecież Jean Cocteau nazywał go geniuszem w stanie czystym, zachwycali się nim najpierw surrealiści, a potem entuzjaści nouveau roman z Alainem Robbe-Grilletem na czele. On sam od skończenia 19. roku życia nie robił nic innego – poza wydawaniem pieniędzy – tylko pisał po kilkanaście godzin dziennie. Po co? Może czuł jakieś powinowactwo z Marcellem Proustem? W końcu w dzieciństwie mieszkali przy tym samym Boulevard Malesherbes w Paryżu. Jakie inne podobieństwa znaleźć można między autorami „W poszukiwaniu straconego czasu” i „Locus Solus”? Może homoseksualizm? Niewiele wiadomo o takich związkach Raymonda Roussela poza tym, że zawsze za nie płacił. A miał z czego, był wszak dziedzicem sporej fortuny,

którą przepuścił na podróże po świecie (zazwyczaj nie opuszczał hoteli), narkotyki, alkohol, ale i na wystawianie swoich sztuk, z których dworowali sobie nie tylko widzowie, lecz także aktorzy.

Urodził się w Paryżu w roku 1877. W roku 1933, 13 lipca w wigilię rocznicy zdobycia Bastylii, w Palermo, w hotelu Grande Albergo e delle Palme, gdzie – uwaga! – Wagner pisał „Parsifala”, obejrzał festyn ku czci św. Rozalii i eskadry Balbo, po czym zażył garść prochów, zamknął na klucz drzwi łączące jego pokój z drugim, zamieszkanym przez jego platoniczną przyjaciółkę, Charlotte Dufrène, i wyciągnął siennik pod te drzwi. Rano znaleziono go na nim. Martwego.

W posłowie do wznowionego właśnie „Locus Solus” Andrzej Sosnowski pyta: „A może w pisaniu chodzi o to, żeby zmarnować życie? Albo żeby życiu dać się efektywnie zmarnować?”. „Wydaje się – wywodzi dalej Sosnowski – że właśnie to drugie bez reszty zaprzętało Roussela. Sprawę należy postawić teraz na ostrzu noża: Roussel pisał po to, żeby stracić życie. W podwójnym sensie wykonania wyroku na życiu i na sobie samym. Jeżeli nie ma pełni i jeśli w ten niedostatek zapłatany jest język, to trzeba zająć się przeciwną stroną zgubnego równania i szukać pełni jedynie w języku, zamasztyłym gestem wypisując się z życia”. I tak właśnie robił autor „Locus Solus”. Czy coś zyskała przez to literatura? Mam nadzieję, że tak. Choćby przez to, że pokazał Roussel granice życiopisania i powiedział o nim coś, co niekoniecznie jest rozumiane, a nawet rozpoznawane. ©©



★★★★★
**RAYMOND
ROUSSEL**
„LOCUS SOLUS”
PIW,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Obrázky niepoprawne

Magazyn „Komiks i My” powstał, by nawiązać do tradycji dawnych polskich magazynów komiksowych, takich jak choćby legendarny „Relax” – tłumaczy redaktor naczelny pisma, Sławomir Zajączkowski. Czytelnicy „Do Rzeczy” znają to nazwisko, przecież Zajączkowski jako scenarzysta w tandemie z rysownikiem Krzysztofem Wyrzykowskim regularnie gości w naszym historycznym miesięczniku „Historia Do Rzeczy”. Ta sama para tworzy też udaną serię komiksów historycznych dla Instytutu Pamięci Narodowej.

Zaglądam do środka numeru czwartego, ale pierwszego, który trafił w moje ręce. Dwie bez wątpienia najlepsze prace to kolorowe opowieści „Goplana” oraz pierwsza część historii „Lirnik” (prace w odcinkach to wszak cecha charakterystyczna komiksowych czasopism). „Goplana” to cudowna impresja na temat „Balladyny” Słowackiego, komiks znany wcześniej tylko tym, którzy wybrali się na przedstawienie „Goplany” Władysława Żeleńskiego do Opery Narodowej.

Osiem plansz, na których uchwyciono sedno dramatu, niezwykle oniryczny i baśniowy nastrój oraz rewelacyjne ilustracje – nowoczesne, a jednocześnie czerpiące i z secesji, i z dorobku rosyjskiej ilustracji książkowej.

„Lirnik” zaskakuje ciekawym kontrastem. To opowieść o chłopcu zafascyno-

wanym ostatnimi prośalnymi dziadami przybywającymi co roku do jego miasteczka. Historia rysowana niby komiks undergroundowy, jednak w treści zdecydowanie krytyczna wobec „postępów postępu”. Mieszkańcy prowincji stają tu w obliczu wielkomięskiej inwazji przypominającej skrzyżowanie reality show TVN z gejowską paradą. Wracam do wstępniaka. „Czas wyrównać proporcje tematyczne i światopoglądowe” – pisze naczelny. Mamy więc do czynienia z pismem, które w ideologicznej wojnie zdecydowanie opowiada się po stronie konserwatywnej, co zresztą zdołało już wzbudzić wściekłość rozmaitych redakcji oraz części komiksowego świata.

Nie będę oryginalny – o sukcesie artystycznym takich przedsięwzięć zawsze będzie świadczyło nie to, czy są słuszne, lecz to, czy są ciekawe, dobre, oryginalne. „Komiks i My” to solidna oferta dla miłośników realistycznego komiksu bez przechyłków politycznej poprawności. (Spójrzcie na pierwszy

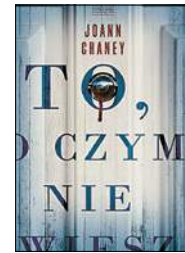
odcinek ciekawego albumu „Ixbunieta” o konkwistadorach i Indianach – tu hiszpańscy zakonnicy przedstawieni są jako bohaterowie pozytywni, a nie jako inkwizycyjne demony). Najbardziej, płasko, wypadają komiksy najkrótsze – szorty i satyryczne paski. Jednak te akurat łatwo ominąć. © ©



★★★★★
MAGAZYN
KOMIKSOWY
„KOMIKS I MY”
NR 2(4)/2017

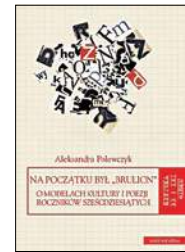
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

31 ciał znaleziono w piwnicy domu pewnego biznesmena. Sprawa wydawała się prosta. Siedem lat później okazuje się skomplikowana i znów może odmienić życie detektywów, pewnej dziennikarki oraz żony domniemanego mordercy.



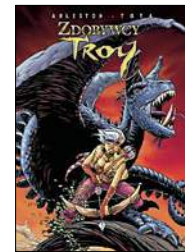
JOANN CHANEY
„TO, O CZYM
NIE WIESZ”
ZYSK I S-KA

Burzliwe dzieje, strategię redaktorów, spory ideowe i środowiskowe, analiza języka autorów – materiał przebogaty. Co właściwie kontestował „brulion”? Jak wyglądała droga od pisma kontrkulturowego do diagnozy: „źródłem kultury jest religia”?



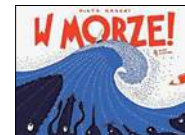
ALEKSANDRA
POLEWCZYK
„NA POZĄTKU
BYŁ »BRULION«”
UNIVERSITAS

Kolejna odsłona sympatycznego komiksowego cyklu humorystycznej fantazy o przedziwnym świecie Troy. Cała podseria (cztery albumy) w jednym tomie. Akcja rozgrywa się 4 tys. lat przed wydarzeniami z serii „Lanfeust z Troy”.



CHRISTOPHE
ARLESTON,
CIRO TOTA
„ZDOBYWCY
TROY”
EGMONT

Hit na lato. Książka, która w zabawny i przystępny sposób przybliży dzieciakom tajemnice mórz oraz oceanów. Duży format do czytania, oglądania, kolorowania i podziwiania za jednym zamachem. © ©



PIOTR KARSKI
„W MORZE”
WYDAWNICTWO
DWIE SIOSTRY

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Tomasz Piątek „Macierewicz i jego tajemnice” (Arbitror)** – pomieszanie z poplątaniem, czyli rzecz sensacyjna w tonie, wątku, gdy chodzi o fakty.
2. **Remigiusz Mróz „Czarna Madonna” (Czwarta Strona)** – najpłodniejszy autor polskich kryminałów idzie w thriller międzynarodowy i horror religijny.
3. **B.A. Paris „Za zamkniętymi drzwiami” (Albatros)** – thriller psychologiczny zgodny z najnowszą modą – zło czai się w małżeństwie, zwłaszcza idealnym.
4. **Nicola Yoon „Ponad wszystko” (Wydawnictwo Dolnośląskie)** – melodramat dla młodzieży o chorej na rzadką alergię dziewczynie. W kinach już ekranizacja.
5. **Nela „Nela i tajemnice oceanów” (Burda NG Polska)** – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.

(Najchętniej kupowane książki w salonach Empik między 24 lipca a 8 sierpnia 2017 r.)



KONTRA/BASEM

Artysta czy żebrak

Spotykam ich wszędzie, od Truskawca do Nowego Jorku. Wylegają z instrumentami na place, deptaki i zaułki miast. Zdobywają przyczółki w korytarzach metra. Pojawiają się w ruchliwych przejściach podziemnych. Muzycy, muzykanci, soliści, bardowie, uczniowie szkół muzycznych, studenci, niedośzli lub przyszli wirtuozowie, ale i pospolici naciągacze. Zarabiają na wakacje, ciułają na lepszy instrument. Część z nich chce załapać się w nowym kraju, sporo z nich gra, by przetrwać.

W tych miastach, gdzie datki są hojniejsze, konkurują ze sobą o bardziej opłacalne miejsca. Uprawiają skomplikowaną grę ze strażnikami miejskimi. W czasach hipisowskich wystarczyły gitara z harmonijką

ustną, saksofon czy skrzypce, dziś możliwości ulicznych artystów ogranicza tylko ich wyobraźnia. Z pomocą przyszła im elektronika, wytrzymałe baterie i miniaturyzacja sprzętu. Po wykluczeniu udawaczy korzystających z playbacku zostają tacy jak np. skrzypek Paolo Cawalowski, który gra zarówno klasykę, jak i popowe hity, wgrzywając do pamięci podkładowe struktury, a potem na tym akompaniamencie buduje solówki.

Walka o uwagę przygodnego widza zmusza do grania powszechnie rozpoznawalnych utworów, stąd w repertuarze znajduje się zestaw hitów akceptowalny przez najszersze grono, zwykle mało wymagających odbiorców. I tu zaczyna się prawdziwa konkurencja. Okazuje

się bowiem, że nawet banalny przebój może być pretekstem do dojrzałego popisu, gdzie słuchacz ma szansę docenić talent, warsztat i wyobraźnię muzykanta. Tylko czy jesteśmy na tyle wrażliwi, by w biegu, na ulicy, w zalewie tandety i kiczu docenić prawdziwą sztukę?

Jeden z najwybitniejszych skrzypków naszych czasów – Joshua Bell – na stacji waszyngtońskiego metra przez ponad godzinę grał sonaty Bacha. W tym czasie korytarzem przewinęło się ok. 1 tys. pasażerów, 20 osób wrzuciło pieniądze (łącznie 32 dol.), tylko sześć osób posłuchało dłużej. Wirtuoz, grający najpiękniejszy repertuar skomponowany na skrzypce solo, nie został ani rozpoznany, ani doceniony. ©



Joshua Bell na stacji waszyngtońskiego metra FOT. THE WASHINGTON POST



GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Heavy rock zredefiniowany

Na siódmej płycie grupa przeszła metamorfozę. Wprawdzie wciąż gra te same piosenki, ale jakże inaczej.

Lider Josh Homme zatrudnił w roli producenta Brytyjczyka Marka Ronsona. Ten zyskał sławę, pracując z gwiazdami muzyki pop (Adele, Amy Winehouse, Lady Gaga czy Bruno Marsem), a QOTSA w nowym millennium z sukcesem redefiniowali heavy rock. To piekielne połączenie, wyglądające na zdradę fanów, okazało się jednak strzałem w dziesiątkę. Po pierwsze, Ronson sam jest fanem zespołu. Po drugie, uznał, że przemiana leży w detalach. Wspólnie z muzykami

stworzył olśniewający taneczny heavy teatr mieniący się glamfunkowym blaskiem lat 70.

„Villains” jest całkowitym zaprzeczeniem poprzedniego albumu „...Like Clockwork”. Zamiast dołowania i leczenia emocjonalnych ran mamy potężnie brzmiące swingujące rozluźnienie. Jest w tym coś z funkrockowych dokonań Davida Bowiego z połowy lat 70. Nie chodzi o kopiowanie, ale wycucie stylu. Gitara Homme’a zaczyna ostrością brzytwy, dudniący disco bas porywa do ruchu, a całość brzmi, jakby rozwścieczony Black Sabbath grał na szkolnej potańcówce. „Zło wylądowało” to tytuł jednej z piosenek. ©

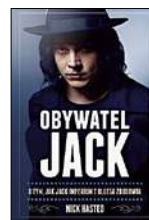


★★★★★
QUEENS
OF THE STONE
AGE
„VILLAINS”
MATADOR



★★★★★
THE ISLEY
BROTHERS
& SANTANA
„POWER OF PEACE”
SONY

Spotkanie gigantów na funkowo-rockowym szczycie. Bracia Isley (Ronald i Ernie) tworzą historię soulu od 60 lat. Carlosa wspomogła żona, perkusistka Cindy. Wspólnie nagrali 13 utworów klasyków od Steviego Wondera do Burta Bacharacha. ©



★★★★★
NICK HASTED
„OBYWATEL JACK”
IN ROCK
Barwna, a zarazem rzeczowa biografia Jacka White’a, najważniejszej postaci na scenie

rockowej w tym wieku. Nagrywając z The White Stripes, The Raconteurs, The Dead Weather tchnął nowego ducha w białego bluesa. Cenią go najwięksi. ©

OSADA MORSKA

Umowa najmu na **10 lat**, **8 %** rentowności,
pierwsza linia zabudowy od morza



Basen wewnętrzny,
Zewnętrzny i Jacuzzi



Strefa Wellness
& Spa



Restauracja,
Kawiarnia i Bar



Strefa Kids
and Fun

Cena: od **178 000 zł**



22 299 22 77 sprzedaz@osada-morska.pl www.osada-morska.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Konfrontacja przed Rubikonem



Uruchomienie pierwszej nitki gazociągu Nord Stream w 2011 r. Oprócz Angeli Merkel i Dmitrija Miedwiediewa kurkiem kręcili: premier Holandii Mark Rutte, premier Francji François Fillon i europejski komisarz ds. energii Günther Oettinger FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES



Andrzej Nowak

Bać się czy „nie pękać”. Od tysiąca lat Polska nie może opędzić się od tego pytania. I znów musimy rozważyć odpowiedź

60

Robi się gorąco tego lata. Z jednej strony, realizując politykę dekomunizacji przestrzeni publicznej, ogłaszamy zamiar usunięcia wszystkich „pomników wdzięczności” wobec sowieckich „wyzwolicieli” – w istocie znaków imperialnej zwierzchności Moskwy. Duma zgrzyta zębami i grozi sankcjami. Postępujące dochodzenie w sprawie przyczyn katastrofy

smoleńskiej, prowadzone pod patronatem Ministerstwa Obrony Narodowej RP, wskazuje coraz poważniejsze przesłanki na rzecz tezy o możliwym zamachu, a tropy prowadzą do Rosji... A tu wojsko rosyjskie szykuje się właśnie do największych w najnowszej historii manewrów za naszą wschodnią granicą: „Zapad 2017”. Na terenie Białorusi we wrześniu 13 tys. żołnierzy Putina (a z zapleczem

technicznym i logistycznym kilkakrotnie więcej) będzie ćwiczyć rozmaite warianty wojny z sąsiadami. Już w drodze na manewry rosyjscy desantowcy praktykują w obwodzie kaliningradzkim ataki na wybrzeże sąsiedniego państwa. Niektórym przychodzi na myśl manewry „Zapad 1981”. Tamte były jeszcze większe (blisko 100 tys. żołnierzy, wtedy jeszcze Armii Sowieckiej), też miały budzić grozę – no i skończyły się nie najlepiej dla nas. Nie wojnę, co prawda, ale stanem wojennym. Groza wraca, bo nasz rząd szarżuje zanadto?

Ba, z drugiej strony rzuca rękawicę także zachodniemu sąsiadowi, ciska otwarte wyzwanie niemieckiej soft power w Unii i w Polsce. Pokazuje jej działanie m.in. na przykładzie podwójnych standardów, stosowanych przez Berlin (za pośrednictwem Brukseli) w sprawie tzw. uchodźców. Berlin się gniewa. Tym bardziej że jest już zapowiadana przez PiS „dekoncentracja mediów” nad Wisłą – czyli uderzenie w niemieckie konglomeraty medialne, panujące dotąd bez protestów „w tym kraju”. A jeszcze prezes Kaczyński porusza zuchwale sprawę odszkodowań za straty w II wojnie światowej. To już nie tylko z Unii chce nas wyprowadzić, lecz także wojnę prowokuje z oboma potężnymi sąsiadami naraz?

Bać się czy „nie pękać”? Rozglądamy się w lewo, w prawo, na wschód i na zachód – i nie możemy się opędzić od tego pytania. Od tysiąca lat. I znowu – teraz.

POWRÓT DO IMPERIALNEJ POKUSY

Najczęstszą odpowiedzią na postawione wyżej pytanie było do niedawna wzruszenie ramion: przecież to nieaktualne! Przecież nie grozi nam żadna powtórka z historii. Żyjemy w Unii Europejskiej, a i Putin to nie żaden Stalin. Nie ma powrotu do wieku rozbiorów. Ani też suwerenność polityczna nie jest już tak ważna (ani możliwa) jak w minionych stuleciach. Jeśli coś nam zagraża, to najwyżej recydywa polskość w Polsce. Taka przynajmniej „narracja” obowiązywała do roku 2015.

Osiem lat temu było świetnie. Premier T. spacerował z premierem Putinem po sopockim mołu i rozmawiali o pogodzie. Tak było dobrze i normalnie, że już innych tematów w stosunkach polsko-rosyjskich nie było. Z Niemcami, a już najbardziej z panią kanclerz Merkel osobiście, stosunki polskich

władz były wręcz wzorowe. Trwał tylko cichy wyścig, kto jest bardziej pod tym względem wzorowy: premier czy jego minister spraw zagranicznych? Ten ostatni, żeby zatrzeć niedobre wspomnienie swego wcześniejszego udziału w rządzie PiS i swoich wypowiedzianych wtedy nieostrożnych słów, przyrównujących rurę bałtycką Nord Stream do paktu Ribbentrop-Mołotow, posunął się aż do pamiętnego hołdu berlińskiego, w którym wezwał panią kanclerz do otwartego objęcia władzy nad Europą. Pospieszył się trochę. Premier nie był aż tak ostentacyjny. Jego czyny były silniejsze od słów: np. udana, jak się zdawało, likwidacja polskiego przemysłu stoczniowego, pozwalająca odetchnąć niemieckim przyjaciółom z Wolgastu czy Kilonii, albo też systematyczne przyzwyczajanie polskich obywateli Unii, że cała niemal prasa i najważniejsze portale internetowe między Bugiem a Odrą mają niemieckich właścicieli. I że tak jest w porządku, że to świadczy o naszej „europejskości”. Okazało się to w każdym razie dobrą przepustką samego premiera T. do „europejskiego” stanowiska w Brukseli – z nominacji pani kanclerz.

Teraz jednak już tak dobrze nie jest. Prawdę mówiąc, nie było i wtedy. Przecież, kiedy premier T. spacerował z premierem Putinem na sopockim mołu, to jego gość miał już na koncie nie tylko otwartą deklarację nowej zimnej wojny z Zachodem (na konferencji w Monachium w roku 2007), lecz także gorącą wojnę, stoczoną w roku 2008 z jednym z europejskich państw – od którego zbrojnie oderwał sporą część terytorium (Abchazję i Osetię – od Gruzji). Można było tylko udawać, że wszystko jest w porządku. Można było, jak pamiętamy, udawać dalej: że współpraca polskiego rządu z rosyjskim jest wprost fenomenalna – 10 kwietnia 2010 r. i w następnych dniach. Kiedy jednak od bezpośredniego sąsiada Polski, od Ukrainy, Rosja oderwała znów spory kawał terytorium, z blisko 2 mln mieszkańców – i przyłączyła do swojej „Federacji”, a potępiły to wtedy wszystkie państwa zachodnie – udawać było już trochę trudniej. Przestaliśmy więc, tym bardziej licząc teraz na wsparcie drugiego sąsiada.

W roku 2015 trzeba było już jednak zamykać oczy, żeby udawać, że wszystko jest znakomicie w Unii Europejskiej – jako unii wolnych z wolnymi, równych z równymi. Pani kanclerz podjęła,

jednoosobowo, decyzję, by zachęcić tzw. uchodźców do masowego przyjazdu do Niemiec. Wtedy pękły wszystkie tamy. Ludzka lawina ruszyła z krajów Afryki i Azji, kierując się do niemieckiego „raju”. Niewiele miesięcy później okazało się, że za „dobroć” kochanej pani kanclerz mają płacić – oczywiście „solidarnie” – wszystkie kraje Unii. Nawet te, do których – ze względu na zbyt niski w nich standard życia – żaden uchodźca z południa się nie wybierał. Czy to jeszcze unia, czy już imperium, z którego centrum, w Berlinie, płyną rozporządzenia na temat wzorca humanitaryzmu i aktualnej wykładni solidarności? Niektórzy, nie tylko w Warszawie, zaczęli sobie zadawać to pytanie.

W strukturze Unii przed brexitem imperialna pozycja Niemiec była niepewna, niejednoznaczna. Londyn nigdy nie nadawał się na satelitę Berlina. Kiedy jednak premier Cameron zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę i zobowiązał się do wycofania swego kraju z Unii, po ewentualnej porażce w referendum, urzędnicy brukselscy – z polskim namiestnikiem pani kanclerz na czele – zrobili wszystko, żeby przekonać brytyjską opinię publiczną, że „nie będzie Anglik pluł im w twarz”, że jak sobie chcą Brytyjczycy wychodzić z Unii, to proszę bardzo – my im jeszcze pokazemy... Brytyjczycy zareagowali na tę prowokację tak, jak można było się spodziewać. I z Unii wystąpili. Przed brexitem gospodarka niemiecka w Unii tworzyła niewiele ponad jedną piątą ogólnego dochodu, a teraz, już bez „perfidnego Albionu”, jest to blisko jedna trzecia, a z marchiami pogranicznymi Rzeszy, takimi jak Luksemburg czy Austria – nawet ponad jedna trzecia. To wielka zmiana. Także polityczna, o której za chwilę.

Przed poszerzeniem Unii na wschód, w roku 2004, Niemcy stanowią jej wschodnią flankę. Poszerzenie było nie tylko błogosławieństwem dla Polski i dla innych krajów naszego regionu, protekcyjnie przyjętych, w roli młodszych braci, do dobrotliwej wspólnoty. Poszerzenie na wschód ustawiło Niemcy w centrum całej struktury. Stąd też mały, pamiętamy, entuzjazm np. Francji dla idei przyjmowania do Unii krajów tradycyjnej Mitteleuropy (koncepcja imperialna z czasów I wojny światowej, obejmująca właśnie Polskę, kraje nadbałtyckie, Czechy, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię – jako obszar łagodnej dominacji ekonomicznej, politycznej i kulturowej

II Rzeszy). Francuskie elity polityczne zdawały sobie oczywiście sprawę, że Unia – w której wcześniej obowiązywał dogmat pozorowanej równowagi między Berlinem i Paryżem – będzie teraz na pewno bardziej niemiecka, a o żadnej równowadze na szczytach władzy nie będzie można już nawet mówić. Tym mniej o równowadze w korzyściach ekonomicznych z poszerzenia. Te zbierały Niemcy. I to był jeden z powodów szybkiego rosnącego rozczarowania francuskiej opinii publicznej do Unii w nowym kształcie. Cóż jednak, spełniwszy warunki postawione kandydatom do klubu, wstawił się za nami „advokat” z Berlina i jakoś weszliśmy do Unii, z poczuciem wielkiej wdzięczności do naszych sąsiadów zza Odry. Niemal z poczuciem, że wszystko im zawdzięczamy, że nic o nas bez nich.

Buntowali się – co prawda – jacyś Grecy, szemrali przeciwko dyktatowi z Berlina jacyś Włosi, ale to, wiadomo, „leniwi ludzie są”. Poza tym – jak się okazało – kiedy tylko Silvio Berlusconi nazwał pana Martina Schulza znakomitym kandydatem do roli kapo, prędiutko udało się włoskiego premiera wymienić na bardziej uległego wobec „europejskiego centrum”. I tak przyzwyczailiśmy się: mówimy Europa/Unia, a myślimy: Niemcy; mówi Juncker/Tusk – a myśli Merkel. Wiemy, że w Parlamencie Europejskim rządzą wspólnie dwie bliźniacze formacje: „chadecka” i socjaldemokratyczna, na zasadzie konsensusu. I wiemy, że w obu rządzą Niemcy, też na zasadzie konsensusu. Ten rodzaj europejskiej demokracji nam nie przeszkadzał.

NA PROGU GEOPOLITYCZNEJ DECYZJI

Argumentem najsilniejszym za tym, by jej wyroki przyjmować i co najwyżej korzystać z okazji, żeby siedzieć cicho, było dotąd przekonanie, że skoro boimy się Putina (a już wolno nam to przyznać), to przed nim ochronić nas może najlepiej właśnie nasz dobry, potężny sąsiad z zachodu. Zdawało się, że kanclerz Merkel rzeczywiście daje gwarancje takiej postawy: nieufnej, nazwijmy to delikatnie, wobec neoimperialnej polityki Kremla i wysuwanej stale przez Putina pokusy pod adresem Berlina, żeby wziąć w tej zabawie udział, jak za starych dobrych czasów dwóch kanclerzy – Gorczakowa i Bismarcka.

Ostatnio jednak trudno przecieć nie zauważyć, że sytuacja się zmienia. Ame-



Batalionowa Grupa Bojowa NATO w Orzyszu – oficjalne powitanie wojsk amerykańskich w Polsce w kwietniu 2017 r. FOT. PIOTR MECIK/EAST NEWS

rykańskie wojska stacjonują od kilku miesięcy na wschód od Niemiec. Amerykański senat przegłosował właśnie nowe sankcje przeciwko Rosji, uderzające także w firmy kolaborujące z rosyjskimi projektami strategicznymi – takimi np. jak Nord Stream 2, czyli nowa rura mająca dodatkowo uzależnić Europę od dostaw Gazpromu, a zarazem uprzedmiotowić omijane przez nią, „sezonowe” państwa położone między Rosją a Niemcami. Nowe amerykańskie sankcje mogą już wprost ugodzić w kilka potężnych niemieckich firm, zaangażowanych w wielki biznes z Putinem. Co słyszymy w odpowiedzi? Przewodniczący Komisji UE, Juncker, grzmi: „America first nie może oznaczać, że europejskie interesy są traktowane jak ostatnie”. I grozi kontrsankcjami – Ameryce, nie Rosji. To, że polityk z księstwa luksemburskiego utożsamia interes kilku firm niemieckich z interesem europejskim (zgoła inaczej postrzeganym przez kilka innych krajów członkowskich unii), nie dziwi. Że do kontrsankcji Europy przeciw Stanom Zjednoczonym wzywa niemiecka minister gospodarki, pani Brigitte Zypries, nie dziwi tym bardziej. Ani to, że popiera je we wspólnej deklaracji z niemieckim ministrem spraw zagranicznych (znanym sympatykiem Rosji) Sigmarem Gabrielem austriacki kanclerz, Christian Kern. Warto może tylko zauważyć zbieżność tej postawy austriackiego socjaldemokraty z jego całkowicie bezprawną pogroźką przedstawioną pod adresem Polski na

łamach „Die Welt”, że jeśli nie podporządkujemy się niemieckiemu dyktatowi w sprawie uchodźców, to zabierze się Polsce fundusze strukturalne Unii w najbliższym budżecie. To naturalne, że przedstawiciele marchii pogranicznych berlińskiego imperium mówią po niemiecku.

Najważniejszy głos płynie jednak z samych Niemiec. Usłyszeliśmy go właśnie z ust przewodniczącego FDP, Christiana Lindnera. Niemiecki liberał stwierdził, że pora przełamać wreszcie tabu: trzeba pogodzić się z tym, że Rosja zajęła Krym. Nie można dłużej pozwolić sobie na to, by taki drobiazg stał na przeszkodzie tak fundamentalnego dobra jak rozwój stosunków gospodarczych Niemiec (czyli Europy) z Rosją. Ze wszystkich sondaży wynika, że w zbliżających się wyborach parlamentarnych w Niemczech triumfująca „chadecja” pani Merkel pozbędzie się potrzeby koabitacji z socjaldemokratami i że zastąpi ich w roli koalicjanta w nowym rządzie właśnie wracająca do łask wyborców niemieckich liberalna FDP. Pan Lindner może być wkrótce nowym wicekanclerzem i ministrem spraw zagranicznych.

Zbliżyliśmy się do historycznego momentu. Anglicy i Amerykanie w dwóch XX-wiecznych wojnach światowych pozbawili Niemców snów o Weltpolitik. Głęboko zakorzeniony resentyment niemiecki wobec Anglosasów nie wygaś. Oczywiście, inaczej niż w czasach Hitlera czy nawet Wilhelma II, nie odwołuje się



on do żadnych militarnych scenariuszy. Niemcy są wciąż w NATO, choć wielu z nich to widocznie doskwiera. Przed laty pierwszy sekretarz generalny paktu, gen. Hastings Ismay, sens zawianego w 1949 r. sojuszu wyraził zwięźle: „To keep the Russians out, the Americans in, and the Germans down” (Trzymać Rosjan na zewnątrz, Amerykanów wewnątrz, Niemców nisko). Dzisiaj, po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii, której centrum ekonomicznym i geopolitycznym jest Berlin, wsłuchując się w słowa niektórych polityków i publicystów niemieckich można odnieść wrażenie, że sens tej organizacji chcą oni oddać równie krótkim sformułowaniem:

„To keep the Anglosaxons (Amerykanów i Anglików) out, the Russians in, and the Eastern Europeans (zwłaszcza tych, które – jak Polska – odgrywają rolę anglosaskich »osłów trojańskich«, jak to już w 2003 r. określiła wdzięcznie niemiecka gazeta) – down”. Dodajmy od razu: tak nie myślą na pewno wszyscy Niemcy. Nie wszyscy są skłonni ulec głęboko zakorzenionej w ich historii – i w obecnych możliwościach – pokusie neoimperialnej. Teraz jednak ta pokusa, odwieczna, jest szczególnie silna. Zaczyna być widoczna.

Polska wiele ryzykuje, mówiąc o niej głośno. To prawda. Sama na pewno nie zahamuje tego procesu. Trójmorze to piękna koncepcja, ale na pewno nie do udźwignięcia przez samą Warszawę. Wiedeń już wybrał ostentacyjną lojalność wobec Berlina. Postawione wobec

wyboru: z Berlinem czy Warszawą inne stolice regionu też nie będą się długo wahać. Z historycznego doświadczenia wiemy również, że trudno liczyć na bezinteresowną pomoc z dalszego (anglosaskiego) Zachodu. Tym razem jednak w stawce mogą się znaleźć interesy właśnie. I to te najpoważniejszego, geopolitycznego kalibru. Interesy nie tylko Polski, lecz także Waszyngtonu.

Bardzo wiele zależy od tego, jak w najbliższych miesiącach potoczy się gra, prowadzona przez Kreml i przez polityków niemieckich. Manewry „Zapad 2017” nie powinny wypaść zbyt ostro, prowokacyjnie antyzachodnio. To mogłoby zrazić część niemieckiej opinii publicznej i umocnić niezbyt chętnie politycznej ugodzie z Putinem stanowisko, jakie dotąd reprezentowała sama pani Merkel. Ugodowy, nastawiony na Wandel durch Handel (zmianę przez handel) raczej niż na „armaty zamiast masła” – taki Putin może być bardziej przekonujący, skuteczny w zaproszeniu Berlina do nowej, kontynentalnej współpracy tradycyjnych partnerów. W Waszyngtonie jednak taka właśnie współpraca musiałaby wzbudzić reakcję. Prezydent Trump mógł wcześniej liczyć na to, że to jemu uda mu się pozyskać do współpracy Putina i odciągnąć nieco Rosję od Chin, strategicznego rywala Stanów Zjednoczonych w XXI w. Tak jak stale namawiają do tego „realiści” ze szkoły Kissingera, Ameryka byłaby gotowa zapłacić za to nie tylko uznaniem zaboru Krymu, lecz także znacznie szerszymi ustępstwami wobec rosyjskich ambicji imperialnych w Europie Wschodniej.

Gdyby jednak Niemcy zbliżyły się z Rosją – a oba te kraje przecież, każdy na swój sposób, nie rezygnują ze specjalnej pozycji w stosunkach z Chinami – wtedy pojawia się z punktu widzenia Waszyngtonu zupełnie nowa, dramatycznie niebezpieczna sytuacja. Jej istotę wyraża widmo sojuszu mocarstw kontynentalnych, kontrolujących wspólnie cały Heartland, jak to określił 100 lat temu „ojciec geopolityki”, Halford Mackinder. Całe „serce lądu”, czyli cały środek ciężkości eurazjatyckiego megakontynentu, znalazłoby się pod kontrolą mocarstw, które chciałyby wyrzucić stąd wpływy Anglosasów. Ameryka mogłaby zaakceptować taki stan rzeczy tylko za cenę pogodzenia się ze swoją trwałą marginalizacją w świecie. Taką wizję akceptował prezydent Obama, do takiej wizji namawia lewacki establishment,

którego symbolem jest George Soros. Nie tylko jednak prezydent Trump, lecz także większość wpływowych kół amerykańskiego biznesu na taką trwałą degradację się nie zgodzi. Widmo zgody niemiecko-rosyjskiej i wypchnięcia Ameryki nie tylko z Europy, lecz także z Eurazji, może zmusić amerykańskiego kolosa (wciąż jeszcze kolosa) do działania: do poważnego zaangażowania w umacnianie pasa państw rozdzielających Rosję i Niemcy. W takim przypadku stolice tego regionu stałyby nie przed pytaniem, czy wybierać Warszawę, czy Berlin, ale czy wybierać między Berlinem a Waszyngtonem. I tu już odpowiedź nie byłaby taka prosta.

Niemcy mogą jednak cofnąć się jeszcze znad tego Rubikonu, nad którym dzisiaj się wahają, a który nazwał wprost przewodniczący Lindner. Jarosław Kaczyński jako lider polskiej polityki prowadzi swoimi działaniami do tego, by wskazać istnienie owego Rubikonu, by przypomnieć, że groźba dyskretnie przemiany Unii Europejskiej (okrojonej o Albion) w imperium sterowane z Berlina jest rzeczywista. I że w logice takiej imperialnej metamorfozy leży nie tylko podporządkowanie innych krajów potrzebom niemieckiej gospodarki, lecz także możliwość fatalnej dla Polski i dla Europy (nie tylko Wschodniej) zgody Niemiec z Putinowską Rosją. Skoro nie ma już w unii Wielkiej Brytanii, skoro Francją rządzi polityk formatu męża pani Macron, skoro południowe eksimperia (Włochy i Hiszpania) korzystają skwapliwie z okazji, żeby siedzieć cicho, a ekipa „hołdu berlińskiego” została odsunięta demokratycznie od władzy nad Wisłą – to z Polski dochodzi dzisiaj wolne „nie pozwalam”. Weto rzucone reimperializacji naszego kontynentu.

Cała sztuka polega na tym, by ten głos został zrozumiany. Żeby dotarł w porę: nie za wcześniej, kiedy wzbudzi tylko złość wobec polskiego konserwatywnego „anarchizmu”, i nie za późno – kiedy niemiecka polityka przekroczy już Rubikon, za którym jest już otwarta droga do panowania nad Europą i ewentualnego Ausgleichu (rekompensaty, wyrównania) w jej wschodniej części z Rosją. W tym drugim przypadku, bardziej niebezpiecznym, pozostawałoby nam już tylko liczyć na to, że reakcja zagrożonego w swoich globalnych interesach Waszyngtonu nastąpi dość szybko, by zapobiec wywołaniu gniewu Berlina i Moskwy w stosunku do Polski.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Granie

Gdzieś tak w 1983 r. dostałem pierwszą w życiu grę video. Moja ciotka pracowała przez jakiś czas w Szwajcarii i przywiozła z niej do Polski właściwie wszystko. Nie wiem, jakim cudem pomieściła to w samolocie, ale wśród wielu niedostępnych wtedy rzeczy – np. kolorowych toreb foliowych – był absolutny rarytas: gra telewizyjna. Bardzo szybko stałem się ulubieńcem podwórka.

Gra składała się z plastikowego pudełeczka, kabli podłączanych do telewizora oraz dwóch urządzeń, które dziś zwie się joystickami. Wtedy nie miały nazwy, a w każdym razie my jej nie znaliśmy. Grę udało się podłączyć do odbiornika i rozpoczęliśmy marnowanie bezcennych godzin naszego dzieciństwa.

Na czarnym ekranie pojawiały się dwie pałeczki i punkcik, chodziło o to, żeby odbić tę pałeczkę tak, żeby nie odbił jej rywal. To był tenis. Istniała jeszcze wariacja tej rozgrywki: każdy gracz dysponował trzema pałeczkami, a zamiast pseudosiadki na środku, na końcach były dwie bramki. To była piłka nożna. I z racji większego nagromadzenia elementów oraz bodźców budziła w nas większe emocje niż tenis.

W te gry mogliśmy grać bez końca. O tyle to dziwne, że były niebywale wręcz nudne. Bardziej niż minimalistyczna scenografia, nużący scenariusz, umiarkowane emocje. Co tu dużo gadać, prymitywne były. My jednak bawiliśmy się doskonale.

Toczyliśmy zjadłe rozgrywki, a gdy akurat nikt mnie nie odwiedzał, uporczywie ćwiczyłem, odbijając kuleczkę pałeczką o wyczarowaną na ekranie „ścianę” (to była trzecia opcja gry). Dzisiaj taka zabawa byłaby torturą, na nas działała hipnotycznie. Odpływaliśmy przy niej zupełnie.

Toteż dzieciaki, które głupieją przy smartfonach, iPadach oraz konsolach, zupełnie mnie nie oburzają. Wcale nie są inne. Są dokładnie takie jak my w ich wieku. Gdybym mając 12 lat, dorwał się do dzisiejszego PlayStation, to najpierw ochrypłbym od wydawania okrzyków rozkoszy, a potem zatraciłbym się w grze i pewnie nie zdał matury. Możliwe, że byłbym degeneratem. Albo mistrzem świata w FIFA 2016.

Toczę teraz nieustanną wojnę z synem, który – wraz z kolegami – wykorzystuje każdy moment naszej nieuwagi, by dorwać się do jakiegoś telefonu albo tabletu. Każda minuta wyrwana na grę jest dla niego bezcenna. Gdy nawzajem się goszczą, wciąż próbują potajemnie zaszyć się w jakimś kącie, by zorganizować elektroniczną orgię. Ganiam ich, prześladowuję i zmuszam, żeby bawili się bez gadżetów albo poczytali książkę. Tak naprawdę jednak doskonale ich rozumiem.

No bo jak mam nie rozumieć, skoro syn pokazał mi grę „Kingdom Rush”. Już czwarty tydzień próbuję ją skończyć. Żona grozi mi rozwodem, ale to może poczekać. Najpierw muszę skończyć tę grę! ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Myślenie systemowe

Konflikty personalne są cierniem polskiej polityki, zdominowanej przez szorstkie przyjaźnie. Wałęsa – Mazowiecki, Krzaklewski – Buzek, Kwaśniewski – Miller, stosunkowo najbardziej ugodowy względem Tuska był Komorowski. Jednak coraz częściej łapię się na pytaniu: A był ktoś taki?

Istota wspomnianych sporów wywodzi się z mankamentów naszej konstytucji, skazującej dwa główne centra władzy wykonawczej, a jeszcze bardziej ich dwory, na spory kompetencyjne, które łatwo

przeradzają się w wojenki podjazdowe. Lęk przed silnym prezydentem w rodzaju Wałęsy sprawił, że powstał ustrojowy potworek – głowa państwa wybierana w wyborach powszechnych zależna od premiera będącego wykwitem konstelacji

partyjnej. Mogąc brać wzór francuski czy włoski, zafundowaliśmy sobie dwa w jednym. Powstał twór określony przez klasyka: „Ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra”.

Równie poważnym grzechem działań legislacyjnych jest ich doraźność. Ustawy krojone są tak, jakby nie zdawano sobie sprawy, że prawo winno się konstruować na lata, jeśli nie na wieczność. Jakoś nie ma potrzeby nowelizowania dziesięciu przykazań, a i poprawek do konstytucji amerykańskiej uzbierało się przez ponad 200 lat zaledwie 27, w tym 18. – wprowadzenie prohibicji – została zniesiona przez 21. Czasami krótkowzroczność legislatorów bywa zastanawiająca. Szczególnie wówczas, gdy ustanawiają jakieś prawo lub procedurę, tak jakby oni sami mieli rządzić wiecznie, bez przewidywania, jakim śmiertelnościami orężem dla nich samych może być dane prawo w przypadku przejęcia władzy przez opozycję. Robespierre w trakcie rewolucji wprowadził przyspieszony tryb osądzania wrogów ludu pozabawiający ich praktycznie prawa do obrony. I rychło sam padł ofiarą tej praktyki.

„Szybciej” nie musi wcale oznaczać „lepiej”, a brak wyobraźni czasami bywa gorszy od grzechu zaniechania. ©©

Jakoś nie ma potrzeby nowelizowania dziesięciu przykazań



NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ PILOTAŻOWE ODCINKI NA

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

22 SIERPNIA

„BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA NSZ”

**JAK BOHATEROM Z BŚ UDAŁO SIĘ UNIKNĄĆ LOSÓW
ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH, KTÓRZY ZOSTALI W POLSCE**

PARTNER CYKLU:





10. Marsz Autonomii Śląska w Katowicach w 2016 r. FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Wytrych regionalizmu



Andrzej Krzystyniak

„Regionaliści” na Śląsku mają dziś zdecydowanie więcej sympatyków niż zwolennicy państwa polskiego

Dawno temu na Śląsku pojawił się ruch, którego celem było prze-modelowanie historii tych ziem oraz pojmowanie ich w łączności z Polską, a raczej w odrębności od niej. Ów ruch, spajający różne środowiska – od naukowych do politycznych – którego członkowie często dla niepoznaki nazywają się „regionalistami”, łączy w sobie wiele organizacji, stowarzyszeń itp. Ma

on nadrzędny cel, którym jest odcięcie kulturowe Śląska od Polski.

Mozolna walka z polską kulturą w tym regionie trwa: to ciągle podkreślanie odrębności kulturowej Śląska, która ma być obca kulturze polskiej. Posiadanie rzekomo innej od pozostałego terytorium Polski historii jest uwypuklane przy każdej okazji. Piewcy odrębności Śląska nie zmarnują żadnej okazji, by pokazać, że Polska może być uważana jedynie za przypadkowego depozytariusza śląskiej ziemi, który – ich zdaniem – na dodatek lekkomyślnie zmarnotrawił wielki skarb. Jednak trud wymazywania polskości Śląska idzie na marne. Cel zamiast przybliżyć się, oddala się coraz bardziej.

Działaniem, które jest próbą wymazania polskości ziem zachodnich, jest swaista pamięć historyczna, która niczym

puzzle układane we właściwym porządku przez wytrawnego gracza wypełnia opuszczaną przez polską historiografię przestrzeń.

PIAMIĘĆ HISTORYCZNA

Polskość zepchnięta prawie na margines w sferze kulturowej jednak nie znika. To wywołuje bezsilną wściekłość wrogów. Kiedy rok temu w śląskim urzędzie wojewódzkim upamiętniono okazałą tablicą wybitnego śląskiego wojewodę, Michała Grażyńskiego, media przypuściły ostry atak na inicjatora wydarzenia – wojewodę śląskiego Jarosława Wierczorka. Grażyński, którego wrogowie polskości nienawidzili, pozostaje postacią, która niezwykle drażni dziś piewców „wielokulturowego” Śląska, podobnie jak wcześniej drażnił on komunistów. Szczególnym

paradoksem był argument, że Grażyński „zniszczył, a wręcz zamordował Korfante”. Jednak ci, którzy o to oskarżali Grażyńskiego, wściekle reagują również na próby postawienia pomnika Korfante w Warszawie. Argumentują, że skoro Korfante „wykończyli” piłsudczycy, to „Warszawa nie powinna stawiać pomnika”. Trudno o większy absurd. Skądinąd już chyba czas najwyższy uznać przedwojenny spór „korfanciorów” ze zwolennikami sanacji za anachroniczny. Tak jak chyba najwyższy już czas, by przedwojenny wojewoda Michał Grażyński spoczął na Śląsku, w ojczystej polskiej ziemi. Czas najwyższy, by jego prochy powróciły na Śląsk, któremu poświęcił swe życie.

Okazuje się, że „regionalistom” przeszkadza Grażyński, ale nie przeszkadza Jerzy Ziętek, komunistyczny aparatczyk, powojenny wojewoda śląski. Rozpoczęli już groźne pomrukiwania w jego obronie.

MEDIALNE PIEKŁO

Wytrych regionalizmu, rzekoma miłość do „małej ojczyzny” okraszona sosem regionalnej specyfiki, której nikt nie zrozumie poza mieszkańcami Śląska, są dziś wykorzystywane z całym cynizmem.

Kiedy w 2011 r. przygotowywano w Muzeum Śląskim wystawę o historii Górnego Śląska, wydawało się, że wszystkim pójdzie niezwykle gładko. Jednak po tym, gdy do mediów wyciekły wytyczne, rozpętało się istne medialne piekło.

Autorów szkiców do wystawy oskarżano o proniemieckie spojrzenie na śląską historię. Dyskusję, a raczej kłótnię na temat niewygodnych sformułowań, rozpoczęto nawet w mediach ogólnopolskich. Na tejże wystawie powstania śląskie chciano przedstawić jako „wojnę domową”, która podzieliła Ślązaków. W domyśle: gdyby nie wskrzeszenie Polski, „uzurpującej” sobie prawo do Śląska, jego mieszkańcy żyliby sobie spokojnie w dobrobycie budowanym w niemieckiej ojczyźnie.

Ci, którzy podjęli się antypolskiego dzieła ułożenia historii na nowo, z bezsilnym zdumieniem obserwują często, jak ich praca obraca się wniwecz w starciu z prostymi symbolami. Czymże bowiem było upamiętnienie 22 czerwca – znów w śląskim urzędzie wojewódzkim – powstańców śląskich? Tablica, która zawisała w sztandarowym miejscu urzędu, przypomina o śląskich rodzinach, w których – mimo prób germanizacji – przez dziesięciolecia przetrwała polskość. Dla

wielu „regionalistów” tablica jest niczym zjawą z sennego koszmaru.

Krzewiciele nowego spojrzenia na nasze dzieje mają swoje stałe punkty w programie: kultywują fałszywą wizję historii, zgodnie z którą wkroczenie Sowieców oznaczało dla Polaków wyzwolenie, a dla Ślązaków było początkiem gehenny i cierpienie niewinnej ludności. Ba! Było to pierwsze zetknięcie z wojną i jej okropnościami, za sprawą inwazji Armii Czerwonej i polskiej administracji rzecz jasna. Można zadać pytanie: Czy gdyby nie przegrana Hitlera, to dostatnie i spokojne życie trwałoby nadal? A skoro tak, to takie wydarzenia jak Powstanie Warszawskie są dla mieszkańców Śląska – albo raczej „prawdziwych Ślązaków” – równie egzotyczne i obce co któreś z powstań w państwach afrykańskich. Zdaniem niektórych „regionalistów” Śląsk ma tyle wspólnego z Powstaniem Warszawskim co „cegły wywiezione na odbudowę Warszawy”. Wygląda to tak, jakby mieszkańcy Warszawy na złość Ślązakom zburzyli stolicę w Powstaniu Warszawskim, by później złośliwie zrabować ze Śląska cegły na jej odbudowę. Tylko patrzeć, gdy ktoś z „regionalistów” w rocznicę niemieckiej agresji na Polskę zaproponuje (podobnie jak rok temu w sejmiku śląskim w przypadku powstań śląskich) uczczenie obu stron wojennego konfliktu oraz pochylenie się z szacunkiem nad poległymi wrogami, na równi z ofiarami ze strony polskiej.

Dodajmy, że jakiś czas temu jedna z niszowych na Śląsku gazet, w rocznicę wybuchu wojny, opublikowała tekst o znamennym tytule: „U nas witali radośnie”. Oczywiście chodziło o Ślązaków rzekomo radośnie witających wkraczającą armię niemiecką. Ponadto gdy spojrzymy dziś na to, co jest zawarte w historiografii Śląska, odnosimy wrażenie, że Polska ma Śląsk przypadkowo, w wyniku wygranej nie przez nią samą wojny. Polacy spolonizowali Śląsk – nie komuniści, ale Polacy. Takich drobnych subtelności jak narzucony przemocą ustrój komunistyczny „regionalisci” nie odróżniają. Wszak to, co działo się po 1945 r., to wyłącznie sprawa Polaków!

Trudno o odważnych, którzy podejmą się polemiki z „regionalistami” na Śląsku. Ich odzew prawdopodobnie będzie natychmiastowy i brutalny. Bez pardonów ataki w regionalnych mediach są w stanie dosyć szybko uciszyć i pozbawić innych chęci do dyskusji.

KSIĘGARNIA



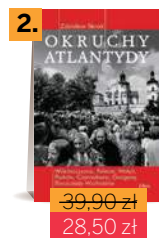
WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

Operacja polska – wielki przełom?



Prezes IPN Jarosław Szarek podczas uroczystości w Warszawie związanych z 80. rocznicą rozpoczęcia operacji polskiej NKWD FOT. TOMASZ GZELL/PAP



Piotr Zychowicz

Zapomniana rzeź Polaków wychodzi z cienia. Czy ofiary sowieckiego ludobójstwa zostaną wreszcie godnie upamiętnione?

Hasto „operacja polska NKWD” przytłaczającej większości Polaków nic nie mówi. Straszliwa gehenna 200 tys. naszych rodaków zgładzonych w Związku Sowieckim w latach 1937–1938 znajduje się poza nawiasem pamięci historycznej Polaków. A przecież skala tego ludobójstwa i okrucieństwo oprawców były olbrzymie!

Mimo to przez 27 lat niepodległości wiedza o tragicznym losie Polaków, którym przyszło żyć i umierać pod rządami Józefa Stalina, nie przebiła się do opinii

publicznej. Ta bolszewicka zbrodnia pozostaje w cieniu Katynia, Auschwitz, ludobójstwa na Wołyniu, hekatomby Powstania Warszawskiego i innych cierpień, jakich Polakom nie oszczędził okrutny wiek XX.

Wreszcie pojawiła się jednak szansa na zmianę tej pożałowania godnej sytuacji. – Wygląda na to, że coś się ruszyło! – mówi historyk prof. Nikołaj Iwanow.

– Kilka lat temu wydałem książkę o operacji polskiej, którą nazwałem „Zapomniane ludobójstwo”. Gdybym teraz ją pisał, musiałbym już chyba nadać jej inny tytuł – dodał.

Z okazji przypadającej w miniony piątek 80. rocznicy rozpoczęcia operacji polskiej po raz pierwszy w kilku miastach odbyły się oficjalne państwowe obchody. W Warszawie, Białymstoku, Gdańsku, a także na byłych wschodnich terenach Rzeczypospolitej, które w 1937 r. znajdowały się pod okupacją bolszewików.

Uroczystości takie odbyły się w Żytomierzu na Ukrainie oraz w Mińsku na Białorusi. W obu tych miastach mieszkały (i mieszkają) duże skupiska Polaków i w obu w trakcie operacji polskiej śmierć zebrała wyjątkowo obfite żniwo.

W obchodach w Żytomierzu oprócz przedstawicieli władz Ukrainy i Polski wzięły udział rodziny zgładzonych oraz świadkowie rzezi. Między innymi 83-letnia Bronisława Jaroszevska.

– Miałam dwa lata, kiedy tatę zabrali i rozstrzelali – mówiła w rozmowie z reporterem PAP. – Mnie, mamę, dziadka i babunię wywieźli na Kazachstan. Ja tego nie pamiętam, ale ludzie opowiadali, że wyrzucili nas z pociągu w trawę, która sięgała ludziom aż po pas. Wokół nie było niczego, żadnych osiedli, tylko step. Mieszkaliśmy najpierw w namiotach, a potem w ziemniakach. Mrozy były takie, że pieluszki zamarały. Moja mama, która miała wtedy 25 lat, dostała zapalenia płuc i zmarła, a ja zostałam sierotą – wspominała.

Pani Bronisława do rodzinnego Żyto-
miera wróciła w roku 2002...

POMNIK W WARSZAWIE

W tym roku po raz pierwszy rocznica operacji polskiej wzbudziła spore zainteresowanie polityków i mass mediów. Czyli stało się coś, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia – o ludobójstwie Polaków w Związku Sowieckim dowiedziały się setki tysięcy widzów, słuchaczy i telewidzów. A to dopiero początek.

Jeszcze w tym roku jedna z ogólnopolskich stacji telewizyjnych pokaże film dokumentalny Tomasza Sommera, autora monografii „Operacja (anty)polska”. Obraz pt. „Rozstrzelać Polaków” będzie gotowy we wrześniu. Zdjęcia do tego filmu kręcono m.in. w miejscach kaźni.

Kolejne publikacje książkowe zapowiada również fundacja Rodacy '37, która działa na rzecz przywrócenia pamięci o ofiarach operacji polskiej. Instytut Pamięci Narodowej wyda zaś niedługo tom dokumentów dotyczących eksterminacji Polaków w sowieckiej Odessie. Nasi historycy pozyskali je z ukraińskich archiwów.

To właśnie IPN odegrał wielką rolę w tegorocznych, przełomowych obchodach. To w dużej mierze zasługa prezesa Jarosława Szarka, który upamiętnienie ofiar operacji polskiej uczynił jednym z priorytetów swojej kadencji. Instytut wydaje na ten temat książki i broszury, organizuje wystawy, a także uruchomił interaktywny portal edukacyjny (www.operacja-polska.pl).

Podczas piątkowych obchodów w Warszawie Jarosław Szarek wystąpił z apelem o rychłe zrealizowanie najważniejszego postulatu, z jakim występują rodziny ofiar i wspierające je środowiska. Chodzi o budowę w centrum Warszawy pomnika.

– Stwórzmy wielką koalicję pamięci, która spowoduje, że w przyszłym roku spotkamy się pod pomnikiem operacji polskiej – powiedział prezes IPN. – Czy Warszawa znajdzie w swym sercu skrawek pamięci dla ofiar? Wiem, że w stolicy gruntu są bardzo drogie, ale czy będziemy kupczyć naszą pamięcią? Jak będziemy przeliczać? Tysiąc osób na jeden metr kwadratowy? – dodał.

W obchody 80. rocznicy operacji polskiej zaangażowały się również państwowe spółki. Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych ufundowała wydanie albumu prof. Mikołaja Iwanowa „Zginęli, bo byli Polakami”. A Poczta

Polska udostępniła swój główny warszawski oddział (przy ul. Świętokrzyskiej) na wystawę poświęconą zagładzie Polaków w ZSRS. Niedługo powstanie również znaczek pocztowy upamiętniający ofiary.

JAK ŻYDZI W III RZESZY

– Bolszewicy zamordowali tych ludzi tylko dlatego, że byli Polakami. Na tym polegała ich jedyna „zbrodnia” – mówi prof. Mikołaj Iwanow. – Dlatego właśnie współczesne państwo polskie i współczesne pokolenia Polaków powinny pielęgnować pamięć o tych męczennikach. To obowiązek – dodał.

Profesor przypomina słowa, które usłyszał przed laty od jednej z kobiet ocalałych z rzezi: „Być Polakiem w Związku Sowieckim to jak być Żydem w III Rzeszy”.

– Ta pani miała rację – podkreśla prof. Iwanow. – W 1937 r. w Związku Sowieckim szanse na przeżycie polskiego mężczyzny w kwiecie wieku były znikome. Jeżeli ktoś taki przetrwał, to można mówić o prawdziwym cudzie. Operacja

stracyjnym: 80 proc. otrzymało wyroki śmierci.

Mordy dokonane na Polakach wkrótce przybrały formę sadystycznej orgii. Zabijano ich w więziennych kazamatach, lasach, we wsiach, a nawet w łagrach, do których wcześniej zostali wysłani. Oprócz tradycyjnej sowieckiej metody – strzału w tył głowy – mordercy stosowali masowe rozstrzelania. Zdarzało się, że wyroki wykonywano kijami, część ofiar pogrzebano żywcem.

Na tym jednak gehenna polskiej społeczności się nie skończyła. Po zabiciu mężczyzn Sowieci wzięli się za ich rodziny. Zgodnie z rozkazem 00486 żony eksterminowanych „wrogów ludu” zostały wywiezione do łagrow. Ich dzieci trafiły do obozów koncentracyjnych lub do straszliwych sowieckich sierocińców. Wiele z nich umarło, inne zostały wynarodowione.

Historycy szacują, że w sumie wielki terror lat 30. mógł pochłonąć 200 tys. polskich ofiar. Polaków mordowano bowiem nie tylko w ramach operacji polskiej, lecz także w ramach innych ludobójczych akcji prowadzonych wówczas przez NKWD, choćby w ramach operacji kułackiej.

Zagłada Polaków została dokonana na wyraźny rozkaz Józefa Stalina. Dyktator nie tylko uważnie śledził jej „postępy”, lecz także zachęcał również NKWD do „wytężonej pracy”. „Bardzo dobrze! Kopcie i czyściec nadal ten polsko-szpiegowski brud. Niszczcie go w interesie Związku Sowieckiego” – pisał do swoich podwładnych.

Nie przeszkodziło mu to później rzucić na nich winy za „nadużycia”. Po zakończeniu eksterminacji niemal wszyscy oficerowie biorący w niej udział zostali zlikwidowani. Na czele z ich hersztem Nikołajem Jeżowem.

W minionych dniach został zrobiony wielki krok w stronę wielkiego przełomu, czyli godnego upamiętnienia ofiar operacji polskiej NKWD. A przede wszystkim wprowadzenia tego ludobójstwa do zbiorowej pamięci narodu polskiego. Przed państwem polskim pozostaje jednak jeszcze jedno, być może najtrudniejsze zadanie: sporządzenie pełnej imiennej listy ofiar operacji polskiej oraz uporządkowanie i oznaczenie ich grobów. Szczątki zamordowanych Polaków nadal bowiem spoczywają w bezimiennych, masowych mogiłach na terenie całego byłego Związku Sowieckiego.

**Operacja polska NKWD
rozpoczęła się 11 sierpnia 1937 r.
Tego dnia Nikołaj Jeżow
wydał osławiony antypolski
rozkaz 00485**

polska była najpotworniejszym ludobójstwem dokonany na narodzie polskim w XX w. Sytuacja Polaków w państwie Stalina była bardziej tragiczna niż sytuacja Polaków pod późniejszą okupacją niemiecką – dodaje.

Operacja polska NKWD rozpoczęła się 11 sierpnia 1937 r. Tego dnia szef bolszewickiej bezpieki Nikołaj Jeżow wydał osławiony antypolski rozkaz 00485, który uruchomił w całym Związku Sowieckim regularne polowanie na Polaków. Aresztowano ich w domach, zakładach pracy i wyłapywano na ulicach.

Polacy, straszliwie katowani przez oficerów śledczych, byli zmuszani do przyznania się do najbardziej absurdalnych czynów. Do tego, że należeli do tajnych antysowieckich organizacji, byli szpiegami na usługach „faszystowskiej Polski”, sabotażystami i terrorystami. Ofiary były następnie skazywane w trybie admini-

Ze zdjęcia patrzy na mnie człowiek. Niczym specjalnie się nie wyróżnia. Gdybym minął go na ulicy, zapewne nie zwróciłbym na niego uwagi. Jednak te oczy... Franciszek Bodziszewski wpatruje się w obiektyw w jakiś szczególny sposób. Czyżby wiedział? Przeczował?

Fotografia została zrobiona w 1937 r. w kazamatach NKWD. Wkrótce po jej wykonaniu Franciszek Bodziszewski został nocą wyprowadzony z celi. Oprawcy sprowadzili go schodami do piwnicy. W momencie, gdy przekraczał próg pomieszczenia, ukryty za drzwiami kat zniecka przystawił mu pistolet do potylicy.

Huk wystrzału złał się z eksplozją potwornego bólu. Trwało to jednak zaledwie ułamek sekundy. Kiedy Bodziszewski upadał na podłogę, najprawdopodobniej już nie żył. NKWD-ziści pospiesznie zaciągnęli jego ciało do innego pomieszczenia i przetrarli zakrwawioną podłogę szmatą. Z góry sprowadzano już bowiem kolejnego skazanego...

Dlaczego Franciszek Bodziszewski musiał zginąć? Dlatego że był Polakiem.

Po 80 latach od tej tragicznej śmierci fotografia Franciszka Bodziszewskiego znalazła się w poruszającym albumie prof. Mikołaja Iwanowa pt. „Zginęli, bo byli Polakami”. Podobnie jak fotografie Zofii Witkowskiej, Józefa Bińkowskiego, Tadeusza Bieleckiego i innych ofiar operacji polskiej NKWD.

Lektura tego unikalnego albumu jest wstrząsająca. Profesor prowadzi nas przez całą tragiczną historię Polaków w Związku Sowieckim. Chodzi o ok. 1,5

Zoologiczna polonofobia Stalina



Piotr Zychowicz

Wstrząsający album „Zginęli, bo byli Polakami” prof. Iwanowa ukazuje koszmar operacji polskiej NKWD

mln naszych rodaków, którzy w 1921 r., po podpisaniu traktatu ryskiego, znaleźli się pod bolszewickim jarzmem.

Natychmiast spadły na nich represje. Ze szczególnym okrucieństwem i z zaciętością Sowici zwalczali Kościół katolicki. Spośród ponad 500 kościołów działających na terenie byłego carskiego imperium pod koniec lat 30. pozostały tylko dwa – były to jednak świątynie dla dyplomatów zachodnich państw akredytowanych w Moskwie i Leningradzie.

Polskie kościoły zostały zburzone lub zamienione w magazyny zbożowe. Polscy księża zostali zamordowani lub wtrąceni do łagrów. Dziesiątki tysięcy Polaków wywieziono na Syberię i do

Kazachstanu, kilkadziesiąt tysięcy umarło z wycieńczenia w trakcie wielkiego głodu na sowieckiej Ukrainie.

Przeprowadzona w latach 1937–1938 operacja polska była więc tylko apogeum, najbardziej drastyczną odsłoną procesu systematycznego zwalczania polskości w bolszewii. Żaden z narodów Związku Sowieckiego nie został dotknięty tak gigantycznymi represjami jak Polacy.

„Było to ludobójstwo na tle narodowościowym – pisze prof. Iwanow. – Polacy stanowili w 1937 r. 0,64 proc. ludności Związku Sowieckiego. Natomiast wśród ofiar wielkiego terroru było ich ponad 15 proc. Polacy na zawsze weszli do historii Związku Sowieckiego jako »pierwszy naród ukarany«. W zawierusze wielkiego terroru w państwie Stalina zapanowała atmosfera zoologicznej polonofobii”.

W albumie znalazły się fotografie ofiar, a także ich katów – Nikołaja

Jeżowa i innych czekistów odpowiedzialnych za pogrom polskich „wrogów ludu”. W środku znajdziemy unikalne dokumenty, mapy, pocztówki, medale, plakaty oraz sowieckie gazety. A także zdjęcia miejsc, w których spoczywają szczątki zgładzonych Polaków. Materiały te pochodzą m.in. z archiwum Tomasza Sommera, autora głośnej monografii „Operacja (anty) polska”.

Szczególną uwagę zwracają zdjęcia zrobione podczas ekshumacji w Winnicy. Mało kto o tym wie, ale w 1943 r. władze niemieckie zdecydowały się otworzyć masowe mogiły pozostawione w tej miejscowości przez NKWD. Wydobyto z nich ciała tysięcy Polaków i Ukraińców bestialsko zgładzonych przez bolszewików. Fotografie z tej ekshumacji zostały teraz zaprezentowane przez prof. Iwanowa.

Na jednej z nich wiejska kobieta w chuście na głowie stoi w zadumie nad zwłokami bliskiej osoby. Jest to widok rozdzierający. Fotografia ta zapewne nie przez przypadek znalazła się na okładce książki.

Album „Zginęli, bo byli Polakami” został wydany – co warto podkreślić – dzięki finansowemu wsparciu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Jest to pierwsza publikacja fundacji Rodacy '37 działającej na rzecz upamiętnienia ofiar operacji polskiej. Na ten cel zostanie przeznaczona część zysków ze sprzedaży książki.

„Musimy wypełnić lukę w świadomości historycznej narodu i przywrócić pamięć o tej niesłychanej zbrodni – pisze prof. Iwanow. – Krew polskiego chłopca spod Żyto- mierz ma taką samą wartość jak krew polskiego oficera w Katyniu. Nie powinno tu być Polaków pierwszej i drugiej kategorii”. © Wszelkie prawa zastrzeżone



„ZGINĘLI, BO BYLI POLAKAMI. KOSZMAR »OPERACJI POLSKIEJ« NKWD 1937–1938”
REBIS/POLSKA WYTWÓRNI PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH /FUNDACJA RODACY '37



TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA MARIĄ GUTOWSKĄ!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Sławomir Koper – **Masakra w domu Polańskiego**

Maciej Rosalak – **Jak karano homoseksualistów**

Marek Gałęzowski – **Żydzi przeciw bolszewikom**

Grzegorz Wołk – **Inwigilacja Macierewicza**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Adolf Hitler superstar**

Roger Moorhouse – **Zamach w Wilczym Szańcu**

Mikołaj Iwanow – **Polska w planach Stalina**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl f3e29086ca



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Niemcy w Namibii

Niech państwo sobie wyobrażą typową niemiecką piwiarnię. Litrowe kufle, smażone kielbasy, biuściane blondkелnerki i siedzący na długich ławach piwosze śpiewający skoczne, bawarskie przyśpiewki. W widoku tym nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie to, że piwiarnia, o której mowa, znajduje się na Czarnym Łądzie.

A konkretnie w Namibii. Kilkanaście lat temu odwiedziłem ten kraj (oraz opisaną wyżej piwiarnię) i muszę przyznać, że było to jedno z najbardziej osobliwych miejsc, w których byłem. Dlatego z wielkim zaciekawieniem sięgnąłem po książkę „Witamy w białej Afryce” Wojciecha Rogali.

Autor – wrocławski podróżnik – był w Namibii kilkukrotnie i opisuje to państwo ze swadą oraz ze znawstwem. Píše o jego zdumiewającej architekturze – żywcem wyjętej z niemieckich miasteczek przełomu XIX i XX w. O jego nietypowych mieszkańcach – potomkach niemieckich kolonistów (stanowią 6 proc. populacji kraju). A także o jego tragicznej historii.

Namibia bowiem nigdy nie nazywała się Deutsch-Südwestafrika i w latach 1904–1907 stała się areną wielkiej tragedii. Niemcy stoczyli krwawą wojnę z lokalnymi plemionami Nama i Herero,

podczas której dokonali ludobójstwa. Unicestwione zostały dziesiątki tysięcy ludzi.

Mimo tych traumatycznych doświadczeń biali i czarni Namibijczycy żyją dziś we względnej zgodzie. Namibia jest chyba najbardziej stabilnym i bezpiecznym krajem Afryki, w którym biały człowiek nie musi się na każdym kroku oglądać za siebie.

W książce Rogali uwagę przykuwają zdjęcia. Śladów niemieckiej obecności jest w Namibii naprawdę sporo. W kraju tym działa niemieckojęzyczne radio i ukazują się niemieckojęzyczne gazety. Biali Namibijczycy o niemieckich korzeniach nadal mają duże wpływy, choć oczywiście z każdym rokiem się one kurczą.

„Niemiecki sen o kolonizacji Afryki trwał trzydzieści lat – pisze Rogala. – Plany utworzenia niemieckiej Kanady czy Australii legły w gruzach, ale kto by do tego teraz wracał? Teraz to już nowe państwo, nowe młode społeczeństwo, które w większości nie pamięta czasów niemieckiego panowania”.

Wojciech Rogala napisał znakomitą książkę. Efekt niestety został zepsuty przez wydawcę (?), który na okładce umieścił wyjątkowo złe dobre zdjęcie. Spod tytułu „Witamy w białej Afryce” spogląda bowiem na nas... czarna Afrykanka. ©©



★★★★★
WOJCIECH ROGALA
„WITAMY W BIAŁEJ AFRYCE”
MUZA, WARSZAWA 2017



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Codzienność powstańców

Od pierwszych dni walk dzielnice opanowane przez AK przypominały plac budowy. Na ulicach powstawały barykady, a w ścianach domów wybijano dziury, przygotowując ciągi komunikacyjne. Miasto pokryło się gęstą siecią przejść, zaułków i kryjówek, a piwnice adaptowano na prowizoryczne schrony oraz punkty opatrunkowe.

Woda stała się towarem deficytowym, a zabiegi higieniczne – luksusem

W połowie sierpnia przestały działać wodociągi, a po upadku elektrowni na Powiślu nie było prądu.

„Brak wody, światła i gazu – meldował 26 sierpnia mjr Tadeusz Wardejn-Zagórski (»Gromski«). – Kanalizacja w większości domów nie funkcjonuje [...] nie widać nigdzie budowy latryn publicznych, zresztą nie ma ich gdzie budować, gdyż na każdym skwerku są groby i przybywa ich z godziny na godzinę”.

Woda stała się towarem deficytowym, a zabiegi higieniczne – luksusem. Gdy pluton „Jerzyków” ze zgrupowania „Radosław” znalazł na nowej kwaterze beczkę z „mocno nieświeżą” deszczówką, uznano, że woda do „umycia głowy jeszcze się nadaje”. Dziewczeta zadbały więc o „poprawę wyglądu i urody” i „z umyтыми i uczesаныmi włosami były

jak nowe”. Wkrótce jednak nadleciały stukasy i posypały się bomby.

„Patrzyliśmy na siebie ze zdumieniem – wspominał Edmund Baranowski »Jur« – Wszyscy byliśmy pokryci grubą warstwą ceglanego pyłu. Po upiększających zabiegach dziewcząt nie pozostał żaden ślad. Umyte stannie głowy pokrywał pył. Były teraz nie do poznania”.

Wspomnienia mężczyzn dotyczące prób przestrzegania zasad higieny są raczej odstręczającą lekturą. Oddzielnym problemem była też sprawa bielizny osobistej.

„Zupełnie źle było również ze zmianą bielizny – przyznawał Lech Hałko (»Cyganiewicz I«) – dopóki nasze dziewczęta nie zdradziły się, że wyszabrowały gdzieś sporo nowej, niestety damskiej, w czterech kolorach: beżowym, różowym, niebieskim i białym. Ten ostatni został przez nas zatwierdzony, więc idą w ruch nożyczki. Obcinamy piękne koronki i dopiero teraz daje się coś takiego zaakceptować”.

Zresztą podczas sierpniowej epopei zdarzały się znacznie bardziej zaskakujące rzeczy.

„Po omacku znajduję na ziemi mały wzgórek – kontynuował Hałko. – Coś akurat pod głowę, więc kładę się i zasypiam. Po przebudzeniu zamarłem ze strachu. W nikłym świetle poranka widzę, że spałem oparty głową o pocisk – niewypał z 600-milimetrowego moździerza [...], do połowy wryty w gruz. Spałem jak zabity i śniłem chyba o Stefce!”. ©©

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
ROZWOJU



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



PARP

PARTNERZY:



eprasa.pl13e29086ca

PARTNER MERYTORYCZNY:



ORGANIZATOR:



Socjalizm XXI w. – tak lider rewolucji boliwariańskiej Hugo Chávez nazwał swoją lewicową politykę prowadzoną w Wenezueli. Jego wiernym kontynuatorem jest dziś jego następca – Nicolás Maduro. Został wybrany na prezydenta w kwietniu 2013 r. w wyborach powszechnych, oficjalnie z wynikiem 50,61 proc. głosów (wynik ten nie został jednak uznany przez opozycję, która dopatrzyła się licznych uchybień w procesie wyborczym). Pogłębiający się od 2013 r. kryzys gospodarczy, spowodowany spadkiem cen ropy i socjalistyczną polityką ekonomiczną rządu Maduro, doprowadził do rekordowego ubóstwa (przeciętny Wenezuelczyk schudł o ponad 8 kg w 2016 r. w wyniku tzw. diety Maduro) i hiperinflacji: ponad 250 proc. w 2016 r., przy 18-procentowym spadku PKP – prognozy na 2017 r. mówią o dalszym spadku PKB i o inflacji między 700 a 1,2 tys. proc. w skali rocznej.

SĘDZIOWSKI SKOK

Problemy gospodarcze to niejedyny powód masowych protestów i represji trwających od początku kwietnia. Sygnałem ich rozpoczęcia była decyzja wenezuelskiego Sądu Najwyższego, który 30 marca ogłosił, że przejmuje uprawnienia ustawodawcze Zgromadzenia Narodowego. Od wyborów z 6 grudnia 2015 r., w których koalicja MUD (Unia Demokratyczna) utworzona przez partie opozycyjne zdobyła większość konstytucyjną w wenezuelskim parlamencie, trwała walka o rzeczywistą władzę między opozycją a prezydentem Maduro. Z tym że już po przegranych wyborach posłowie odchodzącego, zdominowanego przez Zjednoczoną Partię Socjalistyczną Wenezueli (PSUV) Zgromadzenia Narodowego, którego mandat miał wygasnąć 5 stycznia, zwołali nadzwyczajne posiedzenie na dzień 23 grudnia. Na tym zebraniu stare Zgromadzenie Narodowe mianowało do Sądu Najwyższego 13 nowych sędziów głównych (na 33) i 21 zastępców sędziów. Jak widać, nie tylko polska PO wpadła na taki pomysł w odniesieniu do Trybunału Konstytucyjnego, choć w przeciwieństwie do koalicji PO-PSL obóz prezydenta Maduro nie przegłosował najpierw specustawy, żeby zachować pozory konstytucyjności, tylko po prostu zastosował procedurę ekspresową już po przegranych wyborach, łamiąc wyraźnie prawo.

Co prawda, w lipcu 2016 r. wenezuelskie Zgromadzenie Narodowe oficjalnie



Olivier Bault

Chociaż Wenezuela pod rządami Nicolása Maduro traci ostatnie rysy demokracji, to lewica amerykańska i europejska udaje, że tego nie widzi

Pudrowanie

uznało wybór tych 13 sędziów i 21 zastępców za nieważny, ale i tak SN wcześniej, bo już w styczniu 2016 r., orzekł, że wszystkie uchwały i głosowania Zgromadzenia Narodowego są nieważne. Poszło o to, że SN zakwestionował wybór trzech posłów opozycji, bez których MUD nie dysponowała już większością konstytucyjną, a unieważnienia ich wyboru przez SN Zgromadzenie Narodowe nie chciało uznać. Wycofując 1 kwietnia wcześniejszą decyzję z 30 marca, stanowiącą, że Sąd Najwyższy przejmuje uprawnienia Zgromadzenia Narodowego, sędziowie nie odwołali swojego wcześniejszego postanowienia, zgodnie z którym wszystkie uchwały i głosowania Zgromadzenia Narodowego są uznawane za nieważne. W niedzielę 2 kwietnia w kościołach całego kraju

został odczytany komunikat biskupów nawołujący do pokojowych protestów i nieposłuszeństwa obywatelskiego wobec takiego postępowania sędziów obozu prezydenckiego.

NIEPOŚLUSZNI ZA KRATY

Równolegle z zamachem na instytucje rząd Nicolása Maduro, wspierany przez Sąd Najwyższy i sądy niższego szczebla, a także przez policję, wojsko oraz boliwariańską gwardię narodową, od lat represjonuje polityków opozycji, wsadzając ich do więzienia pod różnymi pretekstami. Były burmistrz miasta Chacao i obecny lider opozycyjnej, centrolewicowej partii Voluntad Popular (będącej członkiem obecnej koalicji MUD), Leopoldo López, jest od lat regularnie oskarżany o różne malwersacje

Protesty i starcia w Wenezueli trwają nieprzerwanie od kwietnia FOT. CARLOS GARCIA RAWLINS/REUTERS/FORUM



socjalizmu

i o udział w nielegalnych manifestacjach, podleganie do rozruchów, zniszczenia mienia publicznego, wzniesienie pożarów itd. Liczne organizacje międzynarodowe i Organizacja Państw Amerykańskich uznały jego procesy za polityczne. Sąd Najwyższy Wenezueli nie przyjmuje jednak wyroków Międzyamerykańskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Lópeza i opozycyjny lider musiał wrócić na początku sierpnia do więzienia po rzekomym złamaniu zasad aresztu domowego. Razem z nim ponownie uwięziono Antonia Ledezmę, który był prezydentem miasta stołecznego Caracas z ramienia MUD. Postawiono mu zarzut udziału w próbie zamachu stanu przeciwko Maduro.

Protesty opozycji trwają nieustannie od kwietnia, choć bywają brutal-

nie tłumione przez władzę. Po ponad czterech miesiącach bilans wyniósł już ok. 150 zabitych i wielu rannych po obu stronach, choć przede wszystkim po stronie opozycji.

Pomysłem prezydenta Maduro na rozwiązanie kryzysu było zwołanie Zgromadzenia Konstytucyjnego, ogłoszone 1 maja. Pomysł został odrzucony nie tylko przez opozycję, lecz także przez kraje wspólnoty gospodarczej Ameryki Południowej Mercosur, w której członkostwo Wenezueli zostało zawieszono po wyborach do Zgromadzenia Konstytucyjnego z 31 lipca. Wszyscy deputowani – jest ich 545 – do nowego zgromadzenia to socjaliści będący zwolennikami prezydenta, a nowe ciało w ramach przygotowywania nowej konstytucji dysponuje szerokimi uprawnieniami, pozwalającymi prezy-

dentowi Maduro omijać Zgromadzenie Narodowe. Jakby tego było mało, Zgromadzenie Konstytucyjne może także rozwiązać obecne Zgromadzenie Narodowe i to nowi deputowani sami określą czas trwania własnego mandatu oraz zdecydują, czy nową konstytucję trzeba poddać pod referendum. Jedną z pierwszych decyzji nowego Zgromadzenia Konstytucyjnego było zresztą odwołanie pani prokurator generalnej, która skrytykowała decyzję SN z 30 marca o przywłaszczenie sobie uprawnień parlamentu i która od miesięcy krytykowała brutalność represji rządowych wobec protestujących na ulicach zwolenników opozycji. Maduro obiecał także swoim zwolennikom, że nowe Zgromadzenie Konstytucyjne doprowadzi do aresztowania wielu polityków opozycji. Oficjalnie w wyborach do Zgromadzenia

■ Konstytucyjnego brało udział 8 mln uprawnionych (na 19,5 mln), ale ocenia się, że liczba głosujących została sztucznie zawyżona o co najmniej milion. Taką opinię wygłosił m.in. na konferencji prasowej prezes firmy Smartmatic, która wcześniej dostarczała systemów używanych w wenezuelskich wyborach. Z kolei 16 lipca ponad 7 mln Wenezuelczyków brało udział w plebiscycie zorganizowanym przez opozycję przeciwko wyborom do Zgromadzenia Konstytucyjnego. Rzecz jasna, opozycja nie brała udziału w wyborach do nowego ciała utworzonego przez Maduro.

IGNOROWANIE PROBLEMU

Chociaż za prezydentury Nicolása Maduro socjalizm XXI w. Hugona Cháveza utracił ostatnie pozorne rysy demokracji, to lewica amerykańska i europejska zdaje się mieć problemy z jasnym uznawaniem tego stanu rzeczy. Od lat strategia liberalno-lewicowych mediów amerykańskich polega na ignorowaniu problemu. Wiosną tego roku prawicowa organizacja Media Research Center (MRC) zbadała dokładnie ten fenomen, śledząc trzy najbardziej oglądane serwisy informacyjne w Stanach Zjednoczonych: „NBC Nightly News” telewizji NBC News, „World News Tonight” telewizji ABC News i „CBS Evening News” telewizji CBS News. Okazało się, że w czasie, gdy socjalistyczna Wenezuela, będąca geograficznie w tradycyjnej sferze zainteresowań Amerykanów, przeżywała coraz większy kryzys i stawała się krajem coraz bardziej autorytarnym, wszystkie trzy główne serwisy informacyjne razem wzięte poświęciły temu krajowi zaledwie 14 minut i 25 sekund w okresie między śmiercią Hugona Cháveza w marcu 2013 a grudniem 2013 r., a następnie 3 minuty i 11 sekund w 2014 r., 2 minuty i 18 sekund w 2015 r., 2 minuty i 47 sekund w 2016 r. i 5 minut i 58 sekund między 1 stycznia a 29 maja 2017 r. (podczas gdy masowe protesty i brutalne represje trwały w Wenezueli od początku kwietnia). Przy tym badacze MRC odnotowali także, że słowa „socjalizm” czy „socjalistyczny” prawie się nie pojawiały w relacjach tych trzech stacji telewizyjnych na temat Wenezueli. Jak to zauważył amerykański ekonomista Mark Skousen w maju na konferencji inwestorów, zacytowany przez liberalno-konserwatywną gazetę „The New American”, to, co się dzieje na ulicach wenezuelskich miast,



Nicolás Maduro od lat represjonuje polityków opozycji FOT. UESLEI MARCELINO/REUTERS/FORUM

„stawia amerykańską lewicę w bardzo kłopotliwej sytuacji”. Podobnie w czasie amerykańskich prawyborów w 2016 r. socjalista Bernie Sanders, będący głównym rywalem Hillary Clinton w prawyborach Partii Demokratycznej, wołał się nie wypowiadać na temat Wenezueli, gdy został o to zapytany.

W Europie niektórzy lewicowi politycy do niedawna nie mieli takich oporów. Jedną z propozycji lewicowego populiisty Jeana-Luca Mélanchona w tegorocznej francuskiej kampanii prezydenckiej było przystąpienie Francji – za pośrednictwem francuskich wysp na Karaibach – do ALBA, czyli do porozumienia gospodarczego podpisanego 29 kwietnia 2006 r. w Hawanie przez prezydenta Kuby Fidela Castro, prezydenta Wenezueli Hugona Cháveza i prezydenta Boliwii Evo Moralesa. W pierwszej turze wyborów prezydenckich 23 kwietnia Mélanchon dostał 19,6 proc. głosów. Chociaż teraz on również unika tematu Wenezueli, to wcześniej stawiał Cháveza i jego socjalistyczną Wenezuelę za wzór do naśladowania. W środę 2 sierpnia, czyli już po wyborze Zgromadzenia Konstytucyjnego w Caracas, jego rzecznik w rozmowie w radiu publicznym RFI piętnował totalną dezinformację na temat Wenezueli i podkreślał ofiary po stronie zwolenników prezydenta Maduro, stwierdzając, że część opozycji w Wenezueli należy do skrajnej prawicy oraz nigdy nie uznała „demokratycznego” wyboru Maduro.

Podobnie lider brytyjskiej Partii Pracy Jeremy Corbyn na początku grudnia w telewizji Sky News nie chciał potępić prezydenta Maduro, krytykował jedynie przemoc po obu stronach, tj. ze strony zarówno władzy, jak i opozycji, jednocześnie zachwalając dotychczasowe wysiłki Maduro na rzecz redukcji ubóstwa! W 2013 r. Corbyn, podobnie jak Mélanchon, gratulował Maduro „wygranej” w wyborach prezydenckich. Pablo Iglesias, lider skrajnie lewicowej hiszpańskiej partii Podemos, będącej trzecią siłą w hiszpańskim parlamencie, był zawsze gorącym zwolennikiem Cháveza i Maduro. Nie powinno to nikogo dziwić, zważywszy na dawno już udowodnione finansowanie jego partii przez Boliwarijską Republikę Wenezueli, ale też ze względu na bliskość ideologiczną. W obecnej sytuacji Iglesias stara się wyglądać na bezstronnego i na początku sierpnia nawoływał obie strony do wznowienia dialogu.

Postawa telewizji RT, będącej kanałem państwa rosyjskiego dla zagranicy, zasługuje na osobną wzmiankę. Sposób informowania o Wenezueli na portalu internetowym hiszpańskojęzycznej wersji RT wiernie odzwierciedla bowiem politykę zagraniczną Federacji Rosyjskiej. Ci, którzy w Europie Zachodniej mają Rosję za obrońcę wartości konserwatywnych i chrześcijaństwa, zdziwiliby się, gdyby czytali i oglądali hiszpańskojęzyczne relacje RT na temat socjalistycznej Wenezueli. RT otwarcie wspiera marksistę Maduro pomimo jego ataków na wenezuelski Kościół katolicki. Ba, nawet zachwala go jako „progresistę”. RT przedstawia oczywiście zwołanie Zgromadzenia Konstytucyjnego Wenezueli jako rozwiązanie w pełni demokratyczne. Podobnie jak Maduro RT oskarża Stany Zjednoczone o wzniecanie rozruchów w Wenezueli, a nawet o wytoczenie Wenezueli wojny „niekonwencjonalnej”. Rosyjska stacja przytacza na potwierdzenie swoich opinii słowa „ekspertów” – ludzi z kręgów władzy w Caracas lub związanych z komunistyczną Kubą. Wenezuelska opozycja w wydaniu hiszpańskojęzycznej RT to terroryści, faszysti i sługusy amerykańskiego imperializmu. Jak widać w rosyjskiej telewizji dla zagranicy, w przypadku Ameryki Łacińskiej retoryka Kremla niewiele się zmieniła od czasów Związku Sowieckiego. I jak widać, pomimo kolejnych kompromisacji socjalizm wciąż żyje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



EUTANAZJA DLA ZMĘCZONYCH

Uśmiercenie na życzenie dozwolone jest w Holandii i Belgii. Do tej pory prawo do eutanazji – po zwróceniu się z prośbą do sądu – mają osoby nieuleczalnie chore i cierpiące. Zwolennikom pomagania w kończeniu życia to przestaje wystarczać. Flamandzki parlamentarzysta Jean-Jacques De Gucht (na zdjęciu) uważa, że prawo do skrócenia życia powinno mieć więcej osób, nie tylko cierpiący w chorobie. Jego zdaniem możliwość tę powinni mieć także po prostu ludzie starsi, którzy żyć już nie chcą. – Kiedy ludzie wskazują,

że są zmęczeni życiem, to kim jesteśmy, żeby jako społeczeństwo mówić, iż powinni pozostać wśród żywych? – pytał retorycznie polityk, który wprowadził do publicznej debaty sprawę rozszerzenia prawa do eutanazji. Dyskusja o możliwości skracania życia osobom nim zmęczonym toczy się także w Holandii – tam zmian domaga się partia D66. De Gucht podkreśla, że sprawa kończenia życia osób starszych jest „delikatna”, i zaznacza, iż nie wszyscy, którzy czują się samotni, powinni mieć prawo do legalnego uśmiercenia.

JEDZIE POCIĄG... BEZ WAGONU

Jeśli ktoś narzeka, że kupione za czasów ministra Sławomira Nowaka Pendolino wciąż nie ma dostępnego dla pasażerów Internetu, to powinien dla odprężenia przejechać się kolejami u naszego południowego sąsiada. Tam od jadącego do Bratysławy pociągu pospiesznego odczepiła się lokomotywa i pojechała dalej sama. Pasażerowie pociągu, który utknął koło miejscowości Žarnovica, musieli czekać dwie godziny, aż podstawiono nową lokomotywę, która pociągnęła ich wagony w dalszą podróż.

NA ZAKUPACH Z PORYWACZEM?

Historia uprowadzenia brytyjskiej modelki przez Polaka mieszkającego w Wielkiej Brytanii od początku była dość niezwykła (porwaną kobietę rodak miał przewieźć w walizce), a po ostatnich doniesieniach wygląda na jeszcze dziwniejszą.

Rzekomy porywacz miał więzić piękną kobietę przez siedem dni we Włoszech, ale ponieważ nie otrzymał okupu ani nie udało mu się jej „sprzedać” na internetowej aukcji, po prostu odwiózł ją do brytyjskiego konsulatu w Mediolanie. Media ujawniły, że wcześniej modelka miała zjeść z Polakiem śniadanie w restauracji, a poprzedniego dnia była z nim na zakupach i wybierała buty. Dziennikarze podejrzewają, że porwanie mogło być tylko PR-owskim zabiegiem, który miał przynieść modelce rozgłos.

BOKSOWAŁ NIEDŹWIEDZICĘ

To mogło się przydarzyć tylko w Rosji. Według doniesień syberyjskich mediów 44-letni grzybiarz został zaatakowany przez niedźwiedźcę niedaleko Jekaterynburga. Osaczony grzybiarz próbował najpierw bronić się szczyrykiem, ale zwierzak wytrącił mu go z ręki. Pan Aleksander złapał więc niedźwiedźcę jedną ręką za pysk, a drugą wymierzył jej solidny cios. Podobno to poskutkowało i misiowa mama uciekła wraz

z młodym. Grzybiarz zaś wziął swój koszyk i poszedł kilka kilometrów, by wezwać pomoc. Aż dziwne, że nie dozbierał po drodze grzybów (według mediów podczas ataku niedźwiedźcy miał dopiero pół koszyka).

WPADŁ, BO NIE SPŁUKIWAŁ

Każdy mężczyzna, którego partnerka robi awantury o nieopuszczoną deskę w toalecie i o bałagan, powinien tych uwag słuchać – zwłaszcza jeśli jest włamywaczem. Kalifornijska policja w Thousand Oaks (USA) zgarnęła podejrzanego o włamanie dlatego, że nie spłukał po sobie tego, co zostawił w toalecie na miejscu zbrodni. 42-letni Andrew David Jensen został aresztowany, bo to, co było w muszli, zgadzało się z jego DNA. Amerykańscy stróżowie prawa podkreślali, że zbierają wszystkie dowody, które mogą pomóc w sprawie – obojętnie, czy będzie to ślina na papierosie, czy ekskrementy w toalecie. ©©

Nie ma co ukrywać, że Donald Trump przywraca – po ideologicznie zaślepionej prezydenturze Baracka Obamy – normalność.

I nie chodzi tylko o przywrócenie miejsca religii w przestrzeni publicznej Stanów Zjednoczonych ani pozbawienie funduszy federalnych Planned Parenthood, lecz także o robienie porządków w amerykańskiej armii, która stała się polem ideologicznych eksperymentów – co, nie ma najmniejszych wątpliwości, nie służy ani bezpieczeństwu, ani powadze wojska – będących jedynie próbą wymuszania cywilizacyjnych zmian w Stanach Zjednoczonych. W 2016 r. Barack Obama podjął decyzję o otwarciu armii na osoby transseksualne, a także nakazał Pentagonowi refundowanie operacji zmiany płci żołnierzom, którzy będą się tego domagać. Później przysłyły kolejne decyzje, choćby dotyczące otwarcia kobiecych łazienek i prysznicy dla tych ze służących w armii biologicznych mężczyzn, którzy uważają się za kobiety. Ideologiczni szaleńcy nie brali, co ciekawe, pod uwagę protestów kobiet, które uważały to za naruszenie swoich praw, ale siłowo wymuszali przyjmowanie kolejnych decyzji. Teraz nadeszła pora na odrzucenie tych zmian. Donald Trump bowiem zapowiedział przywrócenie wcześniejszych zasad dotyczących transseksualistów w armii. A to, w największym skrócie, oznacza, że nie będą oni mogli służyć w amerykańskich formacjach wojskowych.

SKUPIENI NA ZWYCIĘSTWIE

„Po konsultacji z moimi generałami i ekspertami militarnymi informuję, że rząd Stanów Zjednoczonych nie będzie akceptował i dopuszczał transseksualistów do służenia w jakiejkolwiek formacji armii USA” – napisał prezydent Donald Trump na Twitterze. „Nasze wojsko musi być skoncentrowane na rozstrzygającym i przytłaczającym zwycięstwie i nie może być obarczane olbrzymimi kosztami medycznymi oraz problemami, jakie przynoszą ze sobą osoby transpłciowe w wojsku” – uzupełnił.

Ta krótka informacja wywołała gigantyczny skandal. Na głowę prezydenta posypały się gromy bojowników o wolność wyboru płci, równość oraz wspólne łazienki dla kobiet i mężczyzn. Trumpa oskarżono o największą możliwą zbrodnię, jaką są nietolerancja i odrzucanie świętego prawa do samodzielnego określania swojej płci.

Trump przywraca normalność



Tomasz P. Terlikowski

Celem amerykańskiej armii nie jest wspieranie ideologii queer ani gender, ale obrona Stanów Zjednoczonych przed zagrożeniami. Ta oczywista, zdawać by się mogło, prawda leży u podstaw konkretnej zapowiedzi prezydenta Donalda Trumpa

Odezwał się nawet były republikański kandydat na prezydenta USA (już wtedy mocno demokratyzujący) John McCain, który potępił zapowiedzi Donalda Trumpa. „Każdy Amerykanin, który spełnia kryteria wytrzymałościowe i medyczne, powinien móc dalej służyć w armii. Nie ma powodów, by zmuszać do odejścia z powodu ich tożsamości płciowej żołnierzy, którzy są zdolni do treningu, walki i szkolenia. Wszyscy powinniśmy kierować się zasadą, że każdy Amerykanin, który chce służyć swojemu krajowi i jest zdolny do sprostania standardom, powinien mieć możliwość robienia tego i być traktowany jak patriota, którym jest” – napisał McCain.

Dowództwo Armii Stanów Zjednoczonych, ustami przewodniczącego wspólnego kolegium szefów sztabu, generała marines Joe Dunforda, zapowiedziało, że nie uznaje tweetów za rozkazy i oczekuje na oficjalne ustalenia przekazane przez sekretarza obrony. „Tymczasem nadal będziemy traktować wszystkich naszych pracowników z szacunkiem... I wszyscy pozostaniemy skupieni na realizacji powierzonych nam misji” – napisał gen. Dunford. Diana White, rzeczniczka prasowa sekretarza obrony Jamesa Mattisa, zapowiedziała, że gdy tylko szczegółowe wytyczne zostaną przekazane z Białego Domu, sekretarz obrony przygotuje stosowną politykę i zostanie ona wdrożona.



W 2016 r. osoby ze środowiska LGBTQ z amerykańskiej armii wzięły udział w najstarszej i największej w USA paradzie z okazji Dnia Świętego Patryka w Nowym Jorku FOT. ANDY KATZ/PACIFIC PRESS/GETTY IMAGES

we wszystkich strukturach amerykańskiej armii. Na razie, jedynie nieoficjalnie, przyznaje się, że nowa polityka ma sprzyjać przenoszeniu transseksualnych oficerów na wcześniejsze emerytury, ewentualnie mają być rozwiązywane czasowe umowy, tak by jak najszybciej oczyścić armię z osób transseksualnych.

ZJEDNOCZENI W POPARCIU

Zadowolenie z nowej decyzji wyrazili natomiast – i to niemal jednym głosem – liderzy chrześcijan ewangelikalnych i Kościół katolicki. Arcybiskup polowy Timothy Broglio stwierdził, że trudno nie uznać słuszności argumentacji Donalda Trumpa, iż eksperymenty ideologiczne nie

służą gotowości bojowej ani skuteczności amerykańskiej armii. „Gotowość militarna jest ważna dla kobiet i mężczyzn służących w armii, którzy ryzykują swoje życie, aby bronić wartości i wolności naszego narodu” – napisał arcybiskup. Jednak, jego zdaniem, trzeba pamiętać także o głębszych przyczynach, dla których zakaz służby dla osób transseksualnych jest jedynym sensowym rozwiązaniem. A należy do nich godność osoby ludzkiej, która nakazuje obronę tożsamości mężczyzn i kobiet, małżeństwa, rodziny, życia nienarodzonych oraz wreszcie stworzonej przez Boga natury biologicznej osób. Z tej perspektywy trudno zgodzić się na promowanie transseksualizmu w amerykańskiej armii.

Identyczne stanowisko zajmują także konserwatywnie nastawieni katolicy bioetycy i teologowie moralni. Ryan Anderson z Heritage Foundation przekonuje, że decyzja Trumpa wynika nie z jakiejś wrogości wobec osób transseksualnych, ale ze świadomości skutków jednostkowych i społecznych transpłciowości. – Osoby, które identyfikują się jako transpłciowe, mają poważne psychiczne i społeczne problemy. Zaburzenia lękowe, depresje, a także uzależnienia od substancji psychoaktywnych występują wśród nich w stopniu o wiele wyższym niż w reszcie populacji – podkreśla Anderson. I dodaje, że byłoby „lekkomyślnym” umieszczenie takich osób w sytuacjach bojowych. Zdaniem badacza trudno sobie także wyobrazić sensowne rozmieszczenie transseksualistów w koszarach, tak by nikt nie naruszał ich prawa do prywatności. Ich obecność rodzi także poważne trudności dla wolności sumienia i wyznania licznych kapłanów, a także podoficerów oraz oficerów, którzy byliby zmuszani do służby z osobami transpłciowymi.

I żeby nie było wątpliwości – tego rodzaju stanowisko nie oznacza niechęci do osób transseksualnych ani pogardy dla nich. – Musimy dostrzegać w nich osoby stworzone na Boży obraz, traktować je ze współczuciem i z szacunkiem dla ich godności, ale to nie oznacza i nie może oznaczać, że są one zdolne do walki w obronie narodu – uzupełnia Chad Pecknold, wykładowca teologii na The Catholic University of America w Waszyngtonie. Jego zdaniem wynika to nie tylko z powodów pragmatycznych, które mocno wyraził Anderson, lecz także z szacunku dla praw natury, które muszą być respektowane. – Prawa natury oraz prawo naturalne są tak samo ustanowio-

ne i ich ignorowanie ma poważne skutki – podkreślił Pecknold.

Nieco inaczej argumentują swoje wsparcie dla tej decyzji liderzy chrześcijan ewangelikalnych (wiele wskazuje na to, że to pod ich wpływem prezydent podjął taką, a nie inną decyzję). Ich zdaniem największą zasługą Trumpa jest to, że wreszcie skończył on z sytuacją, w której z pieniędzy podatników finansowane są operacje zmiany płci, nieakceptowane przez większość konserwatywnie nastawionych amerykańskich wyborców. – Ta kwestia znajdowała się wysoko na naszej liście priorytetów – podkreśliła Tami Fitzgerald z North Carolina Values Coalition. I dodała, że jest dumna, iż prezydent znalazł w sobie odwagę, by spełnić postulaty wyrażane od dawna przez konserwatywnych chrześcijan. Franklin Graham, jeden z najważniejszych liderów chrześcijan ewangelikalnych, wezwał zaś do tego, by w obliczu zmasowanej krytyki i opozycji wobec tej decyzji Trumpa modlić się za niego jeszcze więcej.

NIE CHODZI O WOJNĘ CYWILIZACJI

Nic nie wskazuje jednak na to, by nowa polityka miała jakieś głębokie przyczyny ideowe. Donald Trump, choć niewątpliwie przesunął debatę polityczną w kierunku bardziej konserwatywnym, pozostaje jednak graczem i bez wątpienia nie jest politykiem, który wyruszył na krucjatę przeciwko środowiskom LGBTQ. Jeśli jednak zdecydował się na takie, a nie inne decyzje, to dlatego, że po pierwsze może w ten sposób – w miarę tanim kosztem – zapewnić sobie mocne wsparcie środowisk ewangelikalnych chrześcijan, a po drugie przywrócić porządek w armii. Ideologiczne szaleństwo Baracka Obamy doprowadziło bowiem do tego, że potężna armia zamiast szkolić się, walczyć i zapewniać maksymalne bezpieczeństwo swoim żołnierzom, zajmowała się... debatowaniem nad prysznicami, a także rozwiązywała problem tego, jak pogodzić prawo kobiet do intymności z rzekomym prawem osób transseksualnych do wyboru prysznica, pod którym chcą się myć. Trump zdecydował się jednym pociągnięciem pióra (a może lepiej powiedzieć – kilkoma ćwierknąciami na Twitterze) rozwiązać problem, który stworzył Obama. I którego nie byłoby, gdyby lewica nie traktowała wojska jako elementu własnej ideologicznej gry, ale jako elementu obrony państwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Książę i duch czasów



FOT. YU MOK/IST NEWS



Teresa Stylińska

Filip, książę Edynburga, w sierpniu przyjął ostatnią paradę. Od teraz nie będzie już otwierał imprez ani przecinał wstęg

Filip, książę Edynburga, budzi wśród Brytyjczyków mocne uczucia. Jedni podkreślają wsparcie, jakie zawsze dawał królowej, cenią jego poczucie odpowiedzialności i lojalność wobec kraju, który jest dlań ojczyzną nie z urodzenia, lecz z wyboru. Cenią też jego ironiczne poczucie humoru i dystans do samego siebie. „W odsłanianiu tablic mam największe doświadczenie na świecie” – tak książę podsumował swe dokonania na niwie publicznej. Inni widzą w Filipie przedstawiciela zmurszałej, niewspółczesnej kasty arystokratów, nudziarza, którego ludzie słuchają tylko dlatego, że jest księciem małżonkiem Elżbiety II.

Konserwatywny dziennik „Daily Telegraph” pisał o nim tak: „Książę Edynburga rzuca wyzwanie duchowi czasów, w których nie liczą się takie wartości jak

tradycja, hierarchia i poczucie służby publicznej. Dlatego musiał znosić tak wiele wrogości i pogardy”. Książę, zdaniem dziennika, „był doskonałym celem zastępczym dla tych, którzy z ostrożności nie ważyli się uderzyć w królową”.

Lewicowy „Guardian” nie zostawia na księciu suchej nitki: „Na przykładzie Filipa widać, jak rodzina królewska może doprowadzić miliony całkiem normalnych ludzi do stanu zidiocenia. Ten całkiem zwyczajny człowiek dla wielu swych wielbicieli stał się wspaniałą postacią, uosobieniem tradycji i rozsądku, jakie chcieliby widzieć w życiu publicznym”.

„Guardian” odniósł się w ten sposób do ogłoszonej wiosną zapowiedzi, że od jesieni książę przestanie pełnić obowiązki, jakie są udziałem każdego członka rodziny królewskiej. Ten moment nadszedł już 2 sierpnia. Książę, w strugach ulewnego deszczu, przyjął paradę oddziałów Royal Marines. Odtąd nie będzie już otwierał żadnych imprez, przecinał wstęg ani uczestniczył w obradach rozmaitych gremiów, chyba że – w drodze wyjątku – sam tego zechce.

TERMIN PRZYDATNOŚCI

Zważywszy na to, że w czerwcu skończył 96 lat, książę Filip przeszedł na

emeryturę mniej więcej 30 lat później niż większość poddanych królowej. Stażem pracy też bije ich na głowę: przepracował aż 70 lat. Od listopada 1947 r., gdy poślubił księżniczkę Elżbietę, miał 22 219 indywidualnych wystąpień publicznych. Ma prawo być zmęczony. Zresztą, jak niegdyś zauważył, „należy wycofać się przed upływem terminu przydatności”.

Mogłoby się wydawać, że udział w spotkaniach, przyjęciach i obradach, otwieranie wystaw oraz ściskanie rąk, okolicznościowe mowy i obowiązkowe krótkie pogawędki to zajęcie łatwe i przyjemne, wymagające raczej swobody oraz luzu niż większego wysiłku. Trudno to pewnie ocenić, ale trudno też nie dostrzegać, że taka praca jest jak trwanie na posterunku w stanie gotowości, w dodatku zawsze na widoku. A to nie może być łatwe.

Filip, który funkcję księcia małżonka pełni dłużej niż którykolwiek z jego poprzedników u boku brytyjskich królowych, nie kryje, że nie miał wzorów, z których mógłby skorzystać. Jak uderzyć we właściwy ton? Jak znaleźć swe miejsce na dworze? Jak pogodzić ambicję ze świadomością, że trzeba być zawsze o krok za królową? Dla zdolnego oficera marynarki, który mógł osiągnąć największe szczyble, było to nie lada zadanie.

Na tronie Anglii zasiadało niewiele kobiet. Ostatnią była Wiktoria. Książę Albert, jej niemiecki mąż, był poniekąd w podobnej sytuacji co Filip: na obcym dworze sam musiał wypracować swą pozycję. Szczegółowe wzory z połowy XIX w. niekoniecznie muszą się jednak sprawdzić po stu latach, poza jednym: książę małżonek musi stać u boku monarchini i wspierać ją w każdych okolicznościach. Tę zasadę Filip przyswoił sobie doskonale. A przecież był w gorszej sytuacji niż Albert: choć pochodził z królewskiego rodu, to był wygnańcem, nie mógł liczyć na wsparcie najbliższej rodziny i na domiar złego był biedny – do tego stopnia, że na pierwszą wizytę na zamku Balmoral podobno musiał pożyczyć garnitur.

– Sposób, w jaki pełnię swą funkcję, wypracowałem sobie sam, metodą prób i błędów. Nie miałem żadnych przykładów, z których mógłbym skorzystać. Gdy na początku zadawałem ludziom pytanie: Czego ode mnie oczekujecie? – wszyscy byli zakłopotani. Po prostu sami nie mieli pojęcia – opowiadał książę w wywiadzie, jakiego udzielił telewizji BBC sześć lat temu, z okazji swych 90. urodzin.

BEZ DOMU

Filippos, książę Grecji i Danii, przyszedł na świat 10 czerwca 1921 r. na wyspie Korfu, w pałacyku Mon Repos, letniej rezydencji greckiej rodziny królewskiej. Tam też został ochrzczony w wierze prawosławnej. Był najmłodszym dzieckiem księcia Andrzeja, młodszego brata króla Konstantyna I, i Alicji of Battenberg, prawnuczki królowej Wiktorii. Gdy Filip miał zaledwie rok, cała rodzina pośpiesznie opuściła Grecję. Znalazła się bowiem w sytuacji, która dla ojca Filipa mogła się skończyć tragicznie.

Książę Andrzej podczas niedawnej wojny grecko-tureckiej, zakończonej – mimo początkowych sukcesów – klęską Grecji, dowodził jednym z greckich korpusów na terenie Anatolii. Tym samym znalazł się w gronie dowódców wojskowych i przywódców politycznych, których obarczono winą za porażkę i których, nie zwlekając, postawiono przed sądem. Księcia, jako członka rodziny królewskiej, potraktowano łagodniej niż kilku oskarżonych, którzy zostali skazani na śmierć, niemniej nakazano, by wraz z rodziną udał się na wygnanie – co też skwapliwie uczynił.

Taki był początek dzieciństwa, które – biografowie Filipa są co do tego zgodni

– było bardzo smutne, jeśli nie tragiczne. Rodzina rychło się rozpadła. Książę Andrzej zamieszkał z przyjaciółką we Francji. Matka zapadła na chorobę psychiczną i została umieszczona w ośrodku psychiatrycznym w Szwajcarii. Wszystkie cztery siostry wyszły za mąż za niemieckich arystokratów. Filip został sam. Do dziś niechętnie o tym mówi. Raz tylko, pytany, w jakim języku rozmawiano w jego domu, odparł krótko: – W domu? Ja nie miałem domu.

Małym Filipem zaopiekowała się rodzina matki, angielska odnoga rodu Battenbergów (od 1917 r. używała nazwiska w zanglicyzowanej formie Mountbatten), zwłaszcza dwaj wujowie – George i Louis. W 1934 r. na ślubie swej kuzynki Mariny z księciem Kentu Filip poznał Elżbietę. On miał 13 lat, ona osiem. Znajomość odnowiła, gdy Filip rozpoczął służbę w brytyjskiej marynarce wojennej. Podobno to lord George Mountbatten wpadł na pomysł, by swego greckiego bratanka ożenić z Elżbietą. Co było tym łatwiejsze, że księżniczka, zakochana po uszy w przystojnym poruczniku marynarki, nie chciała słyszeć o nikim innym i, mimo wątpliwości rodziców, postawiła na swoim.

Ślub poprzedziły wielkie zmiany: Filip zrzekł się dotychczasowych tytułów i obywatelstwa Grecji, przyjął obywatelstwo brytyjskie i nazwisko Mountbatten oraz zmienił religię z prawosławnej na anglikańską. Nie zerwał jednak węzów ze swym dawnym wyznaniem. Jest członkiem Stowarzyszenia Przyjaciół Góry Athos, utrzymuje kontakty z przeorami tamtejszych klasztorów, a przed laty złożył wizytę w patriarchacie ekumenicznym w Konstantynopolu. Co ciekawe, księcia i patriarchę Bartolomeosa szczególnie łączyło wspólne zainteresowanie sprawami ochrony środowiska. Filip nie mówi wprawdzie po grecku, bo nie dorastał w Grecji, ale twierdzi, że sporo rozumie.

RÓB PAN TO ZDJĘCIE!

Ochrona środowiska jest rzeczywiście jednym z tych pól, na których książę Filip udziela się z największym zapałem. Widać z jego działań i wypowiedzi, że sprawy ekologiczne naprawdę leżą mu na sercu. Do dziś jest jedną z czołowych postaci w Światowym Funduszu na rzecz Przyrody (WWF) – organizacji, którą współzакładał i której przez kilkanaście lat przewodniczył. Jak jednak kiedyś zauważył, to zaangażowanie nie znaczy,

że „jest zielony” – bo nie rozkłada się nad każdym stworzeniem, tylko myśli o tym, co zrobić, by uratować bogactwo przyrody świata.

Ulubionym tematem prasy, zwłaszcza popularnej, lecz także lewicowych tytułów niechętnych księciu, są jego tzw. gafy. Czy rzeczywiście są to gafy? Dla tych, którzy rygorystycznie traktują poprawność polityczną, mniej lub bardziej zabawne żarty księcia stanowią prawdziwy kamień obrazy. Sztandarowy przykład to przestroga, jakiej udzielił kiedyś młodym Brytyjczykom studiującym w Chinach: „Nie siedźcie tu za długo, bo będziecie mieć skośne oczy”. Albo sposób, w jaki u progu lat 80. skomentował narastający kryzys: „Kiedyś wszyscy mówili, że trzeba mieć więcej czasu wolnego. Teraz narzekają, że są bezrobotni”. Albo, jeszcze w czasach ZSRS, stwierdzenie, że chętnie pojechałby do Rosji, „choć ci dranie wymordowali połowę mojej rodziny”. Czy wreszcie sposób, w jaki ponaglił fotografa nazbyt długo przymierzającego się do uwiecznienia go w towarzystwie weteranów wojennych: „No rób pan wreszcie to pieprzone zdjęcie!”.

Książę takich materiałów dostarcza aż nadto. Jest bowiem, jak podkreślają jego przyjaciele, bezpośredni i wypowiada się wprost, bez owijania w bawełnę. Lubi przy tym rozmawiać z ludźmi i miał po temu pod dostatkiem okazji, co wynikało z jego królewskich obowiązków. Książę z urzędu udziela się w blisko 800 organizacjach – niektórym przewodniczy, nad innymi sprawuje patronat, w innych tylko zasiada. Nie lubi natomiast mówić o sobie. Gdy we wspomnianym wywiadzie dla BBC (to, że książę zgodził się go udzielić, samo w sobie było ewenementem) padło pytanie, z czego w swym życiu jest najbardziej dumny, odparł: – A kogo to obchodzi, co ja o tym myślę?

Mniej wstrzemięźliwa w słowach okazała się królowa. – Książę był zawsze moją siłą i podporą – powiedziała kiedyś, podsumowując lata wspólnego życia, a także wspólnej pracy. Obserwatorzy życia i przemian, jakie zaszły w Wielkiej Brytanii oraz w imperium pod rządami Elżbiety, idą jeszcze dalej: uważają, że jeśli monarchia brytyjska wyszła zwycięsko ze wstrząsów i z kryzysów, to jest to w dużej mierze zasługa Filipa. Grecki książę jak mało kto pojął, na czym polega jego brytyjskie zadanie.

Mała Polska nad Bosforem



Wójt Polonezköy Fryderyk Nowicki
w miejscowym muzeum. FOT. STEPAN RUDYK/FORUM



Piotr Włoczyk

Wieś zbudowana pod Stambułem przez powstańców listopadowych – po 175 latach wciąż mówi się tu po polsku i pamięta o korzeniach

Brzmni to jak bajka, ale to prawda. Daleko od swojej ojczyzny, gdzieś pośród pokrytych lasami wzgórz Anatolii, leży ukryta polska wioska – tak w 1904 r. widział Polonezköy (po turecku. Polska Wieś) czeski pisarz i podróżnik Karel Droz.

Ta bajka wciąż trwa. Jadąc tu ze Stambułu, najpierw mijamy tablicę z napisem: „Polonezköy wita Was”, potem, podążając ul. Adama Mickiewicza, przejeżdżamy obok przepięknego polskiego cmentarza z grobami powstańców listopadowych, którzy zbudowali tu pierwsze domy, na-

stępnie mijamy kościół pw. Matki Boskiej Częstochowskiej. Od ludzi, którzy nigdy nie byli w Polsce, można tu usłyszeć na ulicy doskonałą polszczyznę, choć momentami czuć, że to język, który rozwijał się trochę po swojemu: „ampulka” to w Polonezköy „żarówka”, „bałka” to „rzeka”, a „zeszyt” wciąż jest tu „kajetem”.

To wszystko ok. 20 km od centrum stolicy Turcji, po azjatyckiej stronie Bosforu. Wójttem wioski – już czwartą kadencję – jest Fryderyk Nowicki, urodzony tu w 1949 r. Na wizytówce swoje imię i nazwisko zapisuje jednak w sturczonej wersji (Frederik Novicki), żeby Turcy nie mieli trudności z wymową.

SIÓDME POKOLENIE

Wójt szacuje, że ok. 90 z 560 mieszkańców wioski wciąż mówi po polsku. Choć dziś większość to Turcy, na wójtę Polonezköy zgodnie z dawną tradycją zawsze wybierany jest Polak. Podobnie jak każdy polski mieszkaniec wsi, również Fryderyk Nowicki bez problemów jest w stanie wy-

mienić swoich przodków aż do początków XIX w.

– Z mojej rodziny jako pierwszy przyjechał tu Andrzej Nowicki, urodzony w Płocku w 1819 r. Był jednym z 8 tys. polskich żołnierzy, którzy przyjechali do Ottomanów walczyć z Turkami przeciwko Rosji. Po wojnie osiedlił się tu wraz z 14 towarzyszami. Andrzej to pierwsze pokolenie Nowickich w Polonezköy, ja jestem piąte, mój syn szóste, a wnuki siódme – mówi z dumą wójt. Fryderyk Nowicki języka polskiego nauczył się od rodziców w domu, ponieważ polską szkołę zamknęło to jeszcze w latach 20.

Jednym z najstarszych mieszkańców polskiego pochodzenia jest Antoni Dohoda, urodzony w 1936 r. Jego pradziadek, Jan Dohoda, przyjechał tu kilka lat po utworzeniu kolonii – po tym, jak wydostał się z niewoli czerekeskiej.

– Ja jeszcze pamiętam Adampol, w którym wszyscy mówili po polsku. To była po prostu typowa polska wioska. Naszego języka musieli się nauczyć nawet Turcy,

którzy tu pracowali. Dawniej Adampol był zamkniętą osadą – nie było drogi, byliśmy niemal na końcu świata. Siedem godzin jechało się tu ze Stambułu przez błoto. Wtedy nie było jeszcze mostów nad Bosforem, trzeba było czekać na prom. Dzisiaj jedziemy do Stambułu niecałą godzinę – opowiada Antoni Dohoda. – Biednie wtedy było, chodziło się na bosaka. Procesja Bożego Ciała szła przez całą wioskę, a na jej środku stał krzyż. Teraz ten krzyż przeniesiony został na cmentarz – dodaje.

Antoni Dohoda na zmianę używa starej i obecnej nazwy wsi. Jak podkreśla Fryderyk Nowicki, nazwa „Adampol” nie ma nic wspólnego z Adamem Mickiewiczem. Miejscowość nazwano tak w hołdzie księciu Adamowi Jerzemu Czartoryskiemu, który był patronem całego przedsięwzięcia. Działający w jego imieniu Michał Czajkowski (po przejściu na islam znany jako Sadyk Pasza) założył w 1841 r. w Stambule Agencję Misji Polskiej na Wschodzie, która miała za zadanie opiekować się polskimi emigrantami oraz inspirować na dworze sułtana działania wymierzone w Rosję.

PIERWSZY DOM

Powołanie kolonii w pobliżu stolicy imperium miało być podstawą dla tej działalności. Polscy emigranci pierwszy dom wzniesli tu wiosną 1842 r. W następnych latach przyjeżdżali do Polonezköy polscy uczestnicy kolejnych wojen i zrywów niepodległościowych (wojny krymskiej, powstania węgierskiego 1848 r. i wreszcie powstania styczniowego). Szybko jednak okazało się, że śmiałe zamierzenia księcia Czartoryskiego są niemożliwe do realizacji i osada nigdy nie rozwinęła się w coś większego.

– Kiedy powstawał Adampol, nie było tu żadnej drogi, nasi pradiadawie musieli karczować las, wyrwać ziemię przyrodzie. Przy okazji musieli też walczyć z wilkami, których było tutaj zatrzęsienie. Studnie, głębokie na 25 m, musieli drążyć własnymi rękoma, żeby dostać się do wody – opowiada Fryderyk Nowicki.

W szczytowym momencie żyło tu 220 polskich mieszkańców. Z biegiem lat osiedlało się jednak w Polonezköy coraz więcej Turków, z kolei polscy mieszkańcy emigrowali m.in. do Australii i Kanady. Polonezköy, położone na chronionych terenach, ze swoimi zielonymi wzgórzami i z lasami, po II wojnie światowej z wioski

rolniczej stało się weekendową odeskoczną dla mieszkańców zabetonowanego Stambułu. Jest to też bardzo popularne miejsce weselne dla bogatszych stambuńczyków. Dzisiaj mieszkańcy polskiego pochodzenia prowadzą tu hotele i restauracje, w których wciąż można zamówić niektóre typowo polskie potrawy, jednak większość serwuje kuchnię turecką. Jedną z restauracji prowadzi rodzina Antoniego Dohody.

W kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej (wybudowanym w 1914 r.) mszę świętą raz w tygodniu odprawia ks. Michał Sabatura, który na co dzień pełni posługę w Stambule.

– Niesamowity jest ten klimat polskości w Polonezköy, tym bardziej że to naprawdę przepiękny zakątek kraju – mówi ks. Sabatura. – Ten obszar objęty jest ochroną i nie można tu zbyt dużo budować. Nawet sami mieszkańcy mają problemy z rozbudowywaniem swoich posiadłości. W ten sposób nie ma masowego napływu ludności z zewnątrz i tylko dzięki temu polskość jeszcze się tu zachowała – podkreśla ks. Sabatura.

DOM CIOCI ZOSI

Obok kościoła drugim bastionem polskości jest tu Dom Pamięci Cioci Zosi. Zmarła w 1986 r. Zofia Ryży była krze-

W jej rodzinnym domu (zbudowanym w 1883 r.) można obejrzeć liczne pamiątki dokumentujące historię tego miejsca. Opiekunami Domu Pamięci Cioci Zosi są Antoni Dohoda oraz Lesław Ryży.

Wśród nagrobków na cmentarzu to właśnie nazwisko Ryży pojawia się najczęściej – obok Ohotskich i Dohodów (czasem zapisywanych przez „ch”). Miłośników twórczości Juliusza Słowackiego zainteresować może to, że w nekropolii tej pochowana została Ludwika Śniadecka, wielka (nieodwzajemniona) miłośnica wieszczą.

Jak wyglądały relacje z Turkami przez te wszystkie lata? – W rodzinie też zdarzają się nieporozumienia – przyznaje Antoni Dohoda. – Dużych problemów nigdy nam jednak nie robiono – dodaje.

– Tolerancji nie brakowało nigdy. Kiedy byłem młody, byłem ministrantem, chodziłem w procesjach z krzyżami i Turcy nie mieli z tym żadnego problemu – wspomina Fryderyk Nowicki.

Wciąż żywa jest tu pamięć o tym, że Turcja, jako jedyne państwo, nie uznała rozbiórów Polski. Z podejściem do polskości różnie tu jednak bywa. Antoni Dohoda, mówiąc, że po 1989 r. Polonezköy odwiedził każdy prezydent RP, używa wyrażenia „nasi prezydenci”. – Bo ja przecież, mimo polskiego pochodzenia, jestem Turkiem, w tureckiej armii służyłem – wyjaśnia.

Fryderyk Nowicki inaczej na to patrzy: – Ja jestem w połowie Polakiem, a w połowie Turkiem. Często jeżdżę do Polski, bo mam tam rodzinę. Więc ja zawsze wracam, bo gdy jestem w Polsce, wracam do Turcji, a gdy jestem w Turcji, wracam do Polski – śmieje się wójt Polonezköy.

Obaj nasi rozmówcy zgadzają się za to ze sobą, jeżeli chodzi o sentyment do Adampola/Polonezköy z czasów ich młodości.

– Lepszy był tamten stary Adampol. Była bieda, ale było wesoło, naprawdę po polsku. Kiedyś cała wioska razem się trzymała. Teraz już tak nie jest. Jeśli ludzie są biedni, to się trzymają razem, a jak bogaci, to już każdy osobno – uważa wójt Nowicki.

– Dzisiaj Adampol się zepsuł, wtedy był piękny! Teraz za duży ruch tu jest – mówi Antoni Dohoda. – Dopóki będą tu przyjeżdżać Polacy, a polskie władze będą się interesować, dopóty ta polskość będzie się u nas utrzymywać. Bo niestety nasza młodzież nie za bardzo już pamięta o Adampolu...



Mieszkańcy polskiej wioski w Turcji, ok. 1900 r. FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

wielką kultury polskiej, z jej biblioteki korzystała cała wioska.

„My jesteśmy w dziwnej sytuacji. Ojczyzna naszych dalszych ojców znajduje się nad Wisłą, ale ojczyzną naszych bliższych ojców jest Adampol nad Bosforem. Może źle powiedziałam: ojczyzną naszą jest Polska, a Adampol to Polska z jej tradycjami na ziemi tureckiej” – powiedziała Zofia Ryży dwa lata przed śmiercią.

ŁUKASZ ZBORALSKI: Jak zmienił się biznes w Polsce w porównaniu z tym z lat 90., tuż po transformacji?

ZBIGNIEW BERDYCHOWSKI: Po pierwsze, jest przede wszystkim bardziej dojrzały. To jest już sytuacja, w której bardzo często ten biznes stać na ekspansję – w Europie Środkowej, Europie Zachodniej, Europie Wschodniej, w Stanach Zjednoczonych. W odróżnieniu od lat transformacji mamy też częściej do czynienia z biznesem, który działa w formule spółek akcyjnych albo dużych koncernów, w których udział państwa jest niewielki. Po drugie, dzisiejszy biznes ma też już ogromne doświadczenie związane z obecnością na rynkach międzynarodowych. A po trzecie, ludzie działający dziś w biznesie to lepiej wykształceni, nierzadko posiadający tytuły naukowe, absolwenci zagranicznych szkół. Są więc lepiej przygotowani do obecności na rynkach międzynarodowych oraz do konkurencji na rynku krajowym. To jest ogromna zmiana, to fundamentalne różnice w porównaniu z tym, z czym mieliśmy do czynienia na początku lat 90. – mamy dziś biznes merytorycznie przygotowany do funkcjonowania w kraju czy za granicą i posiadający środki na ekspansję.

Jedno się niestety nie zmieniło – przedsiębiorcy wciąż żalą się na bariery. I od dekad wyliczają to samo: niejasne prawo skarbowe, możliwość interpretowania prawa przed urzędników czy nadmierne obciążenia podatkowe. Któraś władza to w końcu dostrzeże?

To nie jest tak, że ta władza czy poprzednie nie starają się tych problemów rozwiązywać. To nie polega na tym, że władza jest beczynna i nie chce rozwiązać problemów, o których mówią przedsiębiorcy. Wynika to raczej z tego, że musimy z jednej strony cały czas poprawiać istniejące prawodawstwo, a z drugiej strony – tworzyć nowe w związku ze zmieniającym się otoczeniem. To, co się dzieje np. na rynkach europejskich, światowych, stwarza bowiem coraz to nowe wyzwania. Przecież kiedy ponad 20 lat temu organizowaliśmy I Forum Ekonomiczne w Krynicy-Zdroju, nie rozmawialiśmy o tym, co wiąże się z obecnością w cyberprzestrzeni. A dziś bezpieczeństwo w cyberprzestrzeni dla wszystkich przedsiębiorstw, także tych mniejszych, jest jednym z fundamentów prowadzenia działalności biznesowej.

Proces doskonalenia gospodarki jest więc procesem. I wpisuje się w niego



Z Zygmuntem Berdychowskim,
pomysłodawcą Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju
rozmawia Łukasz Zboralski



Biznes nie jest od polityki

XXVII Forum Ekonomiczne

5-7 września, Krynica-Zdrój

„Projekt Europa – jaki przepis na następne dekady”:

- sześć sesji plenarnych,
- ponad 180 paneli dyskusyjnych, wykładów, warsztatów i debat,
- ponad 3 tys. gości z Europy, Azji, USA,
- prezentacje narodowe i regionalne.

**PATRONAT
DO
RZECZY**

FOT. JERZY OUDK/FORUM

Forum Ekonomicznego stawiamy sobie bardzo ograniczony cel: chcemy zapewnić warunki do tego, aby możliwa była rozmowa, by zamiast stereotypów i schematów można było w przestrzeni publicznej znaleźć argumenty, by ci, którzy ze sobą się sprzecykają, mogli to robić w komfortowych warunkach. Chcemy stworzyć warunki do tego, by możliwe było rozwiązywanie konkretnych problemów.

Ale w Krynicy-Zdroju przez te lata padały przecież wielkie deklaracje. W 2011 r. Donald Tusk obiecywał wejście do strefy euro...

To nie jest oczywiście tak, że nie było takich deklaracji, które potem miały duży wpływ na to, co działo się w polityce i gospodarce. Natomiast podkreślę jeszcze raz – my nie chcemy być utożsamiani z realizacją jakiś konkretnych celów, zapowiedzi, umów. Chcemy wyłącznie zorganizować i umożliwić takie spotkania oraz rozmowy. Jeśli chcielibyśmy wytyczać jakieś inne cele, formułować deklaracje, próbować kogoś z czegoś rozliczać – tak jak robili to niektórzy organizatorzy innych dużych konferencji – to stawilibyśmy się stroną sporu, a nie bezstronnym organizatorem zapewniającym korzystne warunki do rozmów.

Niektóre media wytykały, że podczas ubiegłorocznego Forum Ekonomicznego biznes przytakiwał władzy. Jednak czy biznes nie tak właśnie działa, że szuka porozumienia z rządzącymi, z ludźmi polityki? Bo co osiągnąłby Donald Trump jako przedsiębiorca, gdyby nie szukał kontaktów z ludźmi władzy i nie potrafił ich wykorzystać?

To tylko u nas, w Polsce, przedstawiciele części środków masowego przekazu formułują takie oczekiwania, że biznes będzie prowadził z władzą jakąś wojnę. A to jest zupełnie nieracjonalne. To jest oczekiwanie, które nie będzie zrealizowane przez biznes w żadnym kraju w Europie czy na świecie. Mamy sytuację, w której przynajmniej część z tych postulatów powinna być adresowana do opozycji parlamentarnej, a jest adresowana do organizacji społecznych czy biznesu. Ktoś z tych instytucji, które formułują postulaty, ma nadzieję, że otrzyma pozytywną odpowiedź z tych środowisk. Myślę, że to jest nieracjonalna postawa. Biznes nie jest od polityki. Ci, którzy robią biznes, tak jak w wielu innych krajach Europy, chcą go robić w spokoju i z dala od kontrowersji, z dala od walki z władzą publiczną, bo to tylko utrudnia prowadzenie bizne-

su. Nie jest to żadna polska specyfika, żadne wielkie odkrycie jednego czy drugiego roku spotkań w Krynicy-Zdroju – to jest po prostu reguła, którą łatwo jest zaobserwować w dojrzałych gospodarkach liberalnych.

A jakich gorących sporów w biznesie spodziewa się pan na tegorocznym forum, które rozpocznie się 5 września? Co trapi przedsiębiorców i czego władza jeszcze nie potrafi rozwiązać?

Kiedy popatrzysz się na program Forum Ekonomicznego, widać ogromne bogactwo tematyczne. Jeśli w ciągu 2,5 dnia debat mamy ponad 200 wydarzeń, to oznacza, że blisko 4 tys. osób, które przyjeżdżają do Krynicy-Zdroju, będzie miało o czym dyskutować i że ta dyskusja obejmie prawie wszystkie obszary życia publicznego. Bo rozmawiamy np. o sprawach dotyczących samorządów, energetyki, bezpieczeństwa, polityki zagranicznej. Widać wyraźnie, że to bogactwo tematów daje ogromne możliwości tym, którzy to nasze zaproszenie na forum przyjmują, by te trzy dni w Krynicy-Zdroju ciekawie spędzić.

Jeśli zaś chodzi o rzeczy, które w tym roku pojawią się po raz pierwszy, a których w ubiegłym roku nie było, to będą to rozmowy o bezpieczeństwie informacyjnym, bezpieczeństwie w cyberprzestrzeni, o wojnie hybrydowej. To będzie blok, który pojawia się pierwszy raz na forum. Będzie obejmował 12 wydarzeń, m.in. „Na wojnie informacyjnej”, „Fake news to oksymoron”, „Społeczeństwo wobec zagrożenia zorganizowaną dezinformacją”, „Cyberbezpieczeństwo dla firm – jak chronić dane”. Ta problematyka po raz pierwszy będzie aż tak szeroko obecna w rozmowach gości forum.

Pojawi się również cały konglomerat spraw związanych z nową gospodarką, innowacyjnością z udziałem wielu bardzo ciekawych gości z wielkich, międzynarodowych korporacji, takich jak Google, Facebook, Amazon, czyli z firm, które w tej globalnej innowacyjności rzeczywiście mają już ukształtowaną opinię liderów i promotorów. Warto tym wydarzeniom w Krynicy-Zdroju się przyglądać.

Będzie też segment spraw związanych z bezpieczeństwem. A w kontekście tego, co się dzieje na wschodzie Ukrainy, bezpieczeństwo to absolutnie jedna z kluczowych kwestii, o których uczestnicy i goście forum będą rozmawiać w tym roku.

np. ogromny sukces obecnego rządu, czyli próba walki z ogromnymi wyłudzeniami VAT. Tutaj jak w soczewce widać, że proces doskonalenia prawa musi być ciągły. Nie może być tak, że w pewnym roku zarządzą sobie od tego przerwę, to jest niemożliwe. Musimy się przyzwyczaić do życia w ciągłej zmianie.

I Forum Ekonomiczne w Krynicy-Zdroju odbyło się 1992 r. Co te spotkania zmieniły w Polsce, w polskim biznesie? Czy można powiedzieć, że to konkretny wpływ na nasze życie?

Nie chciałbym sobie rościć prawa do tego, aby mówić, że dzięki spotkaniom w Krynicy udało się zbudować Giełdę Papierów Wartościowych albo istotnie zwiększyć poziom wymiany gospodarczej między Polską a Ukrainą czy że udało się wiele innych rzeczy. Jako organizatorzy



Wojciech Wybranowski

Patriotyzm konsumencki wśród Polaków rośnie. Ekspert zauważają jednak, że wciąż nie uporaliśmy się z blokadami dla przedsiębiorców

Czas, gdy polskie firmy i oferowane przez nie produkty traktowane były przez kupujących – czy to w osiedlowych sklepikach, czy w wielkich sieciach – jako produkty drugiego lub nawet trzeciego wyboru, przegrywające z tymi oznaczonymi zachodnimi markami, nieuchronnie przemija. Jak wynika z cyklicznych badań rynku, coraz częściej to oznaczenie wskazujące na polskie korzenie producenta i krajowe pochodzenie produktu staje się czynnikiem mającym istotny wpływ na zakup. Jak wynika z tegorocznego raportu Agencji Badania Rynku i Opinii Open Research – coraz więcej Polaków deklaruje, że „polskość” marki zachęca ich do zakupu danego produktu. W 2017 r. taką deklarację składało 7 na 10 badanych, rok wcześniej takie stanowisko zajmowało 6 na 10 ankietowanych.

Badanie wykazało też, że Polacy coraz częściej świadomie podchodzą do „kwestii zakupowych”, sprawdzając kraj pochodzenia firmy i miejsce produkcji. Popularność zyskała np. przygotowana przez Instytut Jagielloński aplikacja Pola pozwalająca błyskawicznie sprawdzić na smartfonie, czy firma jest zarejestrowana w Polsce, czy produkuje w kraju i ile ma polskiego kapitału. Korzysta z niej już ponad 100 tys. konsumentów. Badania Open Research z 2017 r. wykazały też, że coraz częściej informacja o „polskości” firmy zachęca do wyboru produktu: zwłaszcza w przypadku firm produkujących artykuły spożywcze, kosmetyki i leki.

– Polskie firmy od lat są uznawane za liderów na świecie. Wyznaczamy standardy w wielu branżach, m.in. okienno-drzwiowej, meblarskiej, mleczarskiej. Tworzymy nowoczesne produkty, zaskakujemy innowacyjnymi rozwiązaniami, jesteśmy sprawni, elastyczni, możemy pochwalić się silnymi, rozpoznawalnymi markami – mówi „Do Rzeczy” Leszek Gierszewski, prezes firmy Drutex z Bytowa, największego producenta stolarki otworowej z PVC w Europie. – Mamy wszystkie atuty w ręku. Nie mamy kompleksów wobec



W ubiegłym roku nagrodę „100% Polski Produkt” dla firmy Drutex za nowoczesne drzwi odebrał jej prezes Leszek Gierszewski

FOT. BEATA CZARNEKA/SPORTOGRAFIA.PL

Lepsze, bo polskie

naszej konkurencji z zagranicy, bo to często firmy zagraniczne nie mogą nadążyć za dynamicznym rozwojem naszych krajowych przedsiębiorstw, a rosnąca sprzedaż i udziały w rynku zagranicznym wielu polskich firm są tego najlepszym dowodem.

POLSKIE W STU PROCENTACH

„100% Polski Produkt” to prowadzony pod patronatem „Do Rzeczy” ogól-

nopolski konkurs, który ma promować modę na wszystko, co jest w 100 proc. nasze, polskie, a także wspierać firmy produkujące całkowicie polskie produkty. Plebiscyt ma pomóc w dobrym wyborze konsumentom, którzy stawiają na gospodarczy patriotyzm. Nagrodzone w konkursie firmy będą mogły zwycięskie produkty oznaczyć logotypem „100% Polski Produkt”, co da klientom

pewność, że wspierają zakupami polską gospodarkę. Zgłoszenia całkowicie bezpłatnie można przysłać do 30 września (więcej o konkursie na: <https://polski-produkt.dorzeczy.pl>).

Do ubiegłorocznej edycji konkursu, której finałem była uroczysta gala w Teatrze Królewskim Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich, zgłosiło się ponad 100 polskich firm. Główną nagrodę w konkursie „100% Polski Produkt” zdobyła **firma Drutex** (za nowoczesne drzwi o konstrukcji podnosząco-przesuwnej).

– Wyróżnienie w konkursie miało dla nas szczególne znaczenie, zwłaszcza że od zawsze podkreślamy, iż nasze produkty to w 100 proc. własna technologia, własne koncepcje, pomysły. Opieramy się na własnym dziale B+R i technologiach. To nasi fachowcy. Jako firma nigdy nie mieliśmy i nie mamy kompleksów w związku z oferowaniem produktów z etykietą „Made in Poland”. Zawsze sprzedawaliśmy produkty pod własną marką – podkreśla prezes Gierszewski.

Jego firma istnieje od 1985 r., a zaczęła swoją działalność od produkcji siatek ogrodzeniowych i produktów z drutu. Dziewięć lat później Drutex uruchomił pierwszą linię do produkcji stolarki okiennej z PVC. Obecnie jest największym producentem stolarki otworowej z PVC w Europie, zatrudnia ponad 2,8 tys. pracowników i szybko się rozwija. Niedawno firma zyskała ponad 55 tys. mkw. powierzchni produkcyjnej w ramach Europejskiego Centrum Stolarzki. A planuje kolejne inwestycje. Stworzyła właśnie prototyp okna, które zastępuje telewizor czy tablet, pozwalając na prezentację treści multimedialnych.

Z kolei w kategorii „100% Polski Produkt. Nowości 2016” kapituła wyróżniła opatrunki medyczne z naturalnego lnu, produkowane przez **firmę Naturlen**. Kapituła doceniła oryginalną polską technologię łączącą tradycyjne zastosowania polskiego lnu z nowoczesnymi technologiami pozwalającymi na oddychanie skóry pod opatrunkiem.

Naturlen powstał po wielu latach prac badawczo-rozwojowych jako technologiczny start-up z wykorzystaniem środków unijnych. Plany ma ambitne – zamierza rozwijać produkcję „tkanin szerszych” – dla osób niepełnosprawnych i sportowców.

– Rynek medyczny jest bardzo trudny i każdego dnia musimy się o tym

przekonywać. Wsparcie dla polskich firm jest konieczne, nie tylko dlatego, że to patriotyczne. Przede wszystkim dlatego, że małe, polskie firmy tworzą rewelacyjne produkty, którymi warto się chwalić – podkreśla Agnieszka Kruszyńska, prezes firmy Naturlen, w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Jesteśmy innowacyjni, elastycznie podchodzimy do problemów, mamy otwarte głowy i jesteśmy twórcy. Robimy dobrą robotę, o której niewiele osób wie. Często nie stać nas na promocję, bo jesteśmy firmami na dorobku. Szkoda by było pozbywać się potencjału, który w nas drzemie.

W ubiegłorocznej edycji konkursu „100% Polski Produkt 2016” jako najbardziej polskie i najwyższej jakości wyróżniono również produkty trzech innych firm. Obok Drutexu pierwszą nagrodę dostała **spółka Granna** za grę „Superfarmer”. Ten producent gier



planszowych powstał w 1991 r., a zaczął od niewielkiej domowej produkcji. Obecnie zatrudnia ponad 100 osób, a w ofercie ma ponad 100 gier edukacyjnych i rozrywkowych. Produkty eksportuje do kilkudziesięciu krajów, m.in. Czech, Austrii, Japonii, Słowenii, Rosji, Szwajcarii i Korei, na Białoruś, Litwę, Łotwę, Ukrainę.

Drugą nagrodą w 2016 r. wyróżniono **Zakład Automatyki Przemysłowej BP SC**, producenta obrabiarki elektroerozyjnej – wykrawarki drutowej. Firma powstała w 1985 r., jest jednym z liderów w swojej branży.

Nagrodę „100% Polski Produkt” w ubiegłym roku otrzymała również

– za chusteczki higieniczne – **firma TOP-2 Fabryka Chusteczek z Łodzi**, która istnieje już 34 lata i podbiła rynki także na Litwie, Ukrainie i w Rosji.

BRAK KAPITAŁU I URZĘDNICY

Jak wynika z przeprowadzonego w kwietniu badania Smart Industry Polska (Instytut badawczy Kantar Millward Brown na zlecenie Siemensu przy udziale Ministerstwa Rozwoju), podstawową barierą w rozwoju polskich firm jest problem z dostępem do źródeł finansowania pozwalających na realizację planów inwestycyjnych.

– Brak dostępu do taniego kapitału to jest to, co różni polskiego przedsiębiorcę od zagranicznego. Ten brak musimy nadrobić kreatywnością oraz nadludzką pracowitością. Tym bardziej szanujemy międzynarodowe sukcesy polskich przedsiębiorstw – podkreśla Marcin Wątrobiński, prawnik specjalizujący się w sprawach gospodarczych.

Jednak raport z badań wskazuje też na inny problem, z którym polscy przedsiębiorcy borykają się od lat: urzędnicza czy prokuratorska niekompetencja to pałka, którą można zabić nawet najlepiej rozwijającą się polską firmę. Wbrew zapowiedziom polityków sytuacja na linii urzędnik – polski przedsiębiorca niewiele się zmienia.

– Niestety, prawie 30 lat po przełomie, wśród urzędników, również samorządowych, zauważalny jest pewien bantustan mentalny. Zależy im na pozyskiwaniu kapitału zagranicznego, a gardzą polskim, więc siłą rzeczy firmy zachodnie mogą cieszyć się większymi lokalnymi ułatwieniami i przywilejami niż rywalizujący z nimi polski producent – uważa Maciej Gnynszka, założyciel Towarzystw Biznesowych. – Jeżeli tego sposobu myślenia się nie zmieni, to wciąż polskie firmy będą miały pod górkę – podkreśla. I dodaje: – Bardzo ciekawą lekcją było dla mnie spotkanie z singapurskimi przedsiębiorcami. Często „GW” wyśmiewa się z Polaków, że mamy za duże mniemanie o sobie, że chcemy osiągnąć nie wiadomo co. Tymczasem jeśli porównać ambicje i marzenia polskich i singapurskich przedsiębiorców, niestety widać, że mamy aspiracje wciąż za małe, takie, żeby ruszyć i przetrwać, ewentualnie dostać unijną dotację, a tamci myślą o zawojowaniu świata. Nauczmy się myśleć międzynarodowo, na szeroką skalę – zachęca.

FOT. BEATA CZARNECA/SPORTOWA.PL



Jacek Przybylski

Już za kilka lat będzie można wzniesić się ponad zakorkowane ulice metropolii. W sieć latających pojazdów już inwestują Dubaj i Dallas. Nad powietrznymi taksówkami pracują również największe koncerny lotnicze

Zapamiętajcie moje słowa: zbliża się pojazd będący połączeniem samolotu i samochodu – oznajmił Henry Ford już w 1940 r. Nie zdołał jednak stworzyć latającego samochodu dla każdego. Konstrukcja podniebnego pojazdu wydawała się jednak oczywistością dla wielu inżynierów, wizjonerów czy artystów (choćby dla twórców „Piętego elementu” oraz „Jetsonów”). I chociaż inżynierowie opracowali już wiele latających samochodów, to na niebie wciąż nie widać zbyt wielu unoszących się pojazdów.

Najbliższe lata mogą być jednak przełomowe. Korki w największych miastach świata kosztują światową gospodarkę wiele miliardów dolarów. I wciąż rosną. Według raportu przygotowanego przez ekspertów Deloitte kierowcy siedmiu największych polskich miast tylko w 2015 r. stracili, stojąc na zakorkowanych ulicach, aż 3,8 mld zł. Fortunę na stanie w korkach – biorąc pod uwagę czas i paliwo – wydają również mieszkańcy bogatego Dubaju, którzy na dojazdy z pracy do domu i z powrotem muszą przeznaczyć średnio 105 minut dziennie. Władze tego miasta postanowiły więc zainwestować w rozwój podniebnego transportu. Lokalny wydział dróg i transportu podpisał umowę z niemieckim start-upem, który jeszcze w tym roku ma dostarczyć elektryczne pojazdy, wożące pasażerów między dubajskimi wieżowcami. Volocopter 2X niemieckiej firmy bardziej niż latający samochód przypomina rozrośniętego drona, który został wyposażony w 18 śmigieł i na jednym lądowaniu potrafi pokonać nawet 50 km, osiągając prędkość do 100 km/godz. Na ponowne naładowanie akumulatorów wystarczy zaledwie kilkadziesiąt minut. W pojeździe mieszczą się dwie osoby. Start i lądowanie mogą odbywać się pionowo, a pilotowi do obsługi wystarczy zwykły joystick.



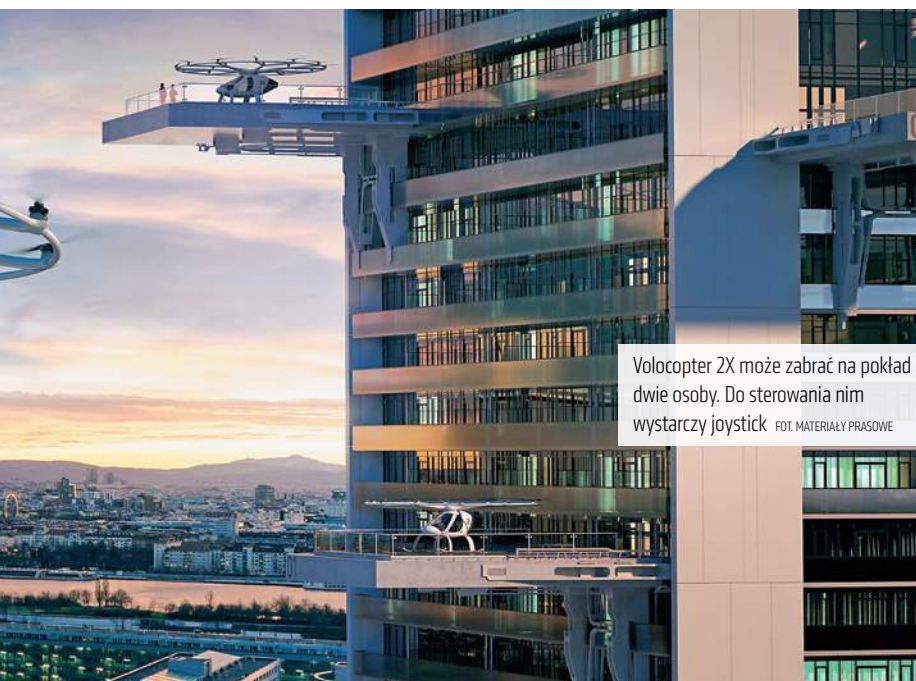
Sposób na korki

W drugiej fazie rozwoju projektu pilot przestanie być potrzebny, a pasażerowie w Dubaju podczas lotu w ogóle nie będą musieli dotykać joysticka. Wystarczy, że wpiszą, gdzie chcieliby polecieć, zapną pasy bezpieczeństwa i zaufają autonomicznej maszynie, która samodzielnie dostarczy ich na wskazane lądowisko. Takie rozwiązanie już jest technologicznie możliwe. Wymaga jednak najpierw wprowadzenia odpowiednich zmian do prawa lotniczego, a także rozbudowy lotniczej infrastruktury, m.in. sieci lądowisk. Według niemieckich konstruktorów lot podniebną taksówką powinien kosztować mniej więcej tyle ile kurs zwykłą taksówką.

Przy budowie podniebnej floty władze Dubaju współpracują również z chińskimi producentami jednoosobowych dronów EHang 184 AAV. Sterowane za pomocą aplikacji na iPadzie bezzałogowe pojazdy

mają zacząć wozić pasażerów już w przyszłym roku. Od stycznia przechodzą zaś testy w warunkach pustynnych, w ramach których pasażerskie drony przeniosły m.in. ważnych chińskich i dubajskich urzędników.

Dubajczycy prowadzą także rozmowy z przedstawicielami amerykańskiej firmy Uber Technologies, która po tym, jak wzbudziła kontrowersje wśród taksówkarzy, zdobywając w wielu krajach świata sporą część rynku przewozów, zaczyna coraz śmielej myśleć o podboju podniebnego rynku. W ramach projektu „Uber Elevate” już za trzy lata w Dubaju ma ruszyć pierwsza na świecie, pilotażowa wersja miejskiej sieci pojazdów latających (VTOL). W 2020 r. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich odbędzie się wystawa EXPO i dubajczykom zależy, aby ich goście mogli już wówczas korzystać z latających taksówek. W tym samym roku „Uber Elevate”



Volocopter 2X może zabrać na pokład dwie osoby. Do sterowania nim wystarczy joystick FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Jeszcze w sierpniu w kilku miastach w Polsce będzie można za 20 zł polecieć śmigłowcem Ubera FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ma zacząć działać także w amerykańskiej metropolii Dallas-Fort Worth. – Wytrwale pracujemy, aby wizja „Uber Elevate”, „naciśnij przycisk, aby zamówić przelot”, stała się rzeczywistością – oznajmił Jeff Holden z Ubera. Jego zdaniem latające samochody będą w przyszłości szybsze, bardziej przyjazne dla środowiska oraz – co szczególnie istotne dla powodzenia tego typu projektów – tańsze niż tradycyjne taksówki. Uber nie chce zresztą ograniczać podboju nieba do Dubaju.

Amerykańska firma nawiązała też współpracę z producentami sprzętu lotniczego, którzy pracują nad elektrycznymi pojazdami latającymi pionowego startu i lądowania (VTOL), takimi jak Aurora Flight Sciences, Embraer czy Bell Helicopter. Takie rozwiązanie jest łatwiejsze do wdrożenia w miastach – w przeciwnym razie w metropoliach trzeba by zbudować

sieć niewielkich pasów startowych, aby latające samochody z rozkładanymi skrzydłami mogły rozpędzić się do prędkości pozwalającej na rozpoczęcie lotu. Zarówno w Dubaju, jak i w Dallas menedżerowie Ubera współpracują już z lokalnymi firmami deweloperskimi, aby ustalić najlepsze lokalizacje i skonstruować lądowiska dla latających pojazdów, np. na dachach wieżowców. Aby ograniczyć problem hałasu generowanego przez tradycyjne śmigłowce, autonomiczne pojazdy latające mają wykorzystywać napęd elektryczny.

Nad latającymi taksówkami intensywnie pracuje również największy producent helikopterów na świecie. Tom Enders, prezes Airbusa, ogłosił na konferencji w Monachium, że ma nadzieję, iż do końca 2017 r. uda się rozpocząć testy prototypu pierwszego na świecie autonomicznego samochodu latającego. – Sto lat po tym,

jak wpuściliśmy miejski transport pod ziemię, teraz mamy już technologiczne możliwości, aby wynieść go nad ziemię – oświadczył Enders, podkreślając, że rozwój podniebnego transportu pozwoli zaoszczędzić miliardy, które wydawane są obecnie na budowę dróg i mostów. Airbus w zeszłym roku utworzył specjalną sekcję nazwaną Urban Air Mobility, której celem jest opracowywanie koncepcji niewielkich środków lokomocji służących do transportowania osób pojedynczo, a także większych pojazdów – przypominających już bardziej helikoptery niż tylko przerosnięte drony – nadających się do jednoczesnego przewozu większej liczby pasażerów. Modułowe pojazdy mają być tak skonstruowane, aby pasażerowie mogli samodzielnie zdecydować, czy w danym momencie chcą poruszać się po tradycyjnych drogach czy też wolą podniebny szlak. Enders nie ma wątpliwości, że bezemisyjne, niedrogie podniebne taksówki staną się w przyszłości gigantycznym biznesem. Może on odmienić nie tylko miejski transport, lecz także turystykę, oferując możliwość podziwiania z perspektywy ptaka odległych i trudno dostępnych miejsc.

W Polsce na razie o rozwoju tego typu projektów Uber jeszcze nie mówi. Do końca sierpnia za pomocą aplikacji tej firmy będzie można jednak również w naszym kraju zamówić... kurs tradycyjnym helikopterem. Jak zapowiedzieli przedstawiciele tej amerykańskiej firmy, w najbliższych tygodniach mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Poznania, Łodzi, Trójmiasta, Wrocławia oraz aglomeracji śląskiej będą mogli przetestować nową usługę: lot śmigłowcem. W ramach specjalnej akcji promocyjnej pod hasłem „uberHELIKOPTER” użytkownicy aplikacji będą mogli zamówić lot, który będzie kosztował zaledwie 20 zł za dwie osoby.

Podobną usługę wcześniej Uber testował w takich metropoliach, jak Nowy Jork, Austin czy Hongkong. W ubiegłych latach Uber oferował przeloty helikopterem m.in. w Cannes, przy okazji festiwalu filmowego, oraz w Danii, podczas festiwalu muzycznego Roskilde. Uber zaznacza jednak, że liczba przelotów jest uzależniona od dostępności helikopterów – może się więc okazać, że część klientów w Polsce zostanie odesłana z kwitkiem. Nawet ci, którym uda się załapać na promocyjny lot, nie będą mogli wskazać miejsca, gdzie chcą dolecieć – w ramach akcji Uber organizuje jedynie trwający 15 minut widokowy lot nad miastem.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Uruchommy licznik reparacji

Czyż nie byłoby warto, wzorem fundacji FOR Leszka Balcerowicza, która w 2010 r. w centrum Warszawy uruchomiła licznik długu publicznego, stworzyć – również w centrum stolicy – licznik reparacyjnego długu Niemiec wobec Polski? Długu – wraz z całą czas narastającymi odsetkami – wynikającego z do tej pory niezapłaconych przez Niemców reparacji wojennych za okropieństwa, których dopuścili się na okupowanym terytorium Polski podczas II wojny światowej.

Licznik Balcerowicza, niezmordowanego w tępieniu nadmiernych wydatków budżetowych i bezmyślnego zadłużania naszej ojczyzny, ma za zadanie przypominać obywatelom o tych politykach, którzy topiąc w morzu długów Polskę, topią w nim każdego z jej obywateli – obecnych i przyszłych. Topią nas, nasze dzieci i wnuki. To bowiem my oraz nasi zstępni teraz i przez następne dziesiątki lat będziemy musieli spłacać ten dług – wraz z morderczymi odsetkami. Nasz jawny dług publiczny wynosi teraz już ponad 1 bln zł, natomiast ukryty – ponad 3,2 bln zł.

Podobny licznik – także „bijący” w sercu Warszawy – mógłby przypominać Polakom i Niemcom o długu Niemiec wobec Polski. Długu powiększającym się o odsetki, narastające wraz z upływającym czasem. Podczas II wojny światowej Niemcy obrócili w perzynę 38 proc. majątku Polski, a ponadto zamordowali 6 mln jej obywateli. W 1946 r., na

Międzynarodowej Konferencji Reparatycznej w Paryżu, nasze straty w majątku rzeczowym oceniono na 16,9 mld ówczesnych dolarów. Rok później polskie rządowe Biuro Odszkodowań Wojennych oszacowało je na 49 mld ówczesnych dolarów. Czyli ok. 850 mld dzisiejszych dolarów – licząc bez odsetek za zwłokę.

Rzecz jasna, szanse na odzyskanie od Niemiec reparacji, których – niewykluczone – Polska nigdy się zgodnie z wymogami prawa nie zrzekła, oceniam jako bliskie zera. Jednak nie tylko z tego powodu nie warto w tej sprawie rozpętywać ostrej kampanii politycznej. Nie warto jej rozpętywać przede wszystkim dlatego, że Niemcy są naszym kluczowym sojusznikiem w UE oraz NATO i powinno nam zależeć na tym, aby nic się w tej sprawie nie zmieniło na gorsze.

Nie oznacza to jednak, że w interesie Polski nie leży spokojne przypomnienie o skali zniszczeń i mordów, jakich Niemcy dopuścili się na naszym terytorium w czasie II wojny światowej. A także o niezapłaconych nam reparacjach – po ostatecznym obliczeniu należnej ich wysokości. Sposobem na to mogłoby być m.in. uruchomienie licznika długu reparaacyjnego. Wszelako z wymienionych wyżej powodów, stworzenie takiego licznika to zadanie stanowczo nie dla państwa polskiego, lecz – tak jak w przypadku licznika długu publicznego – w sam raz dla jakiejś prężnej fundacji. Czy któraś z nich podjęłaby się tego zadania? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Pura vida, amigos!

Podczas raftingu na Kossaryce, gdy pokona się kipiela (przełom rzeki o skali trudności 4), cała załoga pontonu podnosi wiosła do pionu i krzyczy: „Pura vida!”. Czyli: „Życie jest piękne”.

Od trzech lat mieszkam i pracuję za granicą, ale gdy bywam w kraju co kilka miesięcy, widzę bardzo dużo dobrych zmian. Pełne restauracje coraz lepiej zarabiających, młodych, uśmiechniętych ludzi. Rosnące nowe drapacze chmur. Coraz więcej młodych mam z wózkami, w których rośnie nowe, liczniejsze pokolenie Polaków.

**Polska jest miejscem,
gdzie można
dobrze żyć i czuć się
bezpiecznie**

Spokojne, bezpieczne ulice, nawet w nocy, bez hord wymuszonych imigrantów, którzy niszczą wiele miast w Europie Zachodniej. W wielu restauracjach w Warszawie słyszę przy stolikach rozmowy w kilku językach, wiele z nich dotyczy nowo zakładanych firm, z których wiele w przyszłości odniesie sukces. Zadowoleni ludzie, co pokazują badania konsumentów, żyją coraz lepiej, na coraz wyższym poziomie. Bezrobotnym można być tylko na własne życzenie, bo tyle powstaje miejsc pracy (pracę w Polsce znalazło nawet milion Ukraińców). Nasz wkład w budowę chrześcijańskiej, stabilnej i bezpiecznej Europy jest bezsporny.

Polska jest miejscem, gdzie można dobrze żyć, pracować, czuć się bezpiecznie i cieszyć się życiem. Może tych zmian nie widać z dnia na dzień, ale gdy bywa się w kraju raz na kilka miesięcy, zmiany są bardzo dobrze widoczne.

Niestety, jest grupa ludzi, która nie chce dostrzec dobrych zmian. Niektórzy politycy obecnej opozycji jeżdżą po świecie i opluwają swój kraj. Wzywają obce mocarstwa do interwencji, nie zbrojnej, bo mamy w końcu wiek XXI, ale prawnej i finansowej. Nie rozumiem, dlaczego to robią. Możliwe są tylko dwie motywacje: albo działają na rzecz obcych mocarstw, albo kierują się osobistymi korzyściami. Ich wykrzywione bezsilną wściekłością twarze w telewizorze zatruwają co wieczór spokój polskich domów. Od lat te same twarze powtarzają te same bzdury. Ludzie już się jednak na nich poznali i 40-procentowe poparcie dla rządzącej koalicji pokazuje, że czas krzykaczy telewizyjnych mija bezpowrotnie.

Europa jest w Polsce, a nie na przedmieściach wielu francuskich, włoskich i niemieckich miast, w których grupy Arabów wprowadzają swoje porządki. I tak trzymajmy! Z każdym rokiem coraz więcej rdzennych Europejczyków będzie rozumiało, że Polska prowadzi bardzo mądrą politykę gospodarczą i społeczną, że tutaj kwitnie przedsiębiorczość, że tutaj jest bezpiecznie oraz stabilnie. Pura vida, amigos! ©©

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: HTC U11

Rewelacyjny aparat fotograficzny, dobra jakość dźwięku oraz wysoka wydajność to najważniejsze zalety flagowca HTC.

Ogromna konkurencja ze strony takich gigantów jak Samsung, Apple i LG sprawia, że projektanci tajwańskiej firmy nie mają łatwego zadania, walcząc o klientów z najbardziej wypchanym portfelem. Zamiast ścigać się na liczbę zamontowanych obiektywów, inżynierowie HTC w swym najnowszym flagowcu postanowili więc przytulić jak najwięcej klientów, oferując im możliwość „inteligentnego ściskania” telefonu. Technologia Edge Sense pozwala np. za pomocą krótkiego ściśnięcia krawędzi telefonu uruchomić aplikację aparatu fotograficznego, a przy ściśnięciu dłuższym odczytać wiadomość. Brzmi dziwnie, ale działa zaskakująco dobrze i intuicyjnie.

Na pochwałę zasługuje także design. Intrigującą wygląda zwłaszcza tylna, pokryta szkłem część telefonu, która odbijając światło, mieni się wieloma intensywnymi barwami. Bardzo łatwo zbiera jednak odciski palców, więc jeśli ktoś chciałby często robić wrażenie na znajomych, to powinien nosić przy sobie ściereczkę do czyszczenia telefonu. Smartfon nie należy do najcieńszych na rynku, ale i tak dobrze leży w dłoni. A jeśli komuś wyszłizgnie się do wanny lub basenu, to nie powinno być tragedii – najnowszy model HTC jest bowiem wreszcie wodoodporny.

Ekran o przekątnej 5,5 cala ma rozdzielczość 2560 x 1440 pikseli (QHD) i tradycyjne proporcje

16:9. Wyświetlany obraz jest ostry, kolory żywe, a kąty widzenia szerokie. Dość duże ramki pod i nad wyświetlaczem sprawiają jednak, że porównując tylko przód Galaxy S8, LG G6 oraz HTC U11, ten ostatni wygląda nieco przestarzałe. Również w kwestii kontrastu (w U11 na poziomie 1600:1) flagowiec HTC oddaje pole konkurentom.

HTC U11 docenia również miłośnicy smartfonowej fotografii. Główny aparat o rozdzielczości 12 MP, jasności f/1,7 i optycznej, wieloosiowej stabilizacji obrazu pozwala na robienie zdjęć o imponującej jakości. Autofocus działa bardzo sprawnie. Fotografie są pełne szczegółów, a odwzorowanie kolorów jest bardzo naturalne. Niezwykle ostre są nawet te zdjęcia, które zostały zrobione przy gorszym oświetleniu. Świetna jest również jakość filmików wideo.

Jak na smartfon ponadprzeciętnie dobra jest również jakość dźwięku. Muzyka dobiegająca z urządzenia jest głośna. Wyraźnie słychać zarówno bas, jak i wyższe tony. Niestety, w U11 nie ma już tradycyjnego wyjścia słuchawkowego. Na szczęście dołączone w zestawie słuchawki HTC Usonic z aktywną redukcją szumów wpinane w port USB typu C oferują tak miłe dla ucha doświadczenia, że smartfon może być rekomen-

dowany nawet audiofilom. HTC w zestawie oferuje również przejściówkę z USB typu C na złącze 3,5 mm.

Za działanie telefonu odpowiadają m.in. procesor Snapdragon 835, 4 GB pamięć RAM oraz system, który nie jest przeładowany niepotrzebnymi aplikacjami. Wszystko chodzi więc szybko i płynnie. Bateria o pojemności 3000 mAh sprawia, że jedno ładowanie wystarcza na cały dzień intensywnej pracy.

HTC U11 to więc bardzo dobry flagowiec, który z powodzeniem może konkurować z najdroższymi modelami Samsunga, LG i Apple. Cena: ok. 3,1 tys. zł. ©© **Jacek Przybylski**



„NIE” DLA PIŁKARSKICH PIKNIKÓW

Jeeest, proszę państwa! To jest gol! Dosłownie i w przenośni. Co prawda

Legia Warszawa w kompromitującym stylu odpadła już, po porażce z Azjatami, z Ligi Mistrzów, w nieco lepszym stylu, bo po zaciętej, wyrównanej walce z dobrymi europejskimi drużynami z Ligą Europy pożegnały się już Arka Gdynia i Lech Poznań, ale piłka toczy się dalej, bramki są dwie, a futbolowych emocji nie brakuje. I właśnie dla fanów piłki nożnej – mniej może dla pikników żyjących futbolem od wielkiego święta, ale prawdziwych maniaków – przeznaczony jest smartwatch Fantom pozwalający być na bieżąco z wynikami piłkarskich rozgrywek na całym świecie. I to bez konieczności grzebania w Internecie, przeszukiwania topornych aplikacji, które wzbudzą uwagę poświecając temu, gdzie urodził się dany piłkarz, kim była jego babka i co jadła w trzech poprzednich klubach, niż strzelonym golom. Fantom smartwatch – produkt może niszowy, ale interesujący – to bransoletka z czytelnym ekranem, na którą docierają codzienne, sygnalizowane wibracjami informacje o wydarzeniach, ciekawostkach i wynikach spotkań wybranych przez użytkownika klubów. Jest też opcja



rozpoznawania kibiców tego samego klubu za pomocą wibracji – pod warunkiem oczywiście, że również noszą fantoma. No cóż, w mieście „nieprzyjawnego klubu” nieco bezpieczniej niż po „barwach”. Smartwatch Fantom do sprzedaży trafi na jesieni, nie wiadomo jeszcze, ile będzie kosztował.

PRZENOŚNY TRENER

A jeżeli ktoś lubi nie tylko oglądać sportowe rozgrywki, lecz także samemu choćby amatorsko odrobinę poćwiczyć (co prawda znam też takich, którzy biegają z domu na stację benzynową po piwo i z powrotem, zaznaczają trasę na Endomondo i nazywają to joggingiem), to być może zainteresuje go przenośny „nauszny” trener, czyli KuaiFit Sport. Wiem, wiem, aplikacji poprawiających jakość uprawiania sportu jest od groma i trochę, ale KuaiFit Sport wyróżnia się tym, że działa... bez konieczności używania smartfona. Jak? Całe urządzenie to po prostu słuchawki wyposażone w akcelerometr, pulsometr i zintegrowany odtwarzacz muzyczny. Dodatkowo – za kolejną kasę – można ściągnąć specjalne pliki dźwiękowe, które po przekroczeniu pewnych parametrów wskazanych przez czujniki powodują emisję dostosowanych porad głosowych. Urządzenie kosztuje ok. 400 zł. ©©



Wojciech Wybranowski

Finlandia

Śladami marszałka Mannerheima



Piotr Semka

Carl Gustaf Mannerheim to największy bohater Finlandii, którego 150. rocznicę urodzin obchodzą w czerwcu. Ten wielki wódz pod wieloma względami przypominał naszego Józefa Piłsudskiego



O baj dowódcy byli rówieśnikami – urodzili się w tym samym roku – 1867. Obaj też uratowali wolność swoich narodów, zwyciężając bolszewików. Mannerheim uczynił to aż dwa razy – pobił zwolenników Lenina w latach 1917–1919, a potem odparł agresję Stalina w latach 1939–1940 podczas tzw. wojny zimowej.

Obaj też nie pasowali do wizerunku typowych przedstawicieli swoich krajów. W przypadku Piłsudskiego, nazywanego za plecami „starym Litwinem”, jego akcent do końca życia zdradzał podwileńskie korzenie. Mannerheim był z kolei szwedzkim arystokratą, który nauczył się języka fińskiego dopiero pod koniec życia. Nie przeszkadza to, że w swoich ojczyznach są do dziś kochani i czczeni.

1. Wędrowkę po kraju tysiąca jezior i szlakiem marszałka zaczynamy od jego rodzinnego dworku w okolicy miejscowości Askainen, 200 km na zachód od Helsinek. W pałacyku Louhisaari (adres: Louhisaarentie 244) mieści się dziś obok regionalnych pamiątek skromna ekspozycja dotycząca marszałka. To właśnie tu wódz przyszedł na świat w 1867 r.

2. Z zachodnich kresów Finlandii, gdzie swą siedzibę miał szwedzki ród Mannerheimów, udajemy się teraz 400 km na wschód, do położonego wśród licznych jezior miasteczka Mikkeli. Tutaj w czasie wojny mieściła się kwatera polowa marszałka. Przy ul. Päämajankuja 1–3 znajduje się Muzeum Dowództwa (Mikkeli Päämajamuseo). Odtworzono tu gabinet sztabowy wodza z jego biurkiem, okulara-

mi i ulubionymi cygarami. W przyległych pokojach można obejrzeć wystawę zdjęć i dokumentów na temat tego najdramatyczniejszego epizodu w dziejach naszych sąsiadów zza Bałtyku.

Mniej eksponowane jest to, że właśnie w okolicznych lasach odwiedził Mannerheima w czerwcu 1942 r. Adolf Hitler, chcąc uczcić 75. urodziny fińskiego marszałka.

W nieodległym od dawnego sztabu Mikkeli Club obejrzeć można ulubiony bar, w którym marszałek wypoczywał po trudach sztabowych decyzji. W południowej części miasta znajdziemy Muzeum Piechoty – Jalkaväkimuseo (adres: Jääkärintie 6), gdzie zgromadzono dziesiątki karabinów, na czele z prawozrem pepeszy – pistoletem maszynowym



Pomnik Carla Gustafa Mannerheima dłuta Aimo Tukiaienena w centrum Helsinek. FOT. FOTOLIA

Suomi, map z planami bitew i filmów o wojnach Finów z Sowietami.

3. Z Mikkeli udajemy się już do Helsinek – stolicy Finlandii. Spacer szlakiem wodza zaczniemy od konnego pomnika „ojca narodu” dłuta Aimo Tukiaienena na pl. Mannerheima (Mannerheiminaukio) w centrum Helsinek. Monument wzniesiono ze składek prywatnych w 1960 r. i dla wielu Finów była to wtedy demonstracja niepodległościowych tendencji w tym wówczas zneutralizowanym przez Moskwę po wojnie kraju.

4. A teraz udajmy się do Muzeum Mannerheima w dzielnicy Kaivopuisto. Niewielki dworek wybudowano w 1874 r. pod nazwą Villa Boman i był własnością wodza od lat międzywojennych. Ekspozycja oprócz pamiątek wojskowych pokazuje



Carl Gustaf Mannerheim

(1867–1951) – dowódca wojskowy, generał armii carskiej, marszałek Finlandii, regent Królestwa Finlandii w latach 1918–1919, prezydent Finlandii w latach 1944–1946.

W chwili narodzin Mannerheima Finlandia znajdowała się pod władzą Rosji. Nic więc dziwnego, że zaczynał on karierę wojskową jako carski oficer walczący w wojnie japońsko-rosyjskiej. Przed I wojną światową stacjonował najpierw w Mińsku Mazowieckim, a potem w Warszawie. Tutaj – jak twierdzą historycy – mimo wcześniejszego ożenku z Rosjanką Anastazją Arapową zakochał się – platonicznie – w znanej z urody księżnej Marii Lubomirskiej. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej stanął na czele narodowych sił fińskich i zwyciężył w wojnie domowej z miejscowymi „czerwonymi”. Jednak sławę zbawcy narodu zdobył dopiero w czasie wojny zimowej na przełomie lat 1939 i 1940, gdy zatrzymał agresję armii Stalina, dysponując siłami 10-krotnie mniejszymi od atakującej Armii Czerwonej. W 1941 r. zgodził się na wystąpienie przeciw ZSRS u boku Hitlera, ale wyraźnie dbał, by walki toczyły się o oderwaną przez Sowietów od państwa fińskiego Karelię Wschodnią i okolice Wybarga. W 1944 r. jako prezydent Finlandii zdecydował się poprzeć separatystyczne zawarcie pokoju ze Stalinem. Aby nie utrudniać swojej osobą starość o przetrwanie Finlandii jako niezależnego kraju, w 1946 r. wyjechał do Szwajcarii, gdzie zmarł w 1951 r.

parę trofeów łowieckich marszałka, który na polowania jeździł nawet w 1923 r. do Afryki. Jest też specjalna sekcja o konnej półwywiadowczej wyprawie młodego oficera w góry Tien-szan w Chinach w 1908 r.

5. Kolejny punkt to muzeum wojskowe (adres: Maurinkatu 1, Helsinki), gdzie czeka na was kolejna porcja gablot z bronią, ze sztandarami i tablic ze szczegółami bitew z Sowietami.

6. Zajrzyjmy jeszcze do katedry luterkańskiej (Unioninkatu 29) – miejsca, gdzie odprawiono uroczystości pogrzebowe wodza w 1951 r., i na cmentarz Hietaniemi (adres: Hietaniemenkatu 20, otwarty w godz. 8–22) na zachodnim krańcu Helsinek. Tutaj u stóp sporego krzyża znajduje się grób narodowego bohatera Finów. Prosty nagrobek ozdobiony jest jedynie skrzyżowanymi buławami marszałkowskimi i herbem rodowym przastarej rodziny. Zawsze leżą tu świeże kwiaty.

Zapalmy świeczkę i pomyślmy ciepło o dowódcy, który tak miło w swych niedawno wydanych w Polsce pamiątkach wspominał Warszawę z początku XX w.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Coś na fiński smak

Kraje skandynawskie dzieli ciekawa granica gustów w dziedzinie mocniejszych trunków. W Norwegii, Szwecji i Danii gustuje się w akwawicie. Jak informuje portal Kompendium Barmana, akwawita to starzony mocny destylowany alkohol aromatyzowany kminkiem lub koprem o barwie żółtej lub jasnobrązowej. Finlandia dla odmiany, wskutek dość długiego, 110-letniego pobytu pod władzą carów (1809–1917), robi dla odmiany całkiem niezłą wódkę. Cały świat zna markę Finlandia, ewentualnie Koskenkorva, ale dzielni Finowie mają jeszcze specjalną markę związaną właśnie z marszałkiem Mannerheimem. To Marskin Ryyppy – wódka ozdobiona dwiema skrzyżowanymi buławami marszałkowskimi. W Finlandii opowiadano mi popularną legendę o okolicznościach jej powstania. Według niej Mannerheim miał kiedyś w 1939 r. spróbować na froncie przydziałowej wódki z manierki zwykłego żołnierza. Wódka śmierdząca niczym kiepski bimber fuzłami i wódz wpadł w gniew. Armia zamawiała wódkę u często przypadkowych dostawców i zdarzało się, że trunek bywał złej jakości. Mannerheim zaczął krzyczeć, że nie po to żołnierze narażają co dzień życie w walce z Sowietami, by jeszcze byli oszwabiani na jakości okowity. Kazał ciupasem sprowadzić głównego kwatermistrza i zobowiązać go, by wojsko zamawiało wódkę u jednego producenta, według najwyższych standardów. Zapowiedział, że sam będzie sprawdzał co pewien czas jej jakość. Fakt faktem, że do dziś butelki wódki ze skrzyżowanymi buławami (jest i marszałkowskie piwo) są rarytasami, które Finowie zachowują dla siebie. A w świat wysyłają również dobrą, ale pozbawioną historycznej legendy wódkę Finlandia. Z powszechnie szanowanym marszałkiem związany jest jeszcze inny fiński obyczaj – tzw. toast Mannerheima. Polega on na nalanu do kieliszka na tyle dużo wódki, by wytworzyć tzw. menisk wypukły, czyli lekko wystającą ponad brzeg kieliszka taflę alkoholu. To efekt zjawiska napięcia powierzchniowego alkoholu. Sztuka polega na tym, aby tak nalać kieliszek wychylić zdecydowanym ruchem ręki, nie roniąc ani kropli. Jeśli jesteście pełnoletni i nie należycie do abstynentów, to spróbujcie, czy wam się to uda.



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Hamburger Himilsbacha

Jan Himilsbach, urodzony 31 listopada (sic!) 1931 r., niezapomniany aktor naturalistyczny, był też wziętym pisarzem. Przez całe życie pił i przesiadywał na melinach, część miejsca w opowiadaniach poświęcił prostej, ale dobrej kuchni. Rzecz jasna, w opisach koncentrował się zwykle na zakąskach do flaszki. Jedną z nich był klasyczny polski bazarowy fast food – zawinięty w papier chleb i kotlet schabowy, którego nie waham się nazywać hamburgerem Himilsbacha, gdyż zdaje się, że jako pierwszy go opisał.

W opowiadaniu „Łzy sołtysa” zakąszają nim wódeczkę Borys z Kubusiem. Bohater „Partaniny” i jego kumpel Dudek, którzy jadą dychawiczną ciężarówką na robotę pod Warę, umilają sobie podróż ciwartką czystej i chlebem poprzekładanym plastrami boczku, który stawia im kierowca – kalwinista.

Jasio Himilsbach doskonale opisuje, a Jerzy Gruza pokazuje w filmie miejsce, pod którym, wedle zapowiedzi nauczycieli, sam miałem skończyć – budkę z piwem.

W ogóle knajpy przedstawione są w opowiadaniach Himilsbacha z wyczuciem i miłością – zarówno mordownie, jak i wytworne kawiarnie, gdzie bohater trafia np. z nieco wymiętą Sroką Złodziejką. Z kolei w speluncie przewodniczący rady narodowej stawia wódkę bohaterom opowiadania „Partanina”, chcąc nakłonić ich, aby naprawili pomnik Piotra Wysockiego w Warce. Do gorzały zaś prosi o – nieśmiertelnego i jedyne go dostępnego – schabowego z kartoflami i kapustą. Podobnie Borys z „Łez sołtysa” zamawia na pierwszy wolnościowy obiad po wyjściu z więzienia w Łławie setkę wódki, piwo i schabowego z kapustą.

Znacznie lepsza wyżerka jest w „Party przy świecach”, gdzie mieszkający w mieście Aniołek i Niuniek udają paniska, urządzając przyjęcie dla znajomych ze wsi, po czym jedni i drudzy padają ofiarą własnej mistyfikacji. Okazuje się, że wspaniałe mieszkanie nie należy do bohaterów, a Gańkowie wcale nie mieszkają w willi, ale w zwykłej chałupie, a ta, którą pokazywali na fotografii, jest ich sąsiada. Na stole mamy jednak szproty i portugalskie sardynki, pieczony schab, szynkę i polędwicę, pasztet kupiony w garmażerce, wszystko przybrane liśćmi sałaty i papryką jak u prawdziwych miejskich bogaczy. Do tego owoce pocięte w gwiazdki i oczywiście alkohol. Litr śliwowicy łackiej – jak szumnie określa Niuniek zwykły góralski bimber przelany do butelek po Matadorze, znalezionych na klatce schodowej.

W „Świcy” z kolei pojawia się zestaw dań wigilijnych, jaki Kindzior – brat Stefka Cykulady – kradnie z piwnicy sąsiadów. Szynka, której za komuny zawsze był deficyt, polędwica, sucha kielbasa, bekon, konfitury, wina domowej roboty, ciasta, bańka z bigosem i babka pistacjowa, niestety z zakalcem. Dzięki temu Cykulada i jego brat spędzają mile święta, na które wpadają Smarowany Miodem i Sroka Złodziejka, przy czym towarzystwo rozgrzewa się nalewką na orzechach.

Prawdziwie wielka wyżerka pokazana jest w filmie „Przyjęcie na dziesięć osób plus trzy” na podstawie opowiadania Himilsbacha, gdzie zgodnie z komunistycznym absurdem zakład pracy nie może zapłacić godziwych stawek łazikom i pijaczkom zatrudnionym do wyładunku gresu, może jednak... potraktować ich jak delegację służbową i ugościć. Na koniec zaś jak zwykle przyjeżdża milicja i zabiera wszystkich do izby wytrzeźwień. ©

Hamburger Himilsbacha

Kawał schabu kroimy na grube plastry, które układamy na desce i rozbijamy młotkiem po obu stronach, tak aby kotlet miał ok. 1 cm grubości. Utluczonego schabowego solimy i pieprzymy do smaku. Następnie w miseczce rozbijamy jajko, roztrzepujemy je. Kotlet obtaczamy najpierw w jajku, potem w tartej bułce. Na patelni rozpuszczamy kilka łyżek smalcu i smażymy mięso na głębokim tłuszczu, przewracając na drugą stronę po 4–5 min. Po usmażeniu kładziemy kotleta na papierze spożywczym, aby usunąć nadmiar tłuszczu. Serwujemy w kanapce z dwóch grubo krojonych kromek chleba pszenno-żytniego, przydając dwa liście sałaty, dwa pomidory i plasterki kiszzonego lub surowego ogórka. Podajemy do dobre schłodzonej czystej wódki.



KRÓTKA KARIERA KULINARNA STANISŁAWA ŻELICHOWSKIEGO

Wiele lat temu, kiedy nasze dziecko miało nieco ponad roczek, a moja żona musiała gdzieś wyjechać, spytała mnie: „Będiesz umiał ugotować dziecku kaszkę czy nie?”. Jak większość mężczyzn, nigdy bym się przed żoną nie przyznał, że czegoś nie potrafię, więc odpowiedziałem przekonująco: „Oczywiście, że umiem”.

Wziąłem się do gotowania, zacząłem sypać kaszkę do mleka, wciąż było rzadkie, dosypałem więcej, gdy okazało się, że stało się za gęste, dolewałem mleka i tak w kółko. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że manna gęstnieje w trakcie gotowania, i nim utrafiłem odpowiednią proporcję, to ugotowałem trzy wielkie kotły. Całe szczęście, że mieszkaliśmy wtedy blisko mleczarni, więc mogłem po każdej nieudanej próbie donosić świeże mleko.

Od tego czasu żona nigdy więcej nie dopuściła mnie do gotowania, ale wiem, że z kaszy manny można robić interesującą potrawę.

Placuszki z kaszy manny

Składniki:

- szklanka mleka
- cukier
- cukier wanilinowy
- kasza manna
- jabłko
- jajko
- mąka
- sól

Przygotowanie:

Do mleka wsypujemy opakowanie cukru wanilinowego, 4 łyżki zwykłego cukru i łyżkę manny. Gotujemy, mieszając, do stwardnienia. Ścieramy na tarce 3 jabłka i dodajemy do przestudzonej, ale jeszcze ciepłej kaszy. Wbijamy jajko, dosypujemy 3 łyżki mąki, odrobinę soli i mieszamy. Formujemy placuszki i smażymy na oleju. Podajemy posypane cukrem pudrem. ©©

oprac. raw

Stanisław Żelichowski jest politykiem PSL, był posłem i ministrem środowiska.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Fizjologia smaku



**„FIZJOLOGIA
SMAKU ALBO
MEDYTACJE
O GASTRONOMII
DOSKONAŁEJ”
TŁUM. JOANNA
GUZE,
PIW 2015**

L iteratura kulinarna nie zna pojęcia „klasyka”. Disslową czy Cwierczakiewiczową czytać mogą tylko historycy, tak jak czyta się pamiętniki Paska. A przepisy typu „Weź sześć dziewczek i kopę jaj” cytujemy dzisiaj dla beki, żeby poczuć, jak bardzo są nierealne.

Mody kulinarne trwają parę sezonów. Nawet Nigella Lawson, jeszcze niedawno wielka gwiazda, dziś jest postacią zgoła historyczną.

A taki np. Anthelme Brillat-Savarin, francuski autor, który żył między rokiem 1755 a 1826? Jego dzieło „Fizjologia smaku lub medytacje o gastronomii doskonałej” mogłoby uchodzić za ramotę. A jednak po 200 latach od powstania ten uroczy traktat kulinarny dostarcza wyrafinowanej przyjemności, choć w żadnym razie nie może uchodzić za praktyczny poradnik kuchenny. To dowcipnie i inteligentnie napisane rozważania o jedzeniu, kuchni, smaku, restauracjach i restauratorach.

Książkę tę czyta się tak, jakby pisał ją sybaryta, któremu czas zleciał na przyjemnościach życia towarzyskiego i stołu. A przecież Brillat-Savarin prowadził aktywne życie prawnika, był sędzią, pełnił wysokie funkcje urzędnicze. Rozkoszy stołu doświadczał całkowicie niezawodowo. Książkę swą wydał rok przed śmiercią, nie przeczuwając jej sukcesu ani nie odcinając od swojej sławy najmniejszych kuponów. Ta wszakże przyszła pośmiertnie. A jednak w tych całkowicie po amatorsku traktowanych przyjęciach znalazł największą życiową pasję. I dał

jej wyraz precyzyjnie, obrazowo, z talentem, który chwalił nawet Balzak, opisując kompozycję, wygląd, styl i przede wszystkim smak potraw.

Rysując portrety smakoszy:

„Z przeznaczenia są na ogół średniego wzrostu, twarz mają okrągłą albo kwadratową, oczy błyszczące, czoło małe, nos krótki i zaokrąglony podbródek. Kobiety są pulchne, raczej ładne niż piękne i mają niejaką skłonność do otyłości”.

Nie wiem, czy ten rysopis dopasują państwo do osoby stołowej znanych z kanału Kuchnia TV, ale z tą otyłością już wtedy się zapowiadało, choć o fast foodzie nikt nie słyszał.

Dzisiejsi czytelnicy rubryk o zdrowiu nafaszerowani teoriami, co jeść, a czego nie, którzy wiedzą wszystko o tłuszczu, cukrze, soli, glutenie i jego braku, kwasowości i czym tam jeszcze, mogą z ulgą przyjąć proste i pocieszające stwierdzenia Anthelme’a Brillat-Savarina: „Smakowite jedzenie bynajmniej nie szkodzi zdrowiu i że w takich samych warunkach smakosze żyją dłużej od innych ludzi. Jest to arytmetycznie dowiedzione w wybornie opracowanym materiale, który doktor Villermet odczytał niedawno w Akademii Nauk”.

Jak widać, instytuty żywności i żywienia już wtedy miały się nieźle. ©©



FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/FERUM

NASZ TEST: MITSUBISHI OUTLANDER PHEV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Najlepiej robić to codziennie. Zacząć wieczorem i nie kończyć aż do rana. Podłączając na noc auto do gniazdka elektrycznego, można następnego ranka bezgłośnie, tanio i ekologicznie pojechać do pracy i z powrotem dużym, praktycznym SUV-em.

W KABINIE

Wnętrze hybrydowego Outlandera jest wygodne i przestronne. PHEV jest więc nie tylko zabawką dla bogatych miłośników ekologicznej jazdy, lecz także w pełni użytecznym SUV-em, którym może wygodnie podróżować pięciu dorosłych i do którego można zapakować sporo bagaży. Kufer jest jednak mniejszy niż w tradycyjnym Outlanderze: ma 451 l pojemności (1602 l po złożeniu tylnej kanapy).

Poczucie komfortu zwiększa to, że elektryczny SUV potrafi poruszać się niemalże bezgłośnie. Skórzane fotele są wygodne. Materiały użyte do wykończenia wnętrza są dobrze spasowane i miłe w dotyku. Niestety, w środku auto jest nijakie, nudne i mdłe. Najgorsze wrażenie robi niewielki ekran nawigacji, którego design kompletnie nie pasuje do nowoczesnego samochodu hybrydowego. No, chyba że efekt retro był przez projektantów zamierzony – rzut oka na system multimedialny przypomina czasy, gdy technologicznymi nowinkami były telefony z kłapką. Lepsze byłoby już jednak nawet „późne rokoko”. Na szczęście wnętrze zaprezentowanego niedawno w Warszawie modelu Eclipse Cross sugeruje, że poprzedni projektanci ograniczyli używki, wylecieli z pracy lub popełnili harakiri. Tak czy owak podobna rewolucja estetyczna pilnie przydałaby się też modelowi PHEV.

JAZDA

Elektryczny Outlander jest wyposażony w trzy motory: dwa elektryczne (z przodu i z tyłu, każdy

o mocy 82 KM) oraz jedną dwulitrową jednostkę benzynową o mocy 121 KM. Taka konfiguracja daje kierowcy sporo frajdy, zwłaszcza podczas jazdy po mieście. Outlander PHEV pełną moc rozwija bowiem niemal natychmiast po naciśnięciu pedału gazu. Dzięki temu ważący niemal 2 t SUV od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w 11 s. W trasie Outlander jest już nieco bardziej flegmatyczny, ale i tak pozwala na wystarczająco dynamiczne wyprzedzanie. Prędkość maksymalna to 170 km/godz., co miłośnikom legalnej jazdy po autostradach powinno wystarczyć aż z nawiązką.

Napęd na cztery koła sprawia, że hybrydowym Outlanderem można bez obaw zjechać z utwardzonej nawierzchni. Na asfalcie samochód prowadzi się pewnie i przyzwyczajenie trzyma się drogi na zakrętach, chociaż – jak to SUV – przy dynamicznym pokonywaniu serpentyn ma tendencję do lekkiego przechylania się na boki. Również układ kierowniczy mógłby być nieco bardziej precyzyjny.

Na jednym ładowaniu akumulatorów można według producenta przejechać maksymalnie 55 km. W praktyce najlepszy wynik, który udało nam się osiągnąć podczas naszego testu, to 35 km. Dla osób, które przeważnie nie pokonują dziennie dłuższych tras, koszt przejechania 100 km wyniesie zaledwie ok. 12 zł (naładowanie do pełna akumulatora zajmuje ok. pięciu godzin). Na szczęście nawet jeśli bateria wyczerpie się podczas jazdy, to silnik benzynowy pozwoli nam przejechać jeszcze kilkaset kilometrów. Średnie spalanie podczas jazdy w trybie

równoległym (silnik spalinowy wspomagany jest silnikami elektrycznymi) wynosi wówczas ok. 6,5 l/100 km, co jak na SUV-a i tak jest wynikiem co najmniej przyzwoitym.

BEZPIECZEŃSTWO

Outlander w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobył komplet pięciu gwiazdek. Aby do kolizji nie doszło, systemy komputerowe monitorują martwe pola w lusterkach bocznych, alarmują przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, a także ostrzegają, jeżeli zbyt szybko zbliżamy się do przeszkody. Połączenie kamery oraz radaru laserowego sprawia, że PHEV nie tylko ostrzega przed kolizją z samochodem, lecz także wykrywa pieszych. W razie dużego ryzyka kolizji komputer zarówno ostrzeże o tym kierowcę, jak i zacznie silnie autonomicznie hamować.

Podczas dalszych podróży po autostradzie docenić można również adaptacyjny tempomat.

Z kolei na zatłoczonych parkingach oraz podczas jazdy w terenie przydaje się kamera cofania, a także obraz z pozostałych kamer, który pozwala wyświetlić na ekranie widok pokazujący auto z lotu ptaka.

CENA

Jest drogo. Outlander PHEV w podstawowej wersji wyposażenia kosztuje 189,9 tys. zł. Za najdroższą wersję wyposażenia, ze skórzaną tapicerką, z adaptacyjnym tempomatem i systemem nagłośnienia Rockford Fosgate trzeba zaś zapłacić ok. 240 tys. zł.

KONKURENCI

Lexus RX 450h, Toyota RAV4 Hybrid, Toyota Highlander Hybrid

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Kurs kolizyjny

MARCIN MAKOWSKI: Podczas manifestacji grup alt-prawicowych w Charlottesville doszło do starć ze skrajną lewicą. W ataku z użyciem rozpędzonego samochodu zginęła jedna osoba, 19 zostało rannych. Za kierownicą siedział młody faszysta.

MATTHEW TYRMAND: To prawda, ale warto przedstawić tę historię krok po kroku. W Charlottesville faktycznie odbyła się manifestacja niewielkiej i zradykalizowanej frakcji alt-prawicy oraz neonazistowskich wariatów cytujących „Mein Kampf”. Tego nikt nie ukrywa. Przemoc nie eskaluje jednak bez powodu. Moim zdaniem w dużej mierze za to, co się wydarzyło – od strony administracyjnej – winę ponosi gubernator stanu Wirginia. Nie muszę się z tymi ludźmi zgadzać, ale ich marsz był zgłoszony oraz legalny. Nie przez przypadek chwilę przed jego rozpoczęciem wprowadzono stan wyjątkowy, a następnie zepchnięto tych ludzi naprzeciw kontrmanifestantów. To prosty przepis na rozlew krwi.

To jednak nie gubernator Wirginii ani nie lewak zamordował młodą kobietę.

Nie twierdzę, że tak było. Prawda jest taka, że za tę zbrodnię odpowiada 20-letni neonazista. Nie znamy na razie wszystkich szczegółów. Nie

wiemy, czy stała za nim jakaś grupa, czy działał samotnie. Bez względu na to nic nie usprawiedliwia jego zachowania. Trzeba jednak pamiętać, że rzeczy nie dzieją się same. Od władz lokalnych należy wymagać prewencji, a nie stłoczenia dwóch skonfliktowanych grup w jednym miejscu.

W ten sposób można wytłumaczyć wszystko.

Ja nie tłumaczę decyzji tego wariata. Po prostu nie da się rozmawiać o Charlottesville w oderwaniu od szerszego spektrum wydarzeń, bez wspomnienia o narastającej fali przemocy ulicznej – z obu stron barykady. Właśnie o tym, na konferencji w Nowym Jorku, mówił Donald Trump. Sprawca zbrodni jest oczywisty, nikt o zdrowych zmysłach nie popiera neonazistów, ale regularne mordobicia na tle ideowym – w większości inspirowane przez skrajną lewicę – tak samo należy piętnować i rozliczać ich sprawców. Szczególnie że są liczniejsi oraz lepiej zorganizowani. Tymczasem zamiast analogicznego ostracyzmu otrzymują oni parasol medialny, a „New York Times” właśnie z tych słów Trumpa wyciąga wniosek, że jest pierwszym prezydentem otwar-

cie broniącym nazistów. Przecież to czysta bzdura.

A może wystarczyło potępić sprawcę tej zbrodni, a niuansowanie zostawić na kolejną konferencję?

Dlaczego? Bo to niepoprawne politycznie potępić ludzi, którzy szukają starcia, bez względu na polityczne afiliacje? Całe to napięcie, które doczekało się dramatycznego finału, wzięło się przecież od decyzji o usunięciu pomnika gen. Roberta E. Lee – dowódcy Konfederacji. Przecież to czysta prowokacja i wiadomo było, z jakim spotka się odzewem. Lewica ma to do siebie, że nie znosi sprzeciwu, zwłaszcza jeśli chodzi o pamięć historyczną. Dlatego Trump słusznie powiedział, że dzisiaj Lee, a jutro kto – Waszyngton? Przecież też miał niewolników. To część naszej przeszłości.

Czyli wszystko, co historyczne, należy zostawić? Pomniki Stalina w Rosji również?

Tamci ludzie nie byli demonicznymi zbrodniarzami jak Stalin, choć walczyli pośrednio o utrzymanie złej idei, czyli niewolnictwa. Południe to jednak cała kultura, mentalność, obyczaje, których nie da się wymazać z tożsamości Ameryki. Jednak lewica tego chce i np. pod osłoną nocy w Baltimore demontuje kolejne postumenty. Równocześnie ludzie lewicy, którzy mają haniebną przeszłość, uważani są za świeckich świętych. Przecież Margaret Sanger – założycielka obecnego Planned Parenthood – działała z pobudek eugenicznych oraz rasistowskich. O takich przypadkach jakoś na lewicy nie chcą pamiętać i nie każą wyburzać klinik aborcyjnych. To jest niestety pogłębiający się problem podwójnych standardów nie tylko w USA, lecz także na całym świecie. Nazistowskie świry, choć niebezpieczne, nadal stanowią mniejszość. Rosnącej w siłę Antify media starają się natomiast nie widzieć. ©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Państwo czynne do godz. 15

JERZY DRELICH, WOJEWODA POMORSKI:
Do zbierania gałęzi, do zamiatania liści nie będziemy wzywać wojska.

Zanim pan Drellich został wojewodą pomorskim w grudniu 2015 r., szefował siedmioosobowemu klubowi radnych PiS, a jego całe samorządowe doświadczenie, gdy powierzono mu zarządzanie województwem, sprowadzało się do bycia od roku radnym. To, co wystarczało do przewodniczenia niewielkiemu klubowi, nie wystarczyło na zarządzanie kryzysem, i jeśli pan wojewoda nie jest już byłym wojewodą, to znaczy, że rząd zatracił nie tylko słuch społeczny, który dwa lata temu dał mu władzę, lecz także instynkt samozachowawczy. Od biedy można zrozumieć, że partyjny nominat bez kwalifikacji i kompetencji nie poradził sobie z klęską, z którą mogliby sobie nie poradzić lepsi od niego, problem w tym, że on nawet nie spróbował. Cała Polska widziała, co się dzieje, jeśli jemu udało się pozostać wystarczająco ślepym na ludzki dramat, żeby pozwalać sobie na takie wypowiedzi, to powinien był wylecieć jeszcze przed weekendem. Jeśli nie dlatego, że sobie nie poradził, to dlatego, że skompromitował tych, którzy go na ten zbyt wysoki

stołek wsadzili. Ale pewnie nie wyleci, bo byłoby to przyznanie racji opozycji, że rząd sobie nie poradził, a nie można jej dać takiej satysfakcji.

„Podobno na Facebooku zbierają na jedzenie dla Strażaków na Pomorzu. Czy Wyście @BeataSzydło, @pisorgpl, @AndrzejDuda oszaleli?“, „Ludzie sami usuwają drzewa, prądu nie będą mieli tygodnie i jeden się bawi w komentatora sportowego, a drugi siedzi w basenie“, „Panie Prezydencie @AndrzejDuda zamiast fuchy komentatora sportowego zainteresowałby się Pan klęską na Pomorzu? Podobno Strażacy są głodni“ – to tylko niektóre dramatyczne wpisy na Twitterze zagorzałego zwolennika PiS, nawiązujące do beztrudnych tweetów prezydenta Dudy o sporcie i poście Tarczyńskiego o kondycji swojej dziewczyny w bikini. Każdy, kto w tym czasie śledził media – te tradycyjne i te społecznościowe – widział, że państwo ludzi z Rytyla po prostu zostawiło i na nic tłumaczenia, że minister Macierewicz nie mógł wysłać wojska bez wniosku wojewody, bo od tego jest ministrem, a jego kolega z rządu nadzoruje wojewodów, żeby nierozgarniętego pana Drelicha do złożenia takiego wniosku zmusić, jeśli sam

jest na to za głupi. Prezydent też nie skorzystał z okazji, żeby się obsadzić w tak potrzebnej wtedy roli ojca narodu, a można było choćby zwołać Radę Gabinetową. Pokazać ludziom, że państwo ich nie zostawiło, nawet jeśli był akurat długi weekend i wojskowa parada w planach. Trudno będzie zapomnieć kontrast między zdjęciami z Rytyla i zadowolonym z siebie ministrem tweetującym o budowie pomnika Cudu nad Wisłą.

„De facto komunikat nie poszedł. Akurat nie było wszystkich pracowników, a komputery były już powyłączane. Ale tak, ja i pan starosta dostaliśmy powiadomienia na nasze komórki. To tzw. alert. Uznaliśmy, że nie było jednak sensu nigdzie dalej dzwonić. To już było przecież po 15, wszystkie urzędy i tak już nie pracowały“ – tak się tłumaczył dyrektor wydziału bezpieczeństwa i zarządzania kryzysowego w Starostwie Powiatowym w Chojnicach, Andrzej Nogal. I jest to relacja porażająca. I naprawdę nie wystarczy zaklinanie rzeczywistości przez nową i jeszcze bardziej oddaną ekipę Wiadomości, że państwo zdało egzamin, gdy cała Polska widziała, że państwo istnieje tylko teoretycznie. Do godz. 15, w dni robocze. ©©

PODSŁUCHANE

Na pomoc

Michał, ty wiesz, jak tam dojechać do tego Rypla?

Jakiego Rypla, Aga?

No tam, gdzie ta wichura była.

Nie, to się jakoś inaczej nazywa.

Czekaj, do Internetu spojrzę...

Rytel, o!

Wszystko jedno, ale jak dojechać?

No jak to jak? Nie da się, bo drzewa leżą. A po co ty tam chcesz jechać?

Pokazać się trzeba, że ludziom pomagamy. Więc nie wydziwiał, tylko sprawdź, jak dojechać. A ja będę kompletować to, co im jest potrzebne.

A co zabierasz?

No wiesz... Tak właśnie nie byłam pewna. Tu sobie spisałam rzeczy pierwszej potrzeby: tablety, odtwarzacze blurej, trochę filmów na płytach, bo Internet pewnie nie chodzi, to i VoD nie ma, parę skrzynek coli... Nie wiem – jeszcze coś? Jak myślisz?

A konstytucja?

Jasne, zapomniałabym. Mam w piwnicy kilka kartonów, zawieziemy im.

Jak to: zawieziemy? Ja nigdzie nie jadę.

Musisz, już tefaueny umówiłam! Poza tym sama sobie nie poradzę z przytaszczeniem konstytucji, a Grzegorz każe.

Weź Kinę. Ja nie mogę, będę w tym czasie walczyć o puszcę. Albo o sądy. Jeszcze nie wiem, nie przysłali mi rozpiski na przyszły tydzień. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Militarno-nekrofilna strona PiS jest jej najbardziej trwałym i odrażającym emblematem“.

PROF. MAGDALENA ŚRODA na Facebooku o defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego

fot. Jerzy Gumowski



Marnotrawstwo

Każde dziecko dobrze wie co to jest marnotrawstwo. Gdy mamusia kupi zbyt dużo pieczywa i później część spleśnieje, więc trzeba ją wyrzucić — to jest marnotrawstwo. Gdy tatuś przepił lub przegrał w karty połowę pensji lub honorarium — to jest marnotrawienie grosza, czyli marnotrawstwo. Gdy siostra nigdy nie gasi światła wychodząc z pokoju — marnotrawi energię i rodzinne fundusze. Gdy brat głośnie na Zandberga lub Mikkego — to marnotrawi swój głos elekcyjny. Gdy babcia wrzuca jedną trzecią renty do puszek KOD-u — to jakby wrzuciła do klozetu. Dałem wyżej przykłady typu „oczywista oczywistość”, ale marnotrawstwo potrafi przybierać formy rozmaite, czasami wielce zaskakujące. Czego przykładem choćby renifery. Całymi latami Norwegowie sprzedawali ich mięso (zwłaszcza połudwice) do Chin, gdzie uchodzi ono za przysmak, natomiast ogony, uszy, genitalia i kopyta wyrzucali jako elementy bezwartościowe. Aż przyjechała do nich delegacja chińska. Zwiedzając ubojnię w Alta Chińczycy zauważyli pojemniki z penisami reniferów. Oczy im rozbłyły, wszczerli między sobą gorączkowy dyskurs, wreszcie spytali czy „ten produkt” jest na sprzedaż. Norwegowie sądzili, że goście żartują, ale widząc ich determinację i słysząc powtórzone pytanie odparli, że tak. Wówczas Chińczycy zaproponowali cenę. Była to suma „astronomiczna”, dla Norwegów szokująca, głos uwiązał im w gardle. Co goście odebrali jako wahanie, więc doprecyzowali: „— Nie za kilogram, tylko za centymetr!”. Tej nocy Norwegowie upili się ze szczęścia i z nie-szczęścia, bo policzyli ile stracili milionów wyrzucając przez ubiegłe lata na śmietnik siurki reniferów. Przejdźmy jednak do „naszych baranów”, czyli do marnotrawstwa rodzimego:

Ponieważ była mowa o Chińczykach, zaczęną komentować marnotrawstwo polskie przykładem z Chińczykami wezwanymi dla porównania. Budowa rzęsowskiego mostu na rzece Wisłok (brzegi oddalone od siebie o 15 metrów) kosztowała 180 milionów złotych — budowa w Chinach „największego szklanego mostu świata”, zawieszzonego 300 metrów nad ziemią i mającego 430 metrów długości, kosztowała 160 milionów złotych (po przeliczeniu). Autostrady budowane za ośmioletnich rządów Platformy Obywatelskiej kosztowały trzykrotnie drożej niż autostrady budowane równocześnie w sąsiedztwie Polski, a symbolem tego łapówkoro-nego/łapówkogennego marnotrawstwa stała się szemrana chińska spółka Covec. Co

zaś można uznać za główny symbol inwestycyjnego marnotrawstwa III Rzeczypospolitej? Jedni wskazują energetykę: polska sieć elektryczna traci przy „przesyle” aż 8% energii, czyli prawie trzykrotnie więcej niż gdzie dostarczała planowana, mająca kosztować 50 mld zł elektrownia atomowa, vulgo: gdybyśmy wymienili kilkadziesiąt tysięcy archaicznych transformatorów, zyskalibyśmy dużo tańszym kosztem znacznie większą energię niż ta, którą da nam atom. Inni twierdzą, że tym symbolem winny zostać mianowane bezsensowne lotniska, którym brak pasażerów (Radom, Lublin, Szymany). Moim faworytem do tytułu godła marnotrawstwa (i to marnotrawstwa barbarzyńskiego) są tzw. „ekrany dźwiękochłonne”, istna patologia budowlana III RP. Stawiane kilometrami (setkami kilometrów) wzdłuż tras komunikacyjnych w najbardziej nonsensownych miejscach — paskudzą piękne polskie krajobrazy i uniemożliwiają ich kontemplowanie (tylko po to, żeby „sami swoi” mogli zarobić). Exemplum arcyważna trasa Wschód–Zachód: pseudoautostrada Warszawa–Poznań (pseudo, bo Tuskowcy zrealizowali ją jako „nitkę” ledwie dwupasmo-wą, co przy obciążeniu tysiącami tirów czy-



Aleksander Fredro:

„— O mój Boże, co ja tracę!
— O mój Boże, co ja płacę!”.



ni z niej „ścieżkę zdrowia” i przynosi nam wstyd międzynarodowy, horrendum!).

Polski Salon (PO, a wcześniej UD, UW i cała michnikowszczyzna) wysłał marnotrawstwo z systemowych aberracji PRL-u, którego zresztą jest nieodrodnym bękartem. Ta „gospodarka socjalistyczna”, permanentnie deficytowa, została skasowana w październiku r. 1988 „ustawą Wilczka” za pomocą dwóch genialnie rewolucyjnych fraz: 1. Każdy ma prawo prowadzić działalność gospodarczą. 2. Dozwolona jest każda forma działalności gospodarczej niezakazana przez prawo. Kropka. Czyli: bogać się i płacić podatek — to wszystko. Gdyby nienaruszona „ustawa Wilczka” obowiązywała przez całą III RP — Polska byłaby dziś światową potęgą gospodarczą, krainą dobrobytu, zero emigrantów, zero problemów ekonomicznych i demograficznych. Niestety — tylko przez pierwszych dziesięć lat III RP „znowelizowano” tę „ustawę” aż 60 razy (!!!) w aż 200 obszarach działalności gospodarczej, blokując/hamując wolną przedsiębiorczość reglamentacjami, koncesjami, licencjami, różnymi barierami. A później z każdym rokiem dokładano represji i hamulców. Ojcem tego pusjstwa był postpeerelowiec Leszek Balcerowicz, eksfunkcjonariusz Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu–Leninizmu. Dariusz Grabowski (dorad-

ca ekonomiczny premiera Jana Olszewskiego): „— To był sabotaż gospodarczy i niszczenie polskiej przedsiębiorczości, a nie żadna gospodarka rynkowa! Ktoś, kto prowadził normalne przedsiębiorstwo, był ze złości widząc co się dzieje. Nadto Balcerowicz doprowadził do narodzin ogromnego podziemia gospodarczego, a jednocześnie zdecydował o likwidacji departamentu przestępczości gospodarczej w MSW! Nikt mnie też nie przekona, że przejście do gospodarki rynkowej musiało oznaczać oddanie za beczkę kapitałowi zagranicznemu polskiego systemu bankowego” (2017). Irena Lasota: „O rabowaniu Polski z majątku narodowego zbyt dużo osób milczało, może ubecja miała na nie haki” (2017). Ja nie milczałem (vide moja publicystyka z lat 1990–1995), a za piętnowanie Balcerowicza gromił mnie wtedy Rafał Ziemiakiewicz (Ziemiakiewiczowi radzę dziś pogłówniekiem czemuż to Balcerowicz wciąż tak gorliwie wyklucza donosielską „współpracę” Wałęsy).

Platforma dziedziczy salonowy (UD/UW) gen marnotrawstwa, na co można przedstawić setki dowodów, od wzmiankowanych wyżej autostrad, po szczodre finansowanie błuźniczych przedstawień przez warszawski ratusz (ćwierć miliona złotych dla Teatru Powszechnego) i kupowanie horoskopów dla psów (sic!), co wydaje się głupawym żartem, gdy tymczasem jest to absolutna prawda, o której napomknął w Sejmie wicepremier Morawiecki. Jako bibliofil mogę też przytoczyć obsceniczny casus innego rodzaju niż perwersyjna/profanacyjna teatralna „Kłatwa”. Otóż Aleksander hrabia Fredro bardzo lubił świntuszyć rymem, napisał więc m. in. sławną „Piczomirę królową Branlomanii” (~1815/1817), która A. D. 1920 zyskała efektowne, limitowane (500 egzemplarzy) wydanie lwowsko-wiedeńskie z pyszną, solidnie wyuzdaną grafiką. W III RP zostało ono zreprintowane anonimowo (również bez podania konkretnego edytora). 25 czerwca 2016 roku ów reprint został na aukcji bibliofilskiej firmy Okna Sztuki kupiony za sumę 260 zł przez Bibliotekę Narodową, mimo że w tym samym czasie na Allegro wystawionych było kilka egzemplarzy do kupienia za 20–30 zł. Salomoncy ustalający przepisy obowiązujące BN zmusili ją do wydania (zmarnowania) ponad ćwierć tysiąca złotych. To oczywiście drobniak, jednak charakterystyczny dla zjawiska salonowego marnotrawstwa, które za rządów Platformy Obywatelskiej stało się „modus operandi” systemu. Aż dziw bierze, że mimo tych wszystkich utracisztozów i przekrętów Tuskowców, po Rzeczypospolitej nie zostały — jak chcieli gadacze u „Sowy” — tylko (było już obscenium, więc za-komnie cytując też obscenium) „ch... i kamieni kupa”. Pan Bóg się zmiłował nad Polską tym razem. ©©

Waldemar Łysiak



SWISS MILITARY
HANOWA



TOUCHDOWN CHRONO

butiki **SWISS**

swiss.com.pl     

eprasa.pl f3e29086ca